

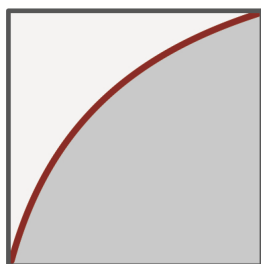


Anna Zahorska

POEZJE ZEBRANE

WYDAWNICTWO PRYMAT

**NAUKOWY PROJEKT
WYDAWNICZY – SERIA**



przełomy
pogranicza
studia literackie

Przełomy/Pogranicza
Studia Literackie
nr XXIV

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIWERSYTETU
W BIAŁYMSTOKU
KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH
„WSCHÓD – ZACHÓD”

Redakcja Serii:

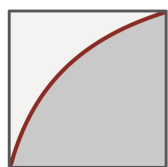
Jarosław Ławski [Redaktor Naczelny], **Anna Janicka** [Zastępca, Red. Cyklów Tematycznych], **Barbara Olech** [Zastępca], **Grzegorz Kowalski** [Sekretarz], **Małgorzata Burzka-Janik**, **Joanna Dziezic**, **Maria Kalinowska**, **Zbigniew Kaźmierczak**, **Krzysztof Korotkich**, **Dariusz Kukielko**, **Dariusz Kulesza**, **Halina Krukowska**, **Agnieszka Nietresta-Zatoń**, **Iwona E. Rusek**, **Michał Siedlecki**, **Konrad Szamryk**, **Maciej Tramer**, **Anna Wydrycka**, **Łukasz Zabielski**

Recenzent tomu: Prof. zw. dr hab. Zbigniew Chojnowski

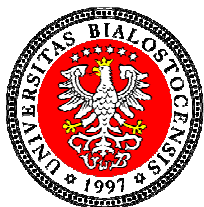
Skład, opracowanie graficzne: Ewa Frymus-Dąbrowska

Korekta: Zespół

ISBN: 978-83-7657-233-8



przełomy
pogranicza
studia literackie



Copyright by Anna Wydrycka, Białystok 2016

Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2016

Wydawnictwo PRYMAT, Mariusz Śliwowski, ul. Kolejowa 19, 15-701 Białystok
tel. 602 766 304, 881 766 304, e-mail: prymat@biasoft.net

Anna Zahorska

POEZJE ZEBRANE

WSTĘP I OPRACOWANIE
ANNA WYDRYCKA

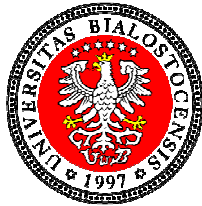
Białystok 2016

NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY
– SERIA „PRZEŁOMY / POGRANICZA”

Dziedzictwo przeszłości nie jest czymś danym raz na zawsze. Wymaga nowych odczytań, ponowień interpretacji, odwagi zapytywania o to, o co nasi poprzednicy nie mogli bądź nie mieli śmiałości pytać. Odnawianie znaczeń, przekraczanie utrwalonych stereotypów analitycznych, akty zerwania z kanonem interpretacyjnym stanowią część tego samego, żywego procesu tworzenia kultury, którego równie fundamentalną częścią są nieustanne powroty do tradycji i szacunek żywiony dla autorytetów przeszłości.

Naukowy projekt Wydawniczy „przełomy/pogranicza” publikuje prace:

- Stanowiące próbę nowego odczytania tekstów i autorów, zjawisk literackich i kulturowych dobrze już, zdawać by się mogło, znanych i rozpoznanych.
- Studia ujmujące problematykę literacką w ujęciu komparatystycznym i interdyscyplinarnym, innymi słowy: „pogranicznym”.
- Prace z zakresu najszerzej rozumianej wiedzy o kulturze i sztuce, proponujące monograficzne lub/oraz nowe, „przełomowe” ujęcia tematu.
- Książki autorów, których uznać można za klasyków badań nad pewną dziedziną humanistycznego dyskursu.
- Dzieła o literaturze, kulturze i sztuce, które – z różnych powodów – nie mogły się nigdyś ukazać, nie znalazły właściwego momentu.
- Nowe, krytyczne opracowania zapomnianych tekstów dawnych. Pragniemy, by książki publikowane w Naukowym Projekcie Wydawniczym „Przełomy/Pogranicza” tworzyły niewielkie serie i cykle tematyczne, skoncentrowane wokół pojedynczego dzieła, osoby, wątku.



Studia o romantyzmie – I
Redaktor cyklu: Halina Krukowska

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY
UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU
KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH
„WSCHÓD – ZACHÓD”

RADA NAUKOWA
NAUKOWEGO PROJEKTU WYDAWNICZEGO
– SERII „PRZEŁOMY/POGRANICZA”:

Zdzisław Jerzy Adamczyk (AH, Kielce)
Józef Bachórz (UG, Gdańsk)
Grażyna Borkowska (IBL PAN, Warszawa)
Bogdan Burdziej (UMK, Toruń)
Sławomir Buryła (UWM, Olsztyn)
Małgorzata Czermińska (UG, Gdańsk) – *Przewodnicząca*
Michał Głowiński (IBL PAN, Warszawa)
Margreta Grigorova (Wielkie Tyrnowo, Bułgaria)
Krystyna Jakowska (UwB, Białystok)
Irena Jokiel (UO, Opole)
Zbigniew Kaźmierczyk (UG, Gdańsk)
Anna Kiezuń (UwB, Białystok)
Alina Kowalczykowska (IBL PAN, Warszawa)
Jan Leończuk (Białystok)
Ryszard Löw (Tel-Aviv, Izrael)
Natalia Maliutina (Odessa, Ukraina)
Gabriela Matuszek (UJ, Kraków)
Michael J. Mikos (Milwaukee University, USA)
Swietłana Musijenko (Grodno, Białoruś)
Ewa Nawrocka (UG, Gdańsk)
Maria J. Olszewska (UW, Warszawa)
Ewa Paczoska (UW, Warszawa)
Jerzy Paszek (UŚ, Katowice)
Magdalena Popiel (UJ, Kraków)
Rościsław Radyszewski (Kijów, Ukraina)
German Ritz (Zürich Universität, Szwajcaria)
Adam Skreczko (AWSO, Białystok)
Jerzy Snopek (IBL PAN, Warszawa)
Magdalena Saganiak (UKSW, Warszawa)
Włodzimierz Szturc (UJ, Kraków)
Zofia Zarębianka (UJ, Kraków)
Ihar Żuk (Grodno, Białoruś)



Spis treści

WSTĘP

Uwagi ogólne	19
Niezwykła biografia	21
Szlaki twórczości lirycznej – zarys problematyki	39

PIEŚNI WALKI (1908)

Pieśń moja zrodzona	53
Więzień	54
Okręt zbawienia	56
Do towarzyszek więzienia	58
W noc jesienną	60
Byłem prorokiem	62
Byłem męczennikiem	63
Dzieło	65
Po śmierci	66
Wiosna idzie	68
Ogród rozkoszy	71
W ukryciu	72
Idea	74
Potępiona	78
Przeszkoda	80
Gdzieś kwitną róże	81
Jodły	83
Rycerze Giewontowi	84
Bojowiec	90

POEZJE (1908)

RZEŻBY Z LAWY

* * * A kogo ukocham	95
* * * Tak mocno wiem	96

*** Ma miłość bezbrzeżna	97
*** Śnieżystym ramieniem oplotę ci szyję	98
*** Czystszy nad śniegu białość	99
*** W rozkoszy jasnym mgnieniu	100
*** Wszystkim gorąco miłowanym	101
*** A gdyś klękał przede mną	102
*** Serce mię boli	103
Misterium miłości	104
*** Walc płacze	107
*** O przyjdź!	108
W klasztorze	109
Lohengrin	111
*** A kiedy bezmiar uśpi moją mękę	112
*** To było dawniej	113
*** Twe serce, jak bezkrwawa, bezgłówna ofiara	114
Już tylko przyjacielowi	115
*** Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią	117
*** O północnej, bezsennej godzinie	118
*** Tyś mnie zatruć niezdolny	119
*** Dal woła dobra	120
*** Co noc w gwieździsty patrzyłam strop	121
Bajaderka	122
Mniszka	124
*** Ust twoich młodych kielich rubinowy	127
Krzyk życia	128
Pieśni o pragnieniu	130

NIETOPERZOWE LOTY

We mnie jest noc	137
Dwom bogom	140
Kurhan	144
Golgota	146
Klatki	147
Życie	148
Na żer abstrakcji	149
Jak zima	151
Bez sił	152

Akord	153
Pogrzeb	154
Modlitwa o łzy	156
Grzech	157
Skazaniec	160
Fantazja panteistyczna	164
Oczekiwanie	168
Sonet	171
Wizja	172
Baśń księżycowa	174
Nadczłowiek	176
W srebrną noc	177
Brzask	180
DNI POGODY	
W zatoce	180
Nad morzem	182
Rzeka	184
Bajeczka	185
Z dialogów o przyszłości	187
O świcie	196
Żyję	198
Obudzenie	199
Ekstaza	201
* * * Długo cierpiałem	202
* * * Błogosławieństwo przesłodka narkozy	203
* * * Błogosławieństwo rozmodlonej ciszy	204
Czeremchy kwitną	205
Sosna	206
* * * Idę w słońcu	207
* * * Poniosę w gór milczenie	208
»IM«	
Nie wiercie mi	209
Chcesz-li dokoła widzieć ludzkie serca	210
Wyście w chwilach agonii	211
Upadałem, cierpiałem	212

Nie będę czciła waszego Baala	213
W miłości dusza ma rozkwita	215

CHWILE

* * * Płyną z klawiszów falami akordy	216
* * * Pokój w dębowe, ciemne boazerie	217
* * * My siedzieliśmy w ciemnej alei	218
* * * Siedzę w cichym pokoju	219
* * * Jestem chora	220
* * * Chodzę w dużym, wilgotnym, strasznie pustym pokoju	221
* * * Patrzę z pustej wieżycy	222
* * * Za oknem mym	223
* * * Róże zwiędłe	224

BRYZGI

* * * A gdy Wolność stanęła	225
* * * Wiem, że nie zejdzie cud ucieleśniony	226
* * * On wraca	227
* * * Nie dałeś mi marzeń	228
* * * Ja pragnąłem	229
Z księgi zbrodni	230
* * * Mój piękny ból	231
* * * Ja wiem	232

DNIOM ZMARTWYCHWSTANIA (1921)

I. DNIOM ZMARTWYCHWSTANIA

Duszo moja kresowa	235
Litwa	237
Inwokacje	238
Nie wytrzeźwiajcie	242
Skrzydła	243
Na północy	244
Lecz twe serce mnie pozna, Ojczyzno!	245
Do żołnierza polskiego	247
Rywalka	248
Termopile	249

Noc zmartwychwstania	251
Po ukojenie	257
Piekło polskie	260
II. PTAK – FENIKS	
Ptak – feniks	266
Zwycięstwo	268
Sita	269
Tantal	270
Atlas	271
Brzoza	272
Praca	273
Pochodnia	274
Słońce	270
Żagiew	278
Mój żagiel	279
Wcielenie	280
III. MATER-MATRI	
Matka żołnierza	283
Zwiastowanie	285
Dziecko	288
Modlitwa za dzieci	290
IV. PRZEMIANY.	
Żona Buddy	291
Wola ofiary	298
V. CHWILA ŁASKI	
Chwila łaski	305
Ja wiem o słońcu	306
Niebo	307
W kościele	308
Krzyż	311
Na ból serce pieśnią odpowie	312
Jesteś przy mnie wieczności	313
Modlitwa ta wyniosłych	314
Szczęście	315

Przyjmuję sercem, przyjmuję	316
Czara	317
Ból	318
Cud	319
Obraz cudowny	320
Dzień spokoju	321

VI. PROTEST

Prawdaż to, Polsko?	322
Golgota	324

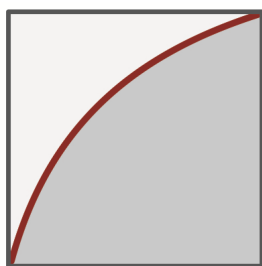
Z UTWORÓW ROZPROSZONYCH (1902–1939)

Zachód	327
Od więźniów	328
Z pieśni o rezygnacji	329
Do mego dziecka	330
Sosna	333
Przed świtem	334
Chore godziny	335
Powrót	336
Melancholia	337
Tancerka	339
Pojednanie	341
Na wsi	342
W obręczy	343
Mord	344
Błady sen	345
Pieśń miłości, pieśń tęsknoty	346
W rocznicę Grunwaldu	347
Przeszłość	350
Milczenie	351
Ląd	352
Nienawiść	353
Brzemię	354
W dzień święta	355
Dzwon zatopiony	356
Pogrzeb	359

W stepie	360
Sen	361
Na południe	362
Trzeba iść	363
O zmroku	364
Chwila	365
Tęsknota	366
U celu	367
Błogosławieństwo	369
Tannhäuser w grocie Wenus	371
Czarny Książę	375
Morze jesienne	391
Brama	392
Budowa	394
* * * Wy pola, rozłogi ojczyste... ..	396
Deszcze posępne	397
Morze	398
Rozstanie	399
Żagiew	400
O jagnięciu i nieprzyjacielu zewnętrznym	401
O jagnięciu i nieprzyjacielu wewnętrznym	402
Jak te kwiaty	403
* * * Szamoczę się w czarnej toni... ..	404
Z cyklu <i>Drogi cierniowe</i>	405
Erotyk	412
Ballada o Ryszardzie Lwie-Serce	414
Szczęście	417
Milczenie	418
Zmartwychwstanie	419
Widmo	421
Na nutę ballady	424
Z cyklu „Biała miłość”	426
Biała miłość	428
Biała miłość [III]	430
Poezje (cykl)	
Siła	431

Piękno	432
Szczęście	433
Morze i Dal	434
Skrzypce	435
Z pieśni przeciw miastu	436
Wiosna w mieście	438
Pieśń nadbrzeżna	439
Szaleństwo maszyn	440
Groźba miastu	442
Chrystus w mieście	443
Na okopach	444
Biesiada	446
Chrystus w mieście (II)	448
Pieśni o kobiecie (cykl)	451
<i>Z cyklu Szlakiem bitew</i>	
Rzeka	457
Las	458
Droga	459
Wizja	462
Powiewy	463
Historia topoli	465
Zima	467
Z cyklu <i>W Jego Imię</i>	469
* * * <i>W Jego Imię</i>	473
O sercu niedobrym	478
Z cyklu <i>Mater Matri</i>	480
Drogi cierniowe	481
Drogi cierniowe (II)	482
Jeden z wielu	484
Sama	486
Wśród pióropuszków par i lawy... ..	487
Odpowiedzialność	488
<i>Św. Jan Bosko (cykl)</i>	
Daj mi dusze... ..	489
Najszcześniejszy z ludzi... ..	490
Wódz świata pracy	491
W celi	492

Cud	493
August Czartoryski	494
Odbywam straż... ..	495
Oczekiwanie	496
Burza	497
Pręgierz	498
Odejście	499
Żebraczka	500
Adoracja	501
Litka	502
 Z WIERSZY DLA DZIECI	
O królu leśnym	515
Pogrzeb wodza	517
Wilczęta – harcerze	518
 Nota edytorska	 519
 Summary	 523



przełomy
pogranicza
studia literackie

WSTĘP

Uwagi ogólne

W przedmowie do *Antologii liryki Młodej Polski* wydanej w 1990 roku Ireneusz Sikora, prezentując sylwetkę Anny Zahorskiej, podał charakterystyczną informację: „Brak oddzielnych wydań wierszy. Brak opracowań twórczości literackiej”¹. Ponad dwadzieścia lat później sytuacja niewiele się zmieniła, pojawiły się wprawdzie artykuły na temat twórczości Savitri², nadal jednak z jej utworami lirycznymi można się zapoznać jedynie w nielicznych antologiach³, a z ich fragmentami w kilku, może kilkunastu pracach historyków literatury.

Opracowanie i opublikowanie *Poezji zebranych* Anny Zahorskiej powinno więc wypełnić lukę w prezentacji ważnych dla historii literatury tekstów, uwydatnić istotny element w poetyckiej panoramie – zwłaszcza Młodej Polski i nakreślić jeden ze szlaków, jakimi podążała twórczość autorów początku XX wieku w okresie Dwudziestolecia. Tym bardziej, że po wydaniu dwóch pierwszych tomów wierszy (1908, *Poezje*, w tym samym roku *Pieśni walki*) stała się

¹ *Antologia liryki Młodej Polski*, oprac. I. Sikora, Wrocław 1990, s. 375.

² Najobszerniejszym studium na temat twórczości lirycznej jest rozdział *Metanoia Anny Zahorskiej* w mojej książce *Między bios a zoé. Poetycka antropologia w liryce Młodej Polski. Interpretacje*, Białystok 2013. A także m.in. A. Wydrycka, *Anna Zahorska*, w teście: *Zapomniane głosy. Krytyka literacka kobiet 1890–1918*. T. I, *Wybór tekstów*, Białystok 2006; A. Wydrycka, *Batalie Anny Zahorskiej o duchowy i katolicki wymiar literatury*, w: *Światło w dolinie. Prace ofiarowane Prof. Halinie Krukowskiej*, red. K. Korotkich, J. Ławski, D. Zawadzka, Białystok 2007; A. Wydrycka, „*W Jego Imię*” *O religijnych cyklach lirycznych Anny Zahorskiej*, w: *Cykle i cykliczność. Prace dedykowane Prof. Krystynie Jakowskiej*, red. A. Kieźuń, D. Kulesza, Białystok 2010; I. Szulska, *Literacki obraz mieszkańca pogranicza w powieściach Anny Zahorskiej (Savitri)*; A. Wydrycka, *Kresy Anny Zahorskiej w: Pogranicza, Kresy, Wschód a idee Europy*, Seria II. *Wstęp* J. Ławski, red. A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2013. Materiały biograficzne: A. Grzymała-Siedlecki, *Anna Zahorska*, w teście *Nie pożegnani*, Kraków 1972; D. Hryniewicz, *Anna Zahorska i jej rodzina*, „*Kronika Warszawy* 1985, nr 1–2; D. Hryniewicz, *A. Zahorska (1882–1942) i jej córka Elżbieta (1915–1939)*, w: *Chrześcijaństwo*, t. 19, pod red. bp B. Bejze, Niepokalanów 1992; *Słownik uczestniczek walk o niepodległość Polski. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej*, red. H. Michalska i in., Warszawa 1988, s. 441; E. Głębicka, *Anna Zahorska w: Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik bibliograficzny*, red. J. Czachowska, A. Szałagan, t. 9, Warszawa 2004; W niniejszym Wstępie niektóre informacje biograficzne i bibliograficzne zostały zweryfikowane i zmienione – w oparciu o dokumenty.

³ *Poetki przelotu XIX i XX wieku. Antologia*. Red. J. Zacharska, Białystok 2000; Wcześniej w antologii *Poetki Młodej Polski*. Oprac. J. Z. Jakubowski, Warszawa 1962. Także: *Wiersze miłosne poetek Młodej Polski*. Oprac. A.K. Waśkiewicz, Warszawa 2010; Natomiast w antologii *Księga poezji młodopolskiej*, oprac. E. Zarych, Kraków 2009 nazwisko Zahorskiej w ogóle się pojawia.

Savitri poetką znaną, coraz więcej utworów publikowała też w ówczesnej prasie. Debiutanckie tomy zebrały pozytywne recenzje⁴. Bolesław Leśmian dostrzegł niewątpliwy talent, ceniła ją także Kazimiera Iłłakowiczówna – aby wymienić dwa wybitne nazwiska, do których się jeszcze odwołamy. Wczesne wiersze Zahorskiej zostały zauważone przede wszystkim dzięki odważnej liryce miłosnej, próbach pogłębienia liryki refleksyjnej, a także – w drugim tomie – wierszach związanych z pobytem w więzieniu i rewolucją 1905 roku. Autorka sygnowała oba tomy pseudonimem Savitri.

Następny tom poezji (*Dniom zmartwychwstania*) ukazał się dopiero trzynastu lat później, już po odzyskaniu niepodległości, w Wilnie (1921 r). Podpisany został pseudonimem oraz imieniem i nazwiskiem – Hanna Zahorska. Owe trzy tomy wyczerpują zasób zwartych publikacji utworów lirycznych Savitri. Nie znaczy to oczywiście, że zawierają całość jej lirycznego dorobku. Poza nimi pozostała duża ilość wierszy publikowana w ówczesnej – przedwojennej i powojennej prasie. Wszystkie odnalezione liryki zostały przedrukowane w niniejszym zbiorze w części: *Z utworów rozproszonych*.

Prezentujemy tu jedynie utwory poetyckie Anny Zahorskiej. Musimy jednak dodać, że była ona także autorką powieści i nowel⁵, dramatów⁶, licznych artykułów krytycznych i publicystycznych⁷, przekładów⁸, prac o charakterze popularyzatorskim⁹, utworów dla dzieci i młodzieży¹⁰. Uwagi domaga się zwłaszcza jej krytyka literacka, pozostająca w cieniu dokonań ówczesnych wybitnych krytyków, jednak na pewno nie pozbawiona walorów poznawczych

⁴ Np. A. Drogoszewski, *Savitri*, „Tygodnik Ilustrowany” 1909, nr 22; H. Galle „Biblioteka Warszawska” 1909, t. 2; K. Bleszyński „Krytyka” 1909, t. 2. B. Leśmian, *Savitri*, „Literatura i Sztuka” 1910, nr 21 (przedruk w: B. Leśmian, *Szkice literackie*. Oprac. J. Trznadel, Warszawa 1959, s. 264–270).

⁵ *Księga milczenia* (1914), *Utopia* (1914, 1922), *Uchodźcy* (1922), *Odrutowana okolica* (1925), *Wazon iryzowany. Nowele* (1927) *Trucizny* (1928, 1931), *Młyn nad Sałgirem* (1929), *Ikiala. Powieść egzotyczna z Polski i Madagaskaru* (1938), *Ofiara poranna. Chrystusowiec Józef Miękus* (1939)

⁶ *Brunhilda* (1910), *Słoneczna Pani* (1912) *Bezrobocie*

⁷ Kilka artykułów krytycznych Savitri przedrukowałam w przywołanej już antologii *Zapomniane głosy... Osobno wydane zostały studia: Maria Rodziewiczówna i jej dzieła* (1931), *Narcyzy Żmichowskiej powrót do literatury* (1932).

⁸ V. Bogoraz, *Ofiary smoka. Romans z życia pierwotnego ludzkości*. (1910), F. Sologub, *Drobny bies* (1916), A. Auffray *Pedagogia świętego* (1932).

⁹ Wiele prac dla Wydawnictwa Salezjańskiego, m.in. ok. 50 książeczek o świętych w serii „Kłosa z Bożej Roli”, *Żołnierze święci* (1933), *Ilustrowane żywoty świętych polskich* (1937), *Żywot bł. Marii Mazarello* (1938).

¹⁰ M.in. *O Królowej Zimie i Królewiczu Słońca. Baśń* (1925), *.Do kraju olbrzymów, Czterech konkurentów* (1927), *W szponach czarownicy* (1928), *W piekle ziemi* (1929),

i artystycznych, reprezentująca wysoki poziom analityczny, a także będąca świadectwem wnikliwej samoświadomości epoki.

Niezwykła biografia

Urodziła się Anna Zahorska (czyli wówczas Hanna Antonina Elzenberg)¹¹ w r. 1882 na tzw. „ziemiach zabranych”, w Witebsku lub w majątku Byszlaki pod Mohylewem. Wcześniejsze źródła podają Witebsk, późniejsze Byszlaki, bardziej prawdopodobnym miejscem urodzenia jest jednak Witebsk, ponieważ jej brat – Eugeniusz Romuald Elzenberg, urodzony w 1881 roku, konsekwentnie, we wszystkich dokumentach jako miejsce urodzenia podaje Witebsk¹². Matką była Bronisława z Kowalewskich – z jej strony poetkę łączyło pokrewieństwo na pewno z Parczewskimi (ciotka – Zofia z Kowalewskich Parczewska)¹³, być może z Hołyńskimi¹⁴. Ojciec Anny to Gustaw Elzenberg, brat Henryka Elzenberga, adwokata, redaktora i publicyisty, zaprzyjaźnionego m.in. z Elizą Orzeszkową, z Walerią Marrené-Morzkową¹⁵ oraz Antoniego Elzenberga, znanego lekarza¹⁶. Gustaw Elzenberg był m.in. wicedyrektorem Banku Azowsko-Dońskiego w Symferopolu na Krymie, o czym informuje w swoich dokumentach Eugeniusz Elzenberg. Anna Zahorska jest więc siostrą stryjecną syna adwokata, Henryka Elzenberga, wybitnego filozofa. Ze strony ojca była także spokrewniona z Bolesławem Leśmianem i z Antonim Langem. Jej matka – Bronisława z Kowalewskich, zmarła 20 grudnia 1906 roku w Warszawie¹⁷,

¹¹ Petersburski „Kraj” (1895, nr 38) podaje, że 21 września 1895 r. zmarła właścicielka ziemska Antonina Kowalewska, lat 82. Czy – jak można domniemywać ze względu na drugie imię poetki – była jej krewną ze strony matki – Bronisławy Kowalewskiej, nie wiadomo.

¹² Centralne Archiwum Wojskowe, *Elsenberg Eugeniusz Romuald*,teczka personalna. Ap 118.

¹³ Por. Listy Zofi z Elzenbergów Błażejewiczowej do Henryka Elzenberga. Archiwum Henryka Elzenberga UMK. Rkps 1863. *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (t. XV, Warszawa 1900, cz. 1, s. 289) podaje, że właścicielami Byszlaków byli Parczewscy.

¹⁴ Informacje rodziny – najstarszego syna Zahorskiej, Bronisława, który też zanotował, że matką chrzestną Anny była Helena Hołyńska.

¹⁵ Por. Listy Henryka Elzenberga do Elizy Orzeszkowej. Archiwum Elizy Orzeszkowej Instytutu Badań Literackich PAN w Warszawie, sygn. 800. Waleria i Władysław Marrené byli rodzicami chrzestnymi Henryka Elzenberga (parafia św. Jana w Warszawie, nr aktu 601/1886).

¹⁶ Polski Słownik Biograficzny, t. VI, Warszawa 1948, s. 232–233, 238–239. Nazwisko Elzenberg pojawia się też obocznie, w wersji Elsenberg, czasami w przypadku tej samej osoby. Dotyczy to też Henryka redaktora (Elzenberg) i Antoniego lekarza (Elsenberg) w PSB, choć byli rodzonymi braćmi, o czym już PSB nie informuje.

¹⁷ Nekrolog „Przegląd Poranny” 1906, nr 92, s. 3.

pochowana została na cmentarzu Powązkowskim, w grobowcu Rodziny Elzenbergów, tym samym, w którym w 1967 roku pochowano wybitnego filozofa Henryka Elzenberga. Atmosfera domu musiała być bardzo patriotyczna, zachowała się pamiątka z powstania styczniowego, obrazek, który Anna później, w 1939 roku wręczyła jednemu ze swoich synów, udających się na front¹⁸. Drugie imię jej brata – Romuald też nie jest zapewne przypadkowe, podobnie jak fakt, że przyjął on pseudonim Rohland – nazwisko generała z okresu powstania listopadowego.

Anna (a raczej Hanna, bo takiego imienia wówczas używała) miała dwie siostry i brata. Najstarsza – Zofia, po mężu Błażejewiczowa, zaprzyjaźniona była przed pierwszą wojną ze stryjecznym bratem Henrykiem, który do końca życia przechował jej listy¹⁹. W czasie pierwszej wojny światowej i rewolucji Zofia przebywała w Drybinie niedaleko Mohylewa, jakie później były jej losy – nie wiadomo²⁰. Brat Anny – Eugeniusz Elzenberg ukończył korpus kadetów w Moskwie. Działał w tamtejszym oddziale Polskiej Partii Socjalistycznej. Siostra po latach tak wspominała wczesny okres jego socjalistyczno-narodowej aktywności; rzecz dzieje się oczywiście w Moskwie:

Młodzież sprawiła sobie latarnię-karbidówkę i ilustrowała odczyty przezroczami Czynni byli w tym Władysław Dzierżyński, bliski PPS, brat słynnego Feliksa Dzierżyńskiego, polskiego esdeka, późniejszego działacza bolszewickiego i ś.p. kpt. Eugeniusz Elzenberg, zabity na wojnie 1920 roku i po śmierci nagrodzony krzyżem *Virtuti Militari*. Elzenberg miał swoje kółka żołnierskie aż w dzielnicy fabrycznej „Simonow Monastyr”. Latarnię daleko, na krańce, gdzie nie dochodziły tramwaje, nosił na plecach i raz o mało nie zamarzył w takiej okazji. Elzenberg, po aresztowaniu na manifestacji majowej wyjechał do Genui, do Scuola Maritima Navale. Kółka żołnierskie doszły przy nim do rozwoju dosyć znacznego²¹.

W słowniku *Oficerowie Legionów Polskich* czytamy, że Eugeniusz ukończył wydział mechaniczny szkoły technicznej w Berlinie, uzyskując dyplom inżyniera budowy maszyn²². Wiemy też, że w Krakowie pełnił rolę bibliotekarza PPS, zachował się nawet list pisany do niego przez Józefa Piłsudskiego. Był

¹⁸ Informacje rodziny Eugeniusza Zahorskiego.

¹⁹ Archiwum Henryka Elzenberga, Rkps 1863.

²⁰ Zofia miała dwoje dzieci – Zygmunta i Jadwigę. Prawdopodobnie to jej córka, ur. w 1900 roku, była w latach trzydziestych portretowana przez Witkacego (Portrety Jadwigi Sobolewskiej z domu Błażejewicz).

²¹ A. Zahorska, *Z dziejów PPS w Moskwie*, „Niepodległość” 1934, t. 10, z. 3, s. 470–471.

²² W. K. Cygan, *Oficerowie Legionów Polskich 1914–1917. Słownik biograficzny*, Warszawa 2005.

członkiem Związku Walki Czynnej i Polskich Drużyn Strzeleckich. W Zakopanym uczył matematyki i pełnił rolę wykładowcy taktyki na kursach strzeleckich. Ale przede wszystkim był człowiekiem niezwykłym, pełnym humoru oryginałem, jak wspominali go znajomi²³. Sympatią darzył go Witkacy, który też go kilkakrotnie portretował²⁴. Sylwetka brata Anny Zahorskiej domaga się osobnego opracowania, w tym miejscu podajemy tylko niektóre fakty.

1 sierpnia 1914 roku Eugeniusz Elzenberg wyruszył z 1 pp. Legionów Piłsudskiego. Był potem m. in. instruktorem w Szkole Podchorążych, służył w II Brygadzie Legionów i w Armii Hallera. Ranny 25 lipca 1920 roku w wojnie polsko-bolszewickiej znalazł się w niewoli. Prawdopodobnie został rozstrzelany. Zahorska poświęciła mu przejmujący wiersz *Jeden z wielu* (publikowany w „Polsce Zbrojnej”, przedrukowany w niniejszym tomie), w którym krótko nakreśliła losy brata i jego ostatnie dni.

Oboje byli zaprzyjaźnieni, to właśnie adres Anny Zahorskiej podawał w swoich dokumentach Eugeniusz Elzenberg, jako adres rodziny²⁵. A siostra starała się o nadanie mu pośmiertnie Krzyża Niepodległości, który otrzymał, podobnie jak order *Virtuti Militari*. Pośmiertnie został też awansowany do stopnia majora.

Prawdopodobnie przejawiał jakieś ambicje literackie. Henryk Elzenberg – filozof, który też zresztą walczył w Legionach i w wojnie polsko-bolszewickiej, przechował w swoich dokumentach wiersz Eugeniusza Elzenberga na temat śmierci. Zaopatrzył go własną adnotacją: „Wiersz mojego brata stryjecznego Eugeniusza E.”²⁶

Należy jeszcze wspomnieć o najmłodszej siostrze Savitri, która pojawia się przede wszystkim w listach. Ludwika dwukrotnie wychodziła za mąż, najpierw na Jana Łackiego, później za Drozdowskiego, zmarła w r. 1971, pochowana została w Gliwicach²⁷.

Anna Zahorska czyli Hanna Elzenberg, jak się wówczas podpisywała, pensję ukończyła w Moskwie. W Moskwie też pracowała, prawdopodobnie w *Pol-dihutte*, *Tiegelgussstahl-Fabrik*, gdyż na papierze listowym tej firmy pisała w listopadzie 1902 roku list do Zenona Przesmyckiego z prośbą o wydrukowa-

²³ Por. A. Uziembło, *Ludzie i Tatry*, Warszawa 1987; M. Porwit, *Spojrzenia poprzez moje życie*, Warszawa 1986. L. Mitkiewicz, *W wojsku polskim 1917–1921*. Przedmowa Gen. Klemens Rudnicki, Londyn 196, s. 193–195.

²⁴ Np. tzw. Obraz batalistyczny. Por. A. Żakiewicz, *Wszyscy znajomi*, „NaGłos”, 1992 nr 8

²⁵ Centralne Archiwum Wojskowe, *Elsenberg Eugeniusz Romuald*,teczka personalna. Ap 118.

²⁶ Archiwum Henryka Elzenberga, Rkps

²⁷ Informacje pochodzą od wnuka Anny Zahorskiej – Andrzeja Fostowicza-Zahorskiego.

nie w „Chimerze” swoich utworów. Wyznawała jednocześnie redaktorowi, że zmuszona jest do pracy zarobkowej:

Proszę o wydrukowanie załączonego utworu, o ile tenże będzie się nadawał [...], jest to bowiem pisane pod wrażeniem chwili, ale stanowi jedną z całego szeregu symfonii, które mam zamiar napisać, ale do których boje się brać, żeby nie zepsuć dobrych pomysłów brakiem artystycznego wyrobienia i chronicznym przemęczeniem się filisterską troską i pracą. Jestem bowiem w takim położeniu, że nie tyle sama potrzebuję jeść, ile drugich nakarmić [...]²⁸

Możemy się domyślać, że poetka wysłała Miriamowi jeden z utworów z cyklu *Symfonia pragnienia*. Nie doszło jednak do druku tego cyklu w „Chimerze”. Został on w końcu opublikowany w „Ateneum” (1904, nr 6) i przedrukowany później w tomie *Poezje pt. Pieśni o pragnieniu*. Zaś rok napisania listu do Miriama – 1902, to także czas debiutu poetki (wiersz *Zachód*, „Biesiada Literacka” 1902, nr 50, s. 1). W tym właśnie roku Hanna Elzenberg rozpoczęła więc starania o publikację wczesnych wierszy.

Pobyt w Moskwie to jednak nie tylko początki twórczości i wyczerpująca praca w biurze fabryki. Hanna Elzenberg wstąpiła wówczas do Polskiej Partii Socjalistycznej. Prowadziła tam „robotę” wśród żołnierzy i robotników²⁹. Swoją ówczesną działalność wspominała po latach; warto przytoczyć fragmenty jednego z nielicznych tekstów na temat środowiska polskiej młodzieży w Moskwie na początku XX wieku:

W okresie wojny japońskiej zaznaczył się podział młodzieży polskiej – akademików i panienek z domów, w których bywała młodzież – na narodową i socjalistyczną. Młodzież socjalistyczna miała w swoich szeregach więcej elementów przedsiębiorczych. Prowadziła ona robotę oświatową wśród żołnierzy-Polaków, bardzo licznie odbywających wojskowość w Moskwie. Zbierano żołnierzy w lokalach prywatnych, najczęściej robotniczych i urządzano dla nich pogadanki. [...] Po rozproszeniu się około roku 1904 znacznej części energiczniejszych akademików robota wśród młodzieży ucichła. Do mego mieszkania, które nieraz służyło na zebrania, zgłosił się jeden z żołnierzy – rozbitków. Ruch rewolucyjny rosyjski narastał i zagarniał polskich robotników. Chodziło o to, żeby nie zmarnowali się w tym ruchu, któremu nikt, kto znał wówczas Rosję, nie wróżył powodzenia. [...] porzuciłam dotychczasową pracę społeczną, która polegała na uczeniu potajemnym dzieci polskich, przeważnie robotniczych i zaczęłam montować organizację. [...]

²⁸ Listy do Zenona Przesmyckiego, Rkps BN 5324. Podpisane: Hanna Elzenberg

²⁹ A. Próchnik, *Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym*, Warszawa 1948, s. 43.

Teraz mówiłam już otwarcie o Polsce i wyzwoleniu polskiego ludu pracującego w wolnej i niepodległej ojczyźnie. Na całym naszym pokoleniu odbił się wpływ książek Bolesława Limanowskiego. Jego książki czytaliśmy na kółku, które zbierało się u mnie, a do którego należał płk. Tadeusz Kornitowicz i płk. Zygmunt Raźniewski. [...]

Organizacja rosła. Obchodziliśmy 1 i 3 maja. Urządzaliśmy tłumne wycieczki za miasto. Później na takich wycieczkach zaczęliśmy się ćwiczyć w strzelaniu³⁰.

Wspomina też Zahorska kursy wakacyjne w Zakopanym, dokąd jeździła kilkakrotnie z Moskwy. Zjeżdżała tam wówczas młodzież ze wszystkich zaborów, odbywały się wykłady z socjologii, z literatury, z historii, wystawiano dramaty Wyspiańskiego.

Kiedy wybierałam się na te kursa po raz pierwszy (a może drugi?) Czarny Michał³¹ dał mi do przewiezienia dane o przesuwaniu się wojsk rosyjskich. [...] Dane te, przejechawszy przez Częstochowę-Herby wręczyłam w Zakopanem w jednej willi człowiekowi, już wtenczas legendarnemu, którego nazywano „Ziuk”...³².

Organizacja PPS w Moskwie dalej się rozwijała, jednocześnie nasilało się wrzenie rewolucyjne. Zahorska opisuje, jak pewnego razu znalazła się w samym środku barykad. Przez pewien czas trwała strzelanina, potem cichła, na ulice wychodzili przechodnie i oglądali barykady. Przechodziły oddziały policji i wojska, i znów strzelali rewolucjoniści. W takich warunkach doszła do wniosku, że praca staje się jałowa i nieproduktywna. Niebawem więc zdecydowała się opuścić Moskwę:

Wkrótce też po barykadach i po napadzie PPS na Wysokie Mazowieckie jechałam do kraju, by tam czynnie pracować w PPS, zapoznać się z kolportażem broni, z pracą konspiracyjną... i z więzieniem. Za mną jechali robotnicy, przyciągnięci przeze mnie w Moskwie, by wstąpić do partii. Nazwano ich „posagiem Hanki dla partii”³³.

Intensywna działalność jako socjalistki, szerokie kontakty w ramach PPS, a także refleksje związane z ideologią socjalistyczną stanowiły inspirację do

³⁰ A. Zahorska, *Z dziejów PPS w Moskwie*, „Niepodległość” 1934, t. 10, z. 3, s. 470–471.

³¹ Aleksander Sulkiewicz

³² „Niepodległość” 1934, t. 10, z. 3, s. 472

³³ Tamże, s. 474.

napisania dramatu *Pani Słoneczna* oraz utworu prozą *Księga milczenia*. W dramacie, bezpośrednio odwołującym się też do twórczości Słowackiego, zaznacza się konflikt córki – działaczki socjalistycznej i matki, przeciwnej ideom rewolucyjnym, wymagającej podporządkowania, traktującej córkę trochę jak swoją własność. Czy można się tu dopatrywać wątków autobiograficznych? Matka Anny – Bronisława Elzenbergowa zmarła 20 grudnia 1906 roku, Savitri przebywała wówczas prawdopodobnie w więzieniu na Pawiaku³⁴. W tym kontekście warto przypomnieć wiersz *Pojednanie*, opublikowany w „Kurjerze Warszawskim” w 1909 roku (przedrukowany w niniejszym tomie). Pisze w nim Zahorska o „matczyńskich dłoniach” widzianych we śnie, używa też formuły „ogniwo łańcucha”, które w jej języku poetyckim oznacza następstwo pokoleń.

Można domniemywać, że *Pojednanie* zawiera elementy autobiograficzne, jak wiele innych utworów, o których jeszcze powiemy.

Udział w rewolucji 1905 roku (nie wiemy jednak dokładnie w jakiej roli) zapłaciła poetka wielomiesięcznym uwięzieniem. Pobyt na Pawiaku i wydarzenia rewolucyjne stanowiły inspirację tomu *Pieśni walki*, znajdziemy w nim adnotacje, że niektóre wiersze właśnie na Pawiaku były pisane.

Po wyjściu z więzienia Savitri zamieszkała w Krakowie, podjęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim³⁵, wyszła za mąż za poznanego jeszcze w Rosji Eugeniusza Zahorskiego, wielokrotnie osadzanego w ciężkich twierdzach rosyjskich za działalność niepodległościową³⁶. Urodziła pierwszego syna – Bronisława, a macierzyństwo było dla niej niezwykle doświadczeniem, o czym pisała m. in. w wierszu *Dziecko*.

Pobyt w Krakowie to także czas intensywnej twórczości literackiej i krytycznej. Zahorska współpracowała wówczas ze „Sterem”, „Prawdą”, „Sfinksem”, „Krytyką”, „Naprzodem”, „Literaturą i Sztuką”, „Światem”, „Tygodnikiem Ilustrowanym”, „Bluszczem” i innymi czasopismami. Z r. 1907 pochodzi jej kolejny list do Miriama, z prośbą o wydrukowanie w „Chimerze” fragmentu poematu dramatycznego „Brunhilda”³⁷. Przesmycki wydrukował fragment owego utworu w ostatnim numerze „Chimery” (1907, t.10, z. 30). Fragment poematu był w tym samym czasie publikowany w „Prawdzie” (1907, nr 36, 37).

³⁴ Por. Z. Kruszevska, *Życie i muzyka więzienia (1906–1907)*. „Niepodległość”, 1937, t. 15, z. 1, s. 87. Autorka artykułu pisze o wspólnym obchodzeniu Wigilii w 1906 r., na której Savitri deklamowała wiersze.

³⁵ M. Barcik, A. Cieslak, D. Grodowska-Kuklinska, U. Perkowska, *Corpus Studiosorum Universitatis Jagellonicae 1850/51 – 1917/18*. Pod red. Krzysztofa Stopki. Kraków 2006, s. 35

³⁶ M.in. więziony był przez 8 miesięcy w 1905 r. w podziemiach Twierdzy Pietropawłowskiej, co przyczynił utratą zdrowia (informacje Aleksandry Sieniawskiej)

³⁷ Listy do Zenona Przesmyckiego, Rkps BN 5324.

Brunhildę w całości drukował „Sfinks” w 1910 roku, została też wydana w osobnej odbitce. *Brunhilda*, jako utwór oryginalny, choć nawiązujący do Wagnera, przyczynił się niewątpliwie do zwiększenia popularności poetki o intrygującym pseudonimie Savitri³⁸. Pisano o „przepolszczeniu” przez Zahorską niemieckiego mitu o Nibelungach³⁹.

W 1910 roku Zahorska brała udział w tzw. Obchodzie grunwaldzkim (stuletnia rocznica bitwy pod Grunwaldem, odsłonięcie Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie). Uczciła to wydarzenie wierszem *W rocznicę Grunwaldu*, publikowanym w dzienniku „Naprzód”. Bywała w Zakopanym, w Tekłomirze – majątku rodziny męża w powiecie święciańskim. Mieszkała też prawdopodobnie w Warszawie. To na wieczorze w jej domu, w lutym 1911 roku był recytowany wiersz Bolesława Leśmiana *Żal*⁴⁰. Podróżowała po Rosji, w 1913 roku urodziła w Samarze córkę Wandę⁴¹. W 1922 roku wspominała, że jeździła wówczas bez przerwy „od Libawy i Rygi, aż do Kijowa i Odessy, zakładając, gdzie się tylko dało, kółka oświatowe”⁴².

Intensywnej twórczości, wielu podróżom, licznym obowiązkom rodzinnym, towarzyszyło też intensywne życie towarzyskie, związane najczęściej z pracą. Zahorska była osobą niezwykle aktywną na różnych polach. Tuż przed wojną spotkała ją Zofia Nałkowska, której utwory Savitri recenzowała, nie zawszę zresztą z zachwytem⁴³. Nałkowska w „Dziennikach” tak opisała to spotkanie:

W sobotę byłam w „Świecie” z projektem renesansowych felietonów, słyszałam wielce miłe felicytacje Krzywoszewskiego, z racji *Luster* oraz spotkałam przełotnie dawniej poznaną Savitri. Lubię fizycznie tę ładną, chociaż niezgrabną kobietę; jest mało mądra, za to pełna wdzięku, jakiejś bezbronnej dobroci. Bardzo źle ubrana, źle się zachowująca – dobroduszna i ufna, przejęta również okultyzmem, przepracowana i chora na nerwy. Jest wyznawczynią bojkotu Żydów, chociaż ojciec jej był Żydem. Z tym wszystkim mam dla niej masę serdeczności z powodu jej uśmiechu i było mi bardzo przyjemnie być z nią pół godziny w kawiarni⁴⁴.

³⁸ O znaczeniu pseudonimu i interpretacji *Brunhildy* szeroko pisałam w mojej książce *Między bias a zoé...* Dz. cyt.

³⁹ Recenzja E. Woronieckiego, „Krytyka” 1911, t. 2, s. 285–288.

⁴⁰ P. Łopuszański, *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią*. Warszawa 2006, s. 403.

⁴¹ Wg informacji rodziny męża, Eugeniusza Zahorskiego. Wg Listy cywilnych ofiar Powstania Warszawskiego Wanda (po drugim mężu Maliszewska), z domu Zahorska urodziła się w sierpniu 1914 roku.

⁴² „Tygodnik Polski” 1928, nr 8, s. 3.

⁴³ Por.

⁴⁴ Z. Nałkowska, *Dzienniki II. 1909–1917*. Oprac. Wstęp i komentarz H. Kirchner. Warszawa 1976, s. 328.

Oprócz opisu wrażeń Nałkowskiej wygląd zewnętrzny Savitri możemy poznać na podstawie jej publikowanych fotografii – w „Tygodniku Ilustrowanym” (1909, nr 22), w „Świecie” (1913, nr 43). Prawdopodobnie też podobizna poetki widnieje na okładce jej tomu *Poezje*, sygnowanej przez Bukowińskiego.

Nałkowska zapamiętała, że Savitri była wówczas (czyli ok. 8 czerwca 1914 roku, bo taką datą w jej *Dzienniku* została opatrzona relacja ze spotkania) przejęta okultyzmem. O metafizycznych zainteresowaniach i poszukiwaniach religijnych Zahorskiej świadczą już niektóre wiersze z pierwszych tomów, a zwłaszcza dwukrotnie publikowana powieść *Utopia* (1914, 1922), nawiązująca do filozofii genezyjskiej i twórczości Słowackiego. Możemy jednak przypuszczać, że jeszcze przed I wojną Zahorska doznała nawrócenia⁴⁵. Dowodem jest chociażby poemat *Chwila modlitwy* publikowany w 1914 roku w „Tygodniku Ilustrowanym”. Wskazuje on radykalną zmianę perspektywy, jeśli porównamy ten poemat z licznymi wierszami – buntowniczymi, a nawet bluźnierczymi, publikowanymi przed 6 laty w tomie *Poezje*, zwłaszcza w cyklu *Rzeźby z lawy*.

Po wybuchu wojny Anna znalazła się w Rosji. Być może odwiedzała Drybin, w którym przebywała jej siostra Zofia, gdyż ta pisała do Henryka Elzenberga o jej dzieciach. W Wiaźmie, w obwodzie kujbyszewskim urodziła w 1916 roku córkę Elżbietę. Na pewno mieszkała w Moskwie, tam w 1917 roku urodziła syna Dominika. O tym, że przeżyła w Rosji rewolucję, była świadkiem wielu dramatycznych i drastycznych wydarzeń (np. zajęcia Kijowa przez armię bolszewicką), świadczą fragmenty jej niektórych późniejszych recenzji i artykułów, jakkolwiek nigdy nie napisała na ten temat żadnego dłuższego tekstu.

Natomiast nieliczne publikacje z okresu wojennego wskazują, że Zahorska niezachwianie wierzyła w powstanie niepodległego państwa polskiego. Pisała o tym już w 1915, w cyklu wierszy publikowanym w ukazującym się w Moskwie „Echu Polskim” (1915, nr 9, s.7). „Przyszłe, a bliskie tve zwycięstwo” – taka właśnie fraza na temat ojczyzny kończy cykl *Poezje*, który ukazał się drukiem w listopadzie 1915 roku. „Echo Polskie” było wydawane w Moskwie przez Aleksandra Lednickiego, posła do rosyjskiej Dumy. Do Komitetu Redakcyjnego należał m.in. Tadeusz Miciński, którego Zahorska знаła, a który także głosił konieczność odrodzenia bytu państwowego Rzeczypospolitej⁴⁶, ale pew-

⁴⁵ Szeroko pisałam o tym w swojej książce *Między bios a zoé...* dz. cyt., s. 197–210.

⁴⁶ O recenzjach dzieł Micińskiego pióra Zahorskiej i wzajemnych relacjach pisałam w artykule *Metamorfozy czytania. O recepcji dzieł Tadeusza Micińskiego w artykułach Anny z Elzenbergów Zahorskiej*. [w:] *Bibliotheca mundi. Studia bibliologiczne ofiarowane Janowi Leończukowi*. Red. nauk. J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016.

ność Savitri co do powodzenia tej sprawy już w 1915 roku była naprawdę niezwykłą.

W 1916 roku Savitri zamieściła w „Echu” dłuższy artykuł na temat kształcenia polskich dzieci na obczyźnie⁴⁷. Postulowała stworzenie własnego środowiska kulturalnego, wskazywała konieczność nauczania języka, kształcenia etycznego, przestrzegała przed niebezpieczeństwem „połowicznej kultury”, po części polskiej, po części obcej, twierdząc, że „ludzie połowiczni nigdy nic nie stworzyli, prócz kariery własnej”. Obraz „samolubnego targowiska” powinien ustąpić projektowi doskonalenia moralnego i duchowego. Zahorska doceniała rolę etyki i kultury w kształtowaniu bytu Rzeczypospolitej, a nawet w dziele odzyskania przez nią niepodległości. Ten właśnie zapomniany, niewymieniany w żadnych bibliografiach artykuł jest jej ważnym głosem w tej sprawie. Dowodzi też wymiaru poświęcenia, do którego było zdolne ówczesne pokolenie. Pewność odzyskania przez Polskę niezależnego bytu państwowego, a nawet projekty dotyczące kształtu kultury pojawiały się też w innych publikacjach Savitri. Na przykład w „Głosie Polskim”, wydawanym w Piotrogradzie, już w 1915 roku (!) ukazał się jej artykuł samym tytułem wskazujący niezachwianą nadzieję powstania niepodległego państwa: *O przyszłym życiu i przyszłej książce polskiej*⁴⁸.

Czytając owe publikacje, łatwo sobie wyobrazić jak wielkim, radosnym przeżyciem było dla Zahorskiej pojawienie się na mapie Europy II Rzeczypospolitej. Skądinąd wiemy, że ów fakt był wynikiem skomplikowanych procesów i wydarzeń, które nie zakończyły się bynajmniej w 1918 roku.

Zahorska wróciła z ogarniętej rewolucją Rosji do majątku rodziny męża – do Teklomira. Mimo powiększającej się rodziny i związanych z tym obowiązków, nie zaprzestała pracy na rzecz niepodległego państwa polskiego. Należała do założycieli tzw. Straży Kresowej w Okręgu Wileńskim. Możemy zapoznać się z jej raportami o sytuacji w powiatach święciańskim i wilejskim w 1919 roku. Był to wówczas trudny i dynamiczny czas agitacji bolszewickiej na Kresach, konfliktów i sporów ideologicznych ludności polskiej, litewskiej, żydowskiej, białoruskiej, a także wyznawców prawosławia i katolicyzmu, religii żydowskiej oraz propagandy ateistycznej. Konfliktom i agitacji towarzyszyła dotkliwa nędza ludności, cierpienia związane ze zniszczeniami wojennymi, rekwizycje wojska, epidemie. Aktywność Zahorskiej była zaiste imponująca. W 1919 roku pisała:

⁴⁷ *O dusze dzieci*, „Echo Polskie” 1916, nr s. 7–10.

⁴⁸ „Głos Polski” (Piotrogród) 1915, nr 50.

Objechałam kolejno następujące miejscowości: Hoduciszki, parę zaścianków, Kownaje, Karolinów, Kobylnik, z powrotem: Suzlany, Wojksny, Melengiany – parę wsi. Wróciłam do stacji Świąciany na zjazd instruktorów samorządowych, w którym wzięłam udział, i pojechałam znów: Kobylnik Stacja i Nowy Miadziół, Nowosiołki, Brusy, Jeżeńce, Karolewicz, Iża, Rużeniec, Wilejka, Krzywicz, Dołhinów, Swatki i inne wsie – zjazd w Świącianach. Wilejka, Mołodeczno – Wilno⁴⁹.

Wymienione miejscowości objął tylko jeden, dłuższy raport, podobnych objazdów było zapewne dużo więcej. W tym samym czasie mąż Savitri – Eugeniusz Zahorski pełnił obowiązki instruktora powiatowego Straży Kresowej w Bobrujsku, objeżdżał Okręg Miński i także pisał raporty. W styczniu 1920 roku został wybrany prezesem Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego, które powstało w Mińsku.

W roku 1931 Anna Zahorska otrzymała Medal Niepodległości – odznaczenie ustanowione w 1930 roku, przyznawane za działalność niepodległościową przed I wojną, w czasie jej trwania i w latach 1919–1921⁵⁰.

Przyczyniła się do tego niewątpliwie aktywność powojenna na Kresach, choć poetka zapewne podejmowała i wiele innych działań, o których już dzisiaj nie wiemy.

Zachował się natomiast publikowany w ówczesnej prasie niezwykle ciekawy reportaż z lata 1920 roku – jak wiadomo, był to czas starcia polsko-bolszewickiego, apogeum wojennego konfliktu. Anna Zahorska przedzierała się w przebraniu przez front, ponieważ jej dzieci zostały, jak to wówczas mówiono – „pod bolszewikiem”, a matka chciała je ratować. Okazało się jednak, że dzieci szczęśliwie dojechały do Warszawy, podczas gdy ona omal nie straciła życia. Relacja z owej wędrówki zawiera wiele interesujących szczegółów, promieniuje autentyzmem, emocjami, okazuje się niezwykle ciekawym dokumentem ówczesnych wydarzeń. W bibliografii poetki próżno szukać tego artykułu⁵¹. A jest on także dowodem jej wielkiej odwagi, uporu i determinacji. Nawet dzisiaj trudno sobie

⁴⁹ *O Niepodległa i granice. Raporty straży kresowej 1919–1920. Ziemi północno-wschodnich opisanie*. Wstęp, wybór i opracowanie J. Gierowska-Kallaur, Warszawa-Pułtusk 2011, s. 847.

⁵⁰ Listę odznaczonych podaje „Polska Zbrojna” 1931, nr 102, s. 2.

⁵¹ Adres bibliograficzny: H. Zahorska (Savitri), *Pod bolszewikiem. Wrażenia z niewoli*. Cz. I, *Z Warszawy na front, Pod kulami bolszewickimi*, „Kurier Poranny” 1920, nr 250, s. 4. Cz. II, *U bolszewików, Moskiewskie dusze, w Rewkomie*, „Kurier Poranny” 1920, nr 251, s. 3. Cz. III, *Czeczyczajka, W partii więźniów, Bolszewiccy żołnierze*, „Kurier Poranny” 1920, nr 253, s. 4. Cz. IV, *Wyrok śmierci, Ucieczka*, „Kurier Poranny” 1920, nr 254, s. 4. Cz. V, *Na manowcach i bezdrożach, Ocalenie*, „Kurier Poranny” 1920, nr 256, s. 4.

wyobrazić, kiedy tak dużo już wiemy o agresji bolszewickiej, ową trzydziesto-
paroletnią kobietę podejmującą samotną wyprawę przez linię frontu, aby prze-
dostać się na Wileńszczyznę.

Wyruszyła Zahorska pociągiem z Warszawy, razem z żołnierzami udają-
cymi się na front. Noc spędziła w wagonie prowiantowym, kiedy pociąg doje-
chał do ostatniej stacji po polskiej stronie, wyruszyła dalej na wozie z amunicją.
Przejsie linii frontu okazało się niełatwe, a z rozmów z żołnierzami w okopach
wynikało, że niektórzy byli już zniechęceni i zdemoralizowani klęskami, prze-
siąknięci wrogą agitacją. Ze smutkiem Zahorska obserwowała też antypolskie
nastroje we wsiach, gdzie nie chciano udzielić jej pomocy. W miejscowości
Sarnak przebrała się w strój wiejskiej kobiety – „boso, fartuszek, chusteczka”.
Pod kulami przedostała się do następnej wsi, gdzie panowała już władza bol-
szewicka. Na początku udało jej się uniknąć uwięzienia, ponieważ przekonują-
co udawała przerażoną kobietę wiejską. Sugestywnie opisuje osoby, które spo-
tkała, niebezpieczeństwa, grożące na każdym kroku oraz drogę, którą przemie-
rzała, idąc pieszo wzdłuż Bugu w stronę Siemiatycz:

Przy szosie za Bugiem gniły trupy koni. Często wznosiły się kopczyki obło-
żone kamieniami, groby poległych żołnierzy i uchodźców. Widać ciała były zakopane
niegłęboko. Straszliwy trupi zaduch unosił się nad drogą⁵².

Siemiatycze były wówczas ośrodkiem władzy agresora. Chcąc iść dalej,
Zahorska musiała starać się o przepustkę. W Komitecie Rejonowym (Rewkomie)
oszukano ją, a w oddziale osławionej czerezwyczajki – zatrzymano, prze-
konując jednocześnie, że wcale nie jest aresztowana. Następnie z grupą więź-
niów i polskich jeńców transportowano ją pod eskortą do Prużan. Kilka dni
trwała owa podróż, wśród przekleństw eskortujących żołnierzy, trudu wędrowki
i obserwowanych okrucieństw, a w końcu i głodu:

Jechaliśmy długimi drogami wśród rzadkich wsi i ciemnych lasów. W jed-
nym miejscu wysokie kwiaty fioletowe stały owiane obłokiem blado-lila puchów
nasiennych, lekkich jak marzenie, cicho się chwiały paprocie i wśród wykrotów
i złomów drzewnych płynęła rzeczka... Ale straszne władze czerezwyczajki ciążyły
nad nami... Z urągowskiem wydawał się wobec ciszy i piękna krwawy, wrogi
świat wojny.

Starzec, któremu odebrano wóz i konie, kiedy był w taborze, szedł z nami
odprowadzany na miejsce zamieszkania. Wpadał w coraz to większe obłąkanie.

⁵² „Kurier Poranny” 1920, nr 250, s. 4.

Nie miał sił iść. Bito go straszliwie, pomimo to nie wstał, bo nie rozumiał. Wtedy zaczęto go wlec po kurzu za nogi, po kamieniach i wybojach...⁵³

Nocowano w stodołach, podczas jednego z takich noclegów Zahorskiej udało się uciec. Mimo ryzyka była zdeterminowana, wcześniej dowiedziała się bowiem, że wyznaczono jej karę śmierci. Postanowiła wrócić do Siemiatycz. Początkowo w dzień szła szosą, nocą spała w lesie. Udawała mieszkankę pobliskich wsi. Stale napotykała jednak bolszewickich żołnierzy, musiała więc zejść z szosy, błądzić po lesie, unikając ludzi i wędrować nocą, śpiąc w dzień. Droga powrotna pełna była niebezpieczeństw i dramatycznych wydarzeń, wypadła akurat na czas przesilenia wojny polsko-bolszewickiej w połowie sierpnia 1920 roku. Poetka dokładnie relacjonuje wiele szczegółów tej niezwykle ucieczki:

Wodę piłam z rzeczek i strumieni. Próbowałam jeść z głodu surowe grzyby, ziarno wykruszone na niezżętym zagonie, jagody.

Przez cały czas pewna byłam, że Warszawa już wzięta.

Przed Wysokim Litewskim⁵⁴ zboczyłam z szosy i postanowiłam wejść do wsi. Trafiałam na osadę prawie pustą, bo uchodźcy jeszcze nie wrócili. Przyjęli mnie z wielką ludzkością popadła i pop miejscowy. Nie miałam już sił iść dalej. Ukryłam się na strychu opuszczonego domostwa, a dobra popadła przyniosła mi jeść późnym wieczorem, gdy wszyscy spali.

Po paru dniach, gdy już nogi moje trochę się podgoiły i mogłam iść dalej, wieczorem przyszła popadła z dobrą nowiną. W dzień przejeżdżali Żydzi-bolszewicy uciekający z Białej przed Polakami. Warszawa niewzięta, Polacy idą naprzód.

Nie wierzyłam tej dobrej nowinie, zdawało się, że ta straszna nawała moskiewska nie może tak prędko się rozproszyć. Nasi idą naprzód... Zbyt wiele szczęścia, by od razu je przyjąć⁵⁵.

Obrazom wędrowni, portretom napotkanych ludzi, opisom różnych miejsc i wydarzeń towarzyszą refleksje na temat Rosji carskiej, którą przecież Zahorska dobrze знаła, i Rosji bolszewickiej. Ocenia ją poetka zdecydowanie negatywnie, ale nie lekceważy. Pisze o zagrożeniu imperialnym, zauważa skutki agitacji, podkreśla znaczenie propagandy i przestrzega, że bez reform społecznych ubogie warstwy ludności polskiej podatne będą na przyswajanie idei przy-

⁵³ „Kurier Poranny” 1920, nr 253, s. 4.

⁵⁴ Dziś miasteczko Wysokie na Białorusi w Obwodzie brzeskim, na trasie kolejowej: Białystok – Brześć.

⁵⁵ „Kurier Poranny” 1920, nr 256, s. 4.

niesionych ze wschodu. Przestrzega przed lekkomyślnością, a jedyną drogą przeciwstawienia się rewolucyjnym zmianom jest jej zdaniem dobrowolna ofiara. Pisze, że należy wziąć w opiekę warstwy wydane na pastwę nędzy, potrzebne jest również uświadomienie etyczne. Posiadacze – jak sądzi – „są szaleni”, ponieważ nie chcą się zdobyć na ustępstwa wobec cierpiącej ludności. Jedyne idea ofiary, siła ofiary może przynieść harmonię i pojednanie – taka jest jej odpowiedź na ówczesne, tragiczne wydarzenia.

Powtórzy tę propozycję w 1929 roku, kiedy pod pseudonimem R. Bystrzyński opublikuje artykuł *Dzisiejsze oblicze bolszewizmu rosyjskiego*⁵⁶.

Jeszcze wcześniej, tuż po pokoju ryskim, wyrazi swój sprzeciw wobec nakreślonej przez państwa linii granicznej. Będzie rzeczniczką „wyrzuconych za Ojczyzny wrota” – tak pisał o niej Jacek Kolbuszewski⁵⁷. Jej ziemie rodzinne – Mohylewsczyzna, Witebszczyzna pozostały w rękach rosyjskich. A były przecież na tych ziemiach silne środowiska polskie, powiększone jeszcze o grupy wojennych uchodźców. Czesław Zgorzelski, który przebywał w czasie wojny w Mohylewie pisał: „Nie, nie czuliśmy się w ówczesnym Mohylewie obco! Wzrastaliśmy w tym kresowym mieście jak u siebie, w ojczyźnie”⁵⁸. W owym czasie podobnie pisała siostra Anny – Zofia w swoich listach do Henryka Elzenberga. Informowała, że życie w położonym niedaleko Mohylewa Drybinie toczy się normalnie, a dzieci uczą się pod kierunkiem wynajętego nauczyciela. Dopiero po wybuchu rewolucji wszystko się radykalnie zmieniło.

Mieszkańcy tamtych ziem organizowali wiece, zabiegali o przyłączenie do państwa polskiego także w publikacjach, takich jak *Nasze Kresy – Mohylowszczyzna* (Mohylów – Moskwa 1917), przedstawiając historię tych ziem, opisując wydarzenia i walki powstańcze. Okazało się jednak niemożliwe, aby Rzeczpospolita odrodziła się w dawnych, przedrozbiorowych granicach. Zahorska napisała cykl *Protest*, publikowała go najpierw w prasie, potem w tomie *Dniom Zmartwychwstania*. Przewidywała, co może spotkać środowiska polskie na ziemiach zagarniętych przez Rosję. Śledziła wydarzenia za nowo nakreśloną granicą. Pisała o trudnościach Polaków, którzy chcą przedostać się do ojczyzny, a nawet o przygotowywanym na Mińszczyźnie powstaniu, które – jak twierdziła – czeka tylko na zgodę i pomoc rządu polskiego⁵⁹.

⁵⁶ „Przegląd Powszechny” 1929, t. 183, 184 i w osobnej odbitce.

⁵⁷ J. Kolbuszewski, *Kresy* (seria: „A to Polska właśnie”), Wrocław 2002, s. 111–113.

⁵⁸ Zob. C. Zgorzelski, *Przywołane z pamięci*, Lublin 2006, s. 29.

⁵⁹ A. Zahorska, *Dzieje Litwy i Białorusi za rok ubiegły 1921*. „Kalendarz Kuriera Porannego”, Warszawa 1922.

Okres Dwudziestolecia to czas intensywnej twórczości, ale już o zupełnie innym charakterze, niż w czasie zaborów. Zahorska stopniowo rezygnuje z młodopolskiego pseudonimu – Savitri. Początkowo jeszcze podpisuje swoje utwory imieniem i nazwiskiem (Hanna Zahorska, później – Anna Zahorska) oraz pseudonimem, potem występuje już tylko imię i nazwisko. Pojawiają się – rzadko co prawda stosowane – nowe pseudonimy: R. Bystrzyński, A. Kowalewska.

Mieszka poetka w Warszawie, jeździ często do Teklomira, podejmuje też inne podróże, o których kilkakrotnie pisze w ówczesnej prasie (na Litwę, do Niemiec, w różne rejony Rzeczypospolitej). W 1921 r. urodziła córkę Krystynę, natomiast jej szóste dziecko – malutki synek Józef Zygmunt umiera na szkarlatynę. To on prawdopodobnie jest bohaterem przejmującego wiersza *Miałam dziecięcą maleńką...*⁶⁰

Nawrócenie, które przeżyła, zgodnie z właściwym znaczeniem greckiego słowa *metanoia*, zmieniło jej życie i twórczość. Publikuje teraz w czasopiśmie katolickich: „Przeglądzie Powszechnym”, „Przeglądzie Katolickim”, wraz z mężem należy do redakcji czasopisma „Polak-Katolik”⁶¹. Obydwoje Zahorscy, czyli Anna i Eugeniusz należą też do Stowarzyszenia Pisarzy Katolickich. Eugeniusz pisuje interesujące wiersze religijne np. *Narodzenie*, *Modlitwa na Dzień Zaduszny*, *Męka Pańska*⁶² oraz drukuje nieliczne utwory poetyckie o innej tematyce. Zahorscy publikują często w tych samych czasopiśmie, a nawet w tych samych numerach czasopism – przed wojną w „Krytyce”, w „Sfinksie”, po wojnie na przykład w „Nowym Przeglądzie Literatury i Sztuki”⁶³. Ale obfitość publikacji Anny przekracza znacznie literacki dorobek męża, który pracował po I wojnie jako radca prawny w Najwyższej Izbie Kontroli, był zapalonym szachistą i działaczem Polskiego Związku Szachowego, nawet jeszcze przez krótki czas po II wojnie światowej (zmarł w 1947 roku). Namiętności do gry

⁶⁰ „Rodzina Polska” 1932, nr 1.

⁶¹ Informacja w książce: J. Styk, *Ksiądz Ignacy Kłopotowski*, Warszawa 1987, s. 94.

⁶² Kolejno: „Rzeczpospolita” 1930, nr 351, „Kurier Warszawski” 1924, nr 308, „Kurier Warszawski” 1925, nr 101. Eugeniusz opublikował też przed wojną co najmniej dwa tomy poezji w języku rosyjskim, dziś niedostępne. Tłumaczył na język rosyjski wiersze żony i m.in. A. Asnyka. Tłumaczył także na rosyjski powieści M. Srokowskiego *Epigoni* i *Anachroniści*, wydane w Moskwie (1912) z przedmową Savitri. W języku polskim opublikował interesujący wieloczęściowy poemat *Powrót* publikowany także w prasie („Romans i Powieść” 1914, nr 4, 5).

⁶³ Tu charakterystyczny dwugłos: wiersz A. Zahorskiej *Erotyk* i obok – wiersz E. Zahorskiego *Spotkanie* (1921, t. 2, nr 5).

w szachy raczej żona nie podzielała, o czym świadczy jej nowelka *Szach królowej*⁶⁴.

Zahorska w okresie międzywojennym publikowała bardzo dużo na łamach czasopism. Obok wyżej wymienionych pism religijnych o profilu ściśle katolickim, publikowała także w krakowskim „Głosie Narodu”, w „Kulturze”, w „Rzeczpospolitej”, „Rodzinie Polskiej”, „Kurierze Warszawskim”, „Polsce Zbrojnej”, „Przeglądzie Wieczornym” i innych. W wielkiej ilości tytułów można się zorientować chociażby na podstawie adresów bibliograficznych przedrukowanych w niniejszym tomie poezji rozproszonych, a nie są to jeszcze wszystkie pisma, w niektórych – sporadycznie – pojawiały się tylko artykuły. Oprócz liryki zajmowała się intensywnie krytyką literacką, przez wiele lat prowadziła dział recenzji w „Przeglądzie Powszechnym”, liczne recenzje publikowała w „Rzeczpospolitej” i prawie we wszystkich wymienionych wyżej czasopismach, podobnie jak artykuły publicystyczne dotyczące spraw bieżących i życia kulturalnego oraz nowele i opowiadania. Nowością były jej liczne recenzje firmowe, które regularnie pojawiały się w poznańskiej „Kulturze” od 1936 roku.

W Dwudziestoleciu, po roku 1921, jak już zostało tu powiedziane, nie opublikowała Zahorska żadnego tomu poezji. Wydała natomiast kilka powieści, których tytuły zostały na początku *Wstępu* wymienione. Najgorętsze dyskusje wywołała powieść *Trucizny*, opublikowana w 1928 i w 1931 roku. Publikacje poprzedza krótki list do autorki, napisany przez arcybiskupa Józefa Teodorowicza, który chwali zarówno talent literacki, jak i znajomość Kresów oraz zagrażających Polsce niebezpieczeństw. Zachęca do dalszego „zbożnego apostołstwa piórem”⁶⁵.

Zainteresowanie powieścią pogłębił fakt, że jej wydanie zbiegło się w czasie z procesem białoruskiej Hromady, której władze współpracowały z Komunistyczną Partią Zachodniej Białorusi i która została zdelegalizowana⁶⁶. Akcja *Trucizn* dotyczy różnych środowisk – na przykład stosunków warszawskich (literaci, dziennikarze, politycy, harcerze) – Zahorska prezentuje krótkie obrazki charakteryzujące te środowiska, portretuje też ówczesny polski sejm. Najważniejsze wydarzenia rozgrywają się jednak na Kresach, po obu stronach rosyjsko-polskiej granicy. Akcja przenosi się do miejscowości Zabołotne, do resztek majątku głównego bohatera – Wasilewicza oraz na pas pograniczny, gdzie –

⁶⁴ „Rodzina Polska” 1932, nr 11.

⁶⁵ Por. A. Zahorska, *Trucizny, Powieść współczesna*. Warszawa 1928, s. 5. List pisany we Lwowie, 12 września 1927 roku.

⁶⁶ Por. np. *Białoruska Hromada przed sądem*, „Polska Zbrojna” 1927, nr 270.

według słów żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza – „wre nienawiść, jak w kotle”, a linia demarkacyjna to raczej linia demoralizacyjna, z nasiloną agitacją ze strony Rosji⁶⁷. Wasilewicz zresztą omal nie ginie z rąk zbolszewizowanych chłopów.

We wszystkich powieściach Zahorskiej polskie kresy wschodnie nie są bynajmniej terenem idealizowanym, quasi-rajskim. To przestrzeń konfliktów, walk, antagonizmów, a jednocześnie przestrzeń wolności w przeciwieństwie do negatywnie przedstawianego przez nią miasta. To także przestrzeń zamieszкана przez heroiczných bohaterów, ale nawiedzana przez różnego typu ludzi zdemoralizowanych. Wszystkie powieści Zahorskiej, w tym także *Truczny*, są zbudowane na schemacie upadku, nawrócenia i ekspiacji.

Oceny recenzentów okazały się podzielone. W „Przeglądzie Wileńskim”, w którym zresztą często z Zahorską polemizowano, uznano powieść za „stek niedorzeczności”⁶⁸. W „Świecie” ukazała się krótka recenzja, której autor skupił się wyłącznie na sprawach obyczajowych. Traktując Zahorską jako „znaną i cenioną poetkę”, nie uznał bynajmniej powieści za arcydzieło.⁶⁹ W „Przeglądzie Katolickim” natomiast autor długiej i szczegółowej recenzji określił *Truczny* mianem „dzieła nieprzemijającego”⁷⁰. Powieść polecano też w wileńskim „Słowie”. Musiała zresztą cieszyć się sporą popularnością, skoro po trzech latach ukazało się jej drugie wydanie.

Zmianę charakteru swojej twórczości tłumaczyła Zahorska w wywiadzie, publikowanym na łamach „Tygodnika Polskiego”⁷¹. Młodopolską twórczość traktowała jako etap, który już przeminął: „Erotyka, prądy indywidualistyczne...”. Wyznała też, że od dawna wstydziła się tej twórczości. Inspirowana pracą społeczną, agitacyjną, a także wydarzeniami z okresu wojny polsko-bolszewickiej postanowiła krzewić literaturę ideową i pisać dla młodzieży. Ciekawe, że Zahorska nie ceniła tego, co wcześniej napisała. I nie chodzi tu tylko o młodopolskie wiersze. Nawet powieść *Odrutowaną okolicę* uważała za nieudaną, można się zorientować, że bez reszty pochłaniała ją aktualna praca, czyli – w owym czasie – powieść *Truczny*.

Po wydanych w 1908 roku tomach *Poezje* i *Pieśni walki* zacierała ślady do tego stopnia, że nawet ich nie wymieniła w ankiecie, którą wypełniała na potrzeby słownika *Czy wiesz, kto to jest?* W tej popularnej publikacji, w biogramie

⁶⁷ A. Zahorska, *Truczny*, dz. cyt. s. 123.

⁶⁸ „Przegląd Wileński” 1928, nr 7.

⁶⁹ „Świat” 1928, nr 29, s. 11 (F.)

⁷⁰ „Przegląd Katolicki” 1928, nr 56.

⁷¹ „Tygodnik Polski” 1928, nr 8, s. 2–3.

Zahorskiej, pisaniem na podstawie własnych informacji przesłanych przez pisarzy, młodopolskie tomy poezji w ogóle się nie pojawiają⁷².

Świadomie uprawiała twórczość i krytykę literacką pod znakiem katolicyzmu, o czym mówiła w przywołanym wywiadzie. Twierdziła, że do idei katolickiej należy przyszość literatury. To przekonanie harmonizuje z jej osobistą religijnością.

Związała się też z Wydawnictwem Salezjańskim. Publikowała tam utwory sceniczne dla dzieci⁷³, tłumaczyła i streszczała biografie ks. Bosko, pisała popularne biografie świętych w serii „Kłosa z Bożej Roli” (ok. 50 tomików), wydała książkę, która cieszyła się chyba największą popularnością ze wszystkich jej publikacji w okresie międzywojennym – *Ilustrowane żywoty świętych polskich* (1937) oraz wcześniej tom *Żołnierze święci* (1933). Napisała obszerny życiorys bł. Marii Mazarello (1938)⁷⁴, gdzie znajdziemy też wiele refleksji na temat religii i wymiarów życia duchowego.

Zachowały się krótkie wspomnienia najmłodszego syna Zahorskiej, który w ten sposób charakteryzował swoją rodzinę:

„Rodzice moi, Anna i Eugeniusz Fostowicz-Zahorscy byli głęboko religijni. Matka ściśle współpracowała z wydawnictwami katolickimi, w których publikowała wiersze, artykuły, jak również wydawała napisane lub tłumaczone przez siebie książki. Na marginesie wspomnę, że biegle władała w mowie i piśmie czterema językami: angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Ojciec także pisał wiersze religijne, ale nie ogłaszał ich drukiem, pisał je z potrzeby i pod dyktando swego serca. Był wieloletnim redaktorem dziennika katolickiego (nazwa uleciała mi z pamięci). Matka należała do trzeciego zakonu św. Franciszka, wydaje mi się, że przy kościele Św. Antoniego na ul. Senatorskiej.

Atmosfera panująca w naszym domu była nie tylko wysoce religijna, ale również bardzo patriotyczna. Od najmłodszych lat wpajano w nas miłość do Boga i Ojczyzny, a losy naszego kraju stawiane były wyżej od losów naszej rodziny, czy też poszczególnych jej członków. Kiedy myślami wracam do swoich przeżyć wojennych i je analizuję, to uświadamiam sobie, iż utrata wolnej i niepodległej Polski bardziej mną wstrząsnęła niż strata własnej rodziny i moje osobiste przeżycia wojenne, pobyty w więzieniach i obozach, gdzie nawet mnie torturowano [...]

⁷² S. Łoza, *Czy wiesz, kto to jest?* Warszawa 1938.

⁷³ O utworach Anny Zahorskiej dla dzieci i młodzieży pisałam w artykule publikowanym w „Bibliotekarzu Podlaskim” 2016, nr 2.

⁷⁴ Na temat tej współpracy pisał ks. A. Świda, *Udział Anny Zahorskiej w salezjańskiej akcji wydawniczej*. „Chrześcijaństwo” t. 19. Red. Bp B. Bejze, Niepokalanów 1992, s. 160–165. Twórczość i krytykę literacką Anny Zahorskiej inspirowaną katolicyzmem omówiłam w studium *Batalie Anny Zahorskiej o duchowy i katolicki wymiar literatury...* dz. cyt.

Postawa życiowa Matki zawsze mi imponowała. Podziwiałem jej pracowitość, wytrwałość, cierpliwość, jak również całkowite poddanie się woli Bożej w znoszeniu cierpienia. Mimo choroby (reumatyczny artretyzm), która nękała ją od wielu już lat, ciężko pracowała, zajmowała się domem, rodziną, ciągle pisała i wykonywała różne prace społeczne. Nie pamiętam ani jednego dnia, w którym by odpoczywała, nie mówiąc już o jakimkolwiek urlopie, czy też wyjeździe w celach wypoczynkowych lub zdrowotnych. Niekiedy tylko udało mi się zobaczyć na jej twarzy wyraz ogromnego bólu, który zawsze starała się ukryć i przed najbliższą rodziną, i przed znajomymi.

Matka bardzo kochała całą piątkę żyjących dzieci (mój młodszy brat Józef Zygmunt zmarł na szkarlatynę w wieku trzech lat), ale najbardziej rozpieszczała mnie. Ulubienicą obydwojga rodziców była Litka, która swym urokiem, dobrocią, uczynnością podbijała serca nie tylko najbliższych, ale wszystkich, z którymi się zetknęła. [...]

Matka patrzyła z pobłażaniem na nasze młodzieńcze wybryki. Kochała nie tylko nas, kochała całą młodzież polską, w którą wierzyła, i od której oczekiwała, że stworzy naszemu narodowi świetlaną przyszłość⁷⁵.

Wszelkie plany brutalnie przerwała wojna, w której rodzina Zahorskich właściwie została zniszczona. Wszystkie trzy córki Anny poniosły śmierć. Elżbieta, czyli Litka, która we wrześniu bohaterko broniała Warszawy⁷⁶ została rozstrzelana już 3 listopada 1939 roku. Sama Anna, aresztowana w maju 1942 roku za przynależność do Armii Krajowej, znalazła się na Pawiaku (po raz drugi po 36 latach), przeszła tam ciężkie śledztwo, następnie w sierpniu została wywieziona do Oświęcimia. Katowana i chora zmarła tam w listopadzie 1942 roku. Nie dożyła więc śmierci pozostałych córek. Krystyna, po mężu Zaremba-Celińska, także należała do ZWZ-AK, zginęła w czasie Powstania Warszawskiego, w sierpniu 1944 roku razem z mężem i małym synkiem od wybuchu bomby. Trzecia córka, Wanda znalazła się na liście zaginionych ofiar Powstania. Przeżyli tylko synowie. Najmłodszy, Dominik, walczył w 1939 roku, przeszedł przez sowieckie więzienia i łagry, znalazł się w Anglii, gdzie został lotnikiem, walczył w RAF, a po wojnie skończył w Anglii studia techniczne i tam został. Zginął w wypadku samochodowym w czasie pobytu w Polsce w 2005 roku, pochowany obok ojca na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Bronisław przeżył wojnę, mieszkał z rodziną w Miedzygórzcu, zmarł w 1984 roku.

⁷⁵ D. Fostowicz-Zahorski, *O moich najbliższych*. „Chrześcijaństwo” t. 19, dz. cyt. s. 158–160.

⁷⁶ Jej sylwetka jest często przywoływana w różnych opracowaniach, na przykład w książce Jerzego Z. Kocota *Juzistki*, Warszawa 2004. Elżbieta pośmiertnie odznaczona została Krzyżem Walecznych. Por też: D. Hryniewicz, *Anna Zahorska i jej córka Elżbieta*, dz. cyt.

Ostatni znany utwór, długi poemat, Anna Zahorska napisała po rozstrzelaniu Elżbiety w 1939 roku. Nosi on tytuł *Litka* i z wojennej zawieruchy ocalał właściwie cudem, w jednym egzemplarzu. Przepisała go jeszcze w czasie okupacji Danuta Hryniewicz, kuzynka Zahorskich, wydrukowany został dopiero w 1984 roku. Jest przenikliwym świadectwem życia i śmierci córki, widzianych oczami matki, a także dokumentem jej własnych, niezwykle bolesnych przeżyć. Jeszcze raz pokazuje, że poetka sięgała po pióro także w momentach ważnych i tragicznych, wiersz był ściśle wpleciony w jej trudne i pracowite życie.

Szlaki twórczości lirycznej – zarys problematyki

Jak już wcześniej zostało tu zasygnalizowane, wiersze Anny Zahorskiej pojawiają się dziś w nielicznych pracach historyków literatury⁷⁷. Ale dla swoich współczesnych była Savitri autorką ważną i rozpoznawalną. Ceniła ją na przykład Kazimiera Hłakowiczówna, która poświadczyła wpływ poezji Zahorskiej na własną twórczość. W liryku *Powołanie* napisała:

Siedzę na białym stole, warkocz mam potargany
Czytam wpatrzonym we mnie „Tygodnik Ilustrowany”,
Or-Ota i Savitri i nagle głos mi zawisa...
... I wiem, że sama także muszę zacząć wiersze pisać⁷⁸.

Hłakowiczówna dała też inny dowód płodnej lektury utworów Savitri. Jej liryk *Jedwabny lśniący sznur* stanowi bezpośrednio nawiązanie do sugestywnego wiersza Zahorskiej *Po śmierci*, notabene tak oryginalnego, że zwracał uwagę wielu recenzentów⁷⁹. Także w innym liryku Hłakowiczówny – *Żona świętego Aleksego* znajdziemy echa poematu Savitri *Żona Buddy*. Inspirującej roli poezji

⁷⁷ Przywołuje je m.in. M. Podraza-Kwiatkowska w książce *Wolność i transcendencja. Studia i eseje o Młodej Polsce*, Kraków 2001 oraz W. Gutowski – *Nagie dusze i maski. O młodopolskich mitach miłości*, Kraków 1992 i *Z próżni nieba ku religii życia. Motywy chrześcijańskie w literaturze Młodej Polski*, Kraków 2001. Wcześniej nazwisko Zahorskiej znajdziemy m.in. w artykułach H. Filipkowskiej i J. Kwiatkowskiego w: *Młodopolski świat wyobraźni. Studia i eseje pod redakcją Marii Podraza-Kwiatkowskiej*, Kraków 1977, s. 19, 21, 29, 40, 273.

⁷⁸ K. Hłakowiczówna, *Poezje zebrane*. Oprac. J. Biesiada, A. Żurawska-Włoszczyńska, wstęp J. Ratajczak. Toruń 1998, t. 2, s. 186. Wiersz pochodzi z tomu *Popiół i perły* (1930).

⁷⁹ O obu wierszach (i o innych utworach), pisałam w artykule „Przychodzisz do mnie noc po nocy...” czyli niezwykle rozmowy poetów na temat miłości i śmierci. [w:] *Miłość w kulturze polskiej*. Red. W. Łysiak, Poznań 2015, s. 81–89.

autorki *Pieśni o pragnieniu* nie można zaprzeczyć, przypadek Iłłakowiczówny jest tu wyraźnym dowodem.

Poezja Zahorskiej była też w pewien sposób inspirująca dla Leśmiana-krytyka. Wczesnym tomikom Savitri poświęcił Leśmian długą recenzję, gdzie nie tylko precyzyjnie określił różnicę między słowem wypowiedzianym i wyśpiewanym (prawdziwym słowem poetyckim jest tylko to drugie słowo poddane rytmowi), ale próbował rozstrzygnąć inny problem dotyczący liryki. Wybitny poeta i wnikliwy czytelnik od razu zauważył podstawową sprzeczność, która pojawia się w wierszach Zahorskiej. Z jednej strony poetka chętnie poddaje się rytmowi i marzeniu – szczególnie podobał mu się wiersz *Serce mię boli, głowa mi płonie...* ; zaś z drugiej – przejawia predylekcję do służby idei, która także kształtuje jej wiersze. Leśmian uważał, że prawdziwa poezja dąży „ku życiu”, przekraczając horyzont ściśle sformułowanej idei. Stąd w tomach Savitri owe sprzeczności, dlatego też pojawiają się takie wiersze, jak chociażby *Idea*. Twierdził, iż poetka sama czuje, że bezpośrednio sformułowany światopogląd – w liryce ogranicza. Uznał jednak, że Zahorska obdarzona została autentycznym poetyckim talentem⁸⁰.

Trudno powiedzieć, czy autorka recenzowanych utworów zgodziła się z Leśmianowską opinią. Faktem jest, że niektóre wiersze oparte na ideologii są wyraźnie słabsze pod względem artystycznym. Ambicją Savitri nie było jednak uchwycenie głębokiego rytmu życia za pomocą poetyckiego słowa, choć pojawiają się w jej dorobku także i takie, „rozśpiewane” wiersze. Idea i światopogląd były dla niej ważne. Zanurzona w sprawach społecznych, narodowych, wrażliwa na problemy moralne próbowała przekazać sens i motywację zaangażowania – także poetyckim słowem. Talent poetycki oddawała więc często na służbę idei, tak jak w tomie *Pieśni walki*. Natomiast zdając sobie sprawę z różnych sprzeczności, które powstają na drodze społecznego zaangażowania, szukała głęboko jego sensu, uzasadniała go także w płaszczyźnie metafizycznej.

Miejscem powstania większości publikowanych w tomie *Pieśni walki* utworów jest więzienie na Pawiaku. Czas powstania – to gorący okres rewolucji 1905–1906 roku. Bohaterami są więc więźniowie i więźniarki. Wyróżnia się zwłaszcza wiersz *Do towarzyszek więzienia*, w którym zastosowała poetka motyw dość popularny w młodopolskiej liryce (wystarczy przypomnieć wiersz Wincentego Korab Brzozowskiego *Powinowactwa cieni i kwiatów o zmierzchu*). Zidentyfikowała kwiaty z uwięzionymi kobietami. Okazały się one „kwiatami zerwanymi z wirydarza Idei”. Poetka nadała w ten sposób nowe znaczenie

⁸⁰ B. Leśmian, *Savitri*, dz. cyt.

symbolom kobiet-kwiatów, połączyła eteryczną kobiecość z twardą narodowo-społeczną walką.

Obok elementów więziennej codzienności (np. pijani strażnicy) i realiów rewolucyjnych (np. strajki w fabryce) pojawiają się w tomie typowe młodopolskie poetyzmy: „bezdenna tęsknota”, „wiekuista tęsknota”, uzyskując jednak nowe znaczenie. Zahorska powtarza niemal dokładnie frazę z wiersza Bronisławy Ostrowskiej *Ksieni Tęsknota*: „Już dość, już dość!/ Ja pragnę żyć, ja pragnę rość!”. Tęsknota metafizyczna połączona z naturalną tęsknotą więźnia do opuszczenia celi nadaje wysoką rangę samej idei wolności.

Uwięzionych cechuje przy tym zarówno niezachwiana wiara w zwycięstwo, jak i momenty zwątpienia. Do najbardziej drastycznych tematów należy śmierć uciekających (*W noc jesienną*) lub skazanych. Oryginalnym opracowaniem tego tematu okazuje się wspomniany już wiersz *Po śmierci*, w którym poetka nawiązuje do jednego z liryków Tetmajera. Interesujący jest też ironicznie sportretowany „ogród rozkoszy”. Natomiast wiersz *Potępiona*, publikowany wcześniej w prasie, wskazuje wielką niezależność wewnętrzną bohaterki, prawdopodobnie oparty też został na osobistym doświadczeniu.

W tomie pojawia się idea, która występuje w wielu utworach Zahorskiej, aż po ostatnie teksty. Chodzi o ideę ofiary, o „szał ofiarny”, którego apogeum zostaje osiągnięte w samotnej celi skazanego na śmierć. „Seraficzna moc ofiary” jest warunkiem nieśmiertelności, jak czytamy w wierszu *Po śmierci*. Ofiara dla idei umożliwia trwanie *post mortem* dzięki żywotności samej idei, jej odradzaniu się w umysłach i sercach nowych pokoleń. Jeszcze dokładniej ten problem zostanie wyjaśniony w tomie *Dniom zmartwychwstania* w poemacie *Wola ofiary*. W *Pieśniach walki* ma jeszcze niewiele wspólnego z sakralną ofiarą religijną, ale nadaje wartość i sens rewolucyjnym zmaganiom.

Wydany w tym samym czasie tom *Poezje* jest zupełnie innym tomem wierszy, zarówno pod względem tematycznym, jak i strukturalnym. Został kunsztownie zbudowany, zawiera utwory liryczne zgrupowane w sześciu nierównej długości cyklach: *Rzeźby z lawy*, *Nietoperzowe loty*, *Dni pogody*, „*Im*”, *Chwile*, *Bryzgi*. Savitri wpisuje się w tę młodopolską tendencję, która każe liryki wiązać w cykle. Jak napisał Wojciech Gutowski – „cykl jest wyraźną dominantą kompozycyjną w poetyckich zbiorach epoki”⁸¹. Gutowski wyodrębnił dwa skrajne warianty młodopolskich konstrukcji cyklicznych – Tetmajerowski, o wyraźnie

⁸¹ Por. W. Gutowski „*W mroku gwiazd*” w *kontekście innych cykliw poetyckich Młodej Polski*. [w:] *Polski cykl liryczny*, Red. Krystyna Jakowska i Dariusz Kulesza, Białystok 2008, s. 118.

osłabionej spójności i Staffowski – wielokondygnacyjny, z maestrią wypracowany, zmierzający jak gdyby ku jednemu supercyklowi o wyraźnie nacechowanych ramach tekstowych i kompozycyjnych⁸². Praktyka cyklotwórcza Zahorskiej zmierza raczej ku biegunowi Staffowskiemu, choć na pewno daleko autorce *Poezji* do Staffowskiej maestrii. Tytuły cyklów poetki wskazują symbolicznie i metaforycznie ich treść: *Rzeźby z lawy* – to cykl o miłości, namiętności i pożądaniu, zamyka go podcykl: *Pieśni o pragnieniu*, w którym pożądanie przekracza wymiar cielesny kierując się ku „czystej bieli i złotej jaśni”, a ów kierunek motywowany jest wewnętrznym „pomrokiem”. Barwy posiadają tu oczywiście wartość symboliczną. Przywołanie motywu ciemności w zakończeniu cyklu wiąże go z następnym – *Nietoperzowe loty* otwiera liryk *We mnie jest noc*. Ów „nocny” cykl kończy z kolei liryk *Brzask*, kierujący tematycznie ku następnemu cyklowi: *Dni pogody*. „Cisza słonecznych hal” w finale tego cyklu ma ukoić „zły, przemądrzały śmiech” (to ostatnie słowa cyklu), zapewne ze strony otoczenia, przeciwko któremu *ja* podejmuje bunt w kolejnym cyklu „*Im*”.

Zahorska dba więc nie tylko o spójną kompozycję pojedynczego cyklu, ale i o znaczące powiązania między cyklami, na zasadzie ciągłości, łagodnego przejścia, a nie kontrastu, czy antytezy, co może nieco dziwić, biorąc pod uwagę dynamizm tej liryki. Cały tom komponuje się w ten sposób w spójną całość, właśnie w rodzaj nadcyklu, gdyż ostatni krótki liryk wyraźnie nawiązuje do pierwszego wiersza i pierwszego cyklu, do tematu miłości. Mroczną, potężną i dynamiczną namiętność, której symbolem jest lawa (*Rzeźby z lawy*) zastępuje pragnienie „słonecznego cudu” i „przezyczystego miłowania”, otwiera się perspektywa wyjścia poza płaszczyznę zmysłową.

Spójność temu wyznacza też silnie zaznaczona podmiotowość, *ja* działające i przeżywające eksponuje swój indywidualizm, niezależność i autonomię. Nawet w wierszu *Ekstaza* nie występuje charakterystyczne dla podobnych utworów „rozpłyniecie się” podmiotu, *ja* zachowuje swój indywidualny kształt.

Inną charakterystyczną cechą młodopolskiej poezji Zahorskiej jest konstrukcja dwóch podmiotów lirycznych: żeńskiego i męskiego, co sugerują formy gramatyczne i co także ma znaczenie w budowie poszczególnych cyklów.

Przyczyną podwójnego *ja* lirycznego nie jest na pewno owo „rozchwianie płci”, obserwowane w niektórych współczesnych utworach. Nie jest nim także realizacja ideału bezpłciowości, który wydaje się przyświecać niektórym pisarskim decyzjom Marii Komornickiej.

⁸² Tamże, s. 122.

Wydaje się, że motywacją Zahorskiej była zamierzona wielogłosowość tomu, realizowana poprzez wielość różnych podmiotów, gdyż zróżnicowanie nie dotyczy tylko płci, choć w tym przypadku najbardziej jest widoczne. Wielogłosowość, mnogość punktów widzenia, bogactwo rzeczywistości nie dającej się sprowadzić do jednego wymiaru, stanowią zasadę kreacji świata przedstawionego w jej tekstach; wyraźne jest to także w krytyce, gdyż dłuższe recenzje Savitri rozpoczyna zwykle refleksja nad różnymi możliwościami ujęcia tego samego problemu. Dużą rolę odgrywała tu też prawdopodobnie owa młodopolska empatia, którą Michał Głowiński uznał za jedną z zasad konstrukcyjnych krytycznych tekstów epoki⁸³. Teorią empatii kierowała się być może poetka w wierszach, kreując świat wielogłosowy.

Obecność dwóch rodzajów podmiotu w cyklu poezji miłosnej, jakim są *Rzeźby z lawy*, zastanawia szczególnie, ale kiedy dokładniej przyjrzymy się konstrukcji owego cyklu, możemy łatwo spostrzec, że kobiecy i męski głos wchodzi tu w dialog, jak w biblijnej *Pieśni nad Pieśniami*, że niektóre wiersze realizują ów niedościgły wzór. Celem jest też możliwie wielostronny ogląd samej miłości. W cyklu *Rzeźby z lawy* po utworach poetyckich pokazujących miłość harmonijną, odwzajemnioną, miłosne spełnienie, miłosne spotkanie następują wiersze, których tematem jest niespełnienie lub niezrealizowana tęsknota.

Ponadto w owych wczesnych lirykach Zahorskiej wysoko wartościowany, a nawet sakralizowany jest erotyzm i miłość zmysłowa. Kobieta przy tym nie ma żadnego poczucia winy z powodu swojej roli jako uwodzicielki. Zahorska nie daje sobie narzucić roli *femme fatale* czy też emisariuszki natury, poniżającej duchowe aspiracje mężczyzny. Kobięce *ja* w jej utworach często zaznacza i potwierdza swoją siłę, potrafi narzucić swoją wolę i nigdy nie występuje w roli „uwiedzionej niewinności”.

Savitri odwraca też tradycyjne pojęcie czystości. W jej wczesnych wierszach pocałunek okazuje się „czysty”, „czysta” jest miłość erotyczna i nie ma ona nic wspólnego z grzechem, grzech to zakłamanie w miłości⁸⁴. Poetka kształtuje więc w sposób oryginalny młodopolski model miłości kobiecej, wyraźnie polemiczny wobec mieszczańskiej obyczajowości i moralności, opartej często, jak wówczas sądzono, wyłącznie na celach materialnych. Kształtowaniu owego modelu służą też motywy wagnerowskie.

⁸³ Por. M. Głowiński, *Ekspresja i empatia. Studia o młodopolskiej krytyce literackiej*, Kraków 1997.

⁸⁴ Więcej na ten temat pisałam w swojej książce *Między bios a zoé*, dz. cyt., s. 183 i nast. Szerzej też omawiam w niej inne tematy liryki Zahorskiej, tylko tutaj zasygnalizowane.

Innym ważnym tematem tomu *Poezje* okazuje się „pragnienie”, jako siła dynamizująca. Tożsame bywa z erotycznym pożądaniem, bywa też wyżej wartościowane niż asceza, która prowadzi do stagnacji.

W tomie zaznacza się oczywiście tak ważna dla Zahorskiej idea ofiary, przywołana zostaje wielokrotnie sfera sakralna. Znaczący wydaje się liryk *Obudzenie*, który pokazuje proces duchowy kulminujący doświadczeniem nieskończoności.

Poezje są tomem niezwykle bogatym tematycznie. Ale przede wszystkim zostaje w nim wyeksponowany oryginalny typ bohaterki i ja lirycznego – kobiety doświadczającej erotycznej namiętności, ale też głębokiego uczucia, silnej i niezależnej, cierpiącej, wrażliwej społecznie, gotowej do ofiar i poświęcenia. W większości utworów lirycznych mocno wyeksponowany został dynamizm – emocji, pragnienia, dążenia, wielokrotnie pokazane jest też proste uczucie szczęścia, które – nawet w późnym okresie Młodej Polski – nie było tematem popularnym.

Trzeci i ostatni tom poezji Savitri – *Dniom zmartwychwstania* ukazał się już w zupełnie innej sytuacji, w Polsce niepodległej, choć niektóre zawarte w nim wiersze były publikowane jeszcze przed wojną. Składa się również z sześciu cykli: *Dniom zmartwychwstania*, *Ptak – Feniks*, *Mater – Matri*, *Przemiany*, *Chwila łaski*, *Protest*. Dominuje w nim jednak inna tematyka. Jak już wskazuje sam tytuł, jednoznacznie wówczas rozumiany – najważniejszym faktem są tu wydarzenia historyczne, wojenne zmagania i odzyskanie przez Polskę niepodległości. W tym kontekście przewagę uzyskują utwory przesycone ideą i ideowością, zanikają motywy typowo młodopolskie, upraszcza się poetyka i symbolika, występują liczne nawiązania do tradycji, szczególnie romantycznej. Wyraźnie można dostrzec, że zanika też wybujały indywidualizm, pojawia się przestrzeń wspólnoty, zaakcentowana zostaje więź, już nie tylko społeczna, lecz przede wszystkim narodowa.

Tom uzyskuje charakterystyczną ramę, którą stanowią utwory inicjalne i finalne o tematyce kresowej. Wcześniej nie pojawiał się w wierszach Zahorskiej problem kresowej tożsamości, tutaj wysunął się na plan pierwszy w postaci utworu *Duszo moja kresowa*. Pojęcie Kresów obejmuje zarówno terytorium obecnej Litwy, jak i ziemie, pozostające po pokoju ryskim po stronie rosyjskiej, czyli rodzinne ziemie poetki. Tom, w którego tytule występuje „zmartwychwstanie”, kończy liryk o tytule mieszczącym się w tym samym polu ewangelicznym, jakże jednak inaczej semantycznie nacechowanym – czyli *Golgota*. „Jęk” dzwonu katedry w Mińsku, przejmująco sugeruje sytuację ziem, z który-

mi poetka jest szczególnie związana, pamięcią i mogiłami przodków. Między radosną Warszawą, a przeżywającymi swoją klęskę utraconymi Kresami wytwarza się dotkliwa przepaść, która wcześniej nie istniała. Kresowianka nie jest w stanie jej zaakceptować, może też była ona powodem stale powracającego tematu pogranicza w różnych jej utworach i śledzenia sytuacji także na terenach wcielonych do Rosji. Ostatnie słowa wiersza *Golgota* sugerują nadzieję, że owe ziemie nie są utracone na zawsze, że odegrają jeszcze duchową rolę inspirującą.

Zakończenie tomu wprowadza zamierzony dysonans w problematykę pierwszych cyklów, w doświadczenia twardej walki i krwawej ofiary, zwieńczonych jednak „nocą zmartwychwstania”, walki, która uzyskała wyraźny sens, która zakończyła się zwycięstwem, jak się okazuje jednak – nie dla wszystkich Polaków. Tematyka narodowa i historyczna w zakresie indywidualnym i zbiorowym zdominowała tom *Dniom zmartwychwstania*, na który składają się też wiersze publikowane w prasie jeszcze w czasie wojny.

Ojczyzna w utworach Zahorskiej uzyskuje kształty zarysowane wcześniej przez Słowackiego, znaczy o wiele więcej niż jej materialna postać, staje się symbolem „wiekuistej sprawy”. Pojawia się określenie „słoneczna Ojczyzna” w takim znaczeniu, jakie nadawał „słoneczności” romantyczny poeta. Słowacki był najważniejszym inspiratorem twórczości Zahorskiej. Inspiracja przebiegała na różnych płaszczyznach, mniej jednak w samej konstrukcji wiersza, najbardziej w sferze idei. Postać poety przywołuje autorka w dialogicznym poemacie *Noc zmartwychwstania*, zaś bezpośrednio do utworu Słowackiego nawiązuje w poemacie *Piekło polskie*, gdzie w groteskowej, infernalnej przestrzeni koncentruje narodowe i porozbiorowe wady, portretując ich nosicieli. W zakończeniu zdecydowanie postuluje zarówno konieczność, jak i niezachwianą nadzieję moralnej metamorfozy Polaków.

W środkowej części tomu pojawiają się natomiast motywy mitologiczne: *Atlas*, *Tantal* – echa prób nowych pomysłów, nowej poetyki. *Ptak-Feniks* symbolizuje w oczywisty sposób raz jeszcze sytuację odrodzonej Ojczyzny. W cyklu *Przemiany* dookreśla Zahorska ideę ofiary (*Wola ofiary*), nawiązuje także do religii wschodu w poemacie *Żona Buddy* – mniej tu jednak ważny jest sam kształt buddyzmu, niż sylwetka porzuconej kobiety i jej przemiana.

Drugim wielkim tematem tego tomu jest temat sakralny, który zresztą często splata się z wojenną walką i sytuacją Polski. *Wcielenie* (publikowane w 1914 r. pt. *Chwila modlitwy* – w nieco innej wersji) raz jeszcze eksponuje ideę ofiary, tym razem w kontekście tematu religijnej ekstazy. Stopniowo wy-

miar transcendencji i sacrum coraz bardziej przybiera kształt katolickich dogmatów, a liryka religijna Zahorskiej staje się liryką przyświadczenia⁸⁵.

W cyklu *Mater – matri* jako adresatka modlitw pojawia się Matka Boża, osobny liryk poświęca też poetka Zwiastowaniu. Włącza w ten cykl wiersze pisane wcześniej – *Dziecko* (wiersz publikowany w „Sterze”) oraz utrzymaną w realiach wojennych *Modlitwę za dzieci*, inspirowaną zapewne wydarzeniami przeżywanymi osobiście. W kontekście biograficznym – śmierci wszystkich córek Savitri w czasie II wojny światowej, o czym wiemy, a o czym poetka w czasie I wojny wiedzieć nie mogła – profetycznie i groźnie brzmią słowa o dzieciach: „mają spłonąć jako ofiary”. Być może jednak poetka pisze o ofierze ducha, inspirowanej filozofią genezyjską Słowackiego.

Przedostatni cykl – *Chwila łaski* tytuł zawdzięcza pierwszemu, krótkiemu lirykowi, gdzie pejzaż splata się z metafizyką i sakralnym darem, przemieniającym rzeczywistość. Z podobnymi wierszami, z liryką pejzażowo-refleksyjno-religijną mamy do czynienia i w następnych częściach cyklu (*Ja wiem o słońcu, Niebo*). Świat realny i sacrum wydają się tu łączyć w jedną wizyjną konstrukcję. Tematem kilku utworów jest cierpienie (np. *Krzyż, Przyjmuje sercem, przyjmuje, Czara, Ból*) przyjmowane jako zgoda na ofiarę. Tematem innych – spotkanie z Chrystusem (*Cud*), ekstatyczne doznanie transcendencji (*Jesteś przy mnie wieczności*) lub pełne trudu dążenie ku niej (*Obraz cudowny*). Ostatni liryk w tym cyklu to swoista „elegia na odejście”. Śmierć kojarzy się tradycyjnie – z odpoczynkiem po trudach życia (*Dzień spokoju*). Zamykający tom cykl *Protest* domyka problematykę pierwszego cyklu, jak już zostało tu wskazane.

Po 1921 roku nie zaprzestała oczywiście Zahorska pisania wierszy. Kontynuowała niektóre wcześniejsze tematy, pojawiło się też wiele innych, zmieniała się poetyka. Dotychczas można było się o tym dowiedzieć, wertując trudno dostępne i czasem też słabo czytelne czasopisma. Publikowane w niniejszym tomie utwory rozproszone zostały uporządkowane chronologicznie, aby pokazać zmiany w poetyckiej twórczości, zainteresowanie nową problematyką w kolejnych latach, realizowaną w utworach drukowanych nieraz w różnych czasopismach.

Tę część tomu otwiera debiutancki liryk, publikowany na pierwszej stronie „Biesiady Literackiej”, otoczony wypracowaną, stylizowaną szatą graficzną. Hanna Elzenberg niewątpliwie była dumna z takiego wyeksponowania swojego pierwszego wiersza. Publikujemy też kilka utworów, które nie weszły do wcze-

⁸⁵ Typy odwołań do Biblii i chrześcijańskiego sacrum sklasyfikował W. Gutowski. Wśród nich wyodrębnił lirykę (gest) przyświadczenia. Por. W. Gutowski.

snych tomów, wśród nich jest pisany na Pawiaku (listopad 1906) wiersz *Od więźniów*. Nie został przedrukowany w tomie *Pieśni walki* prawdopodobnie dlatego, że rewolucja niebawem upadła i wezwania do walki już nie miały sensu.

Na osobną uwagę zasługują utwory publikowane w czasopiśmie „Ster”, zwłaszcza te, które koncentrują się wokół tematu macierzyństwa. Jeden z nich – *Do mego dziecka*, nie był przedrukowywany. Savitri postuluje w nim nowy model macierzyństwa, wypowiada się przeciwko zawłaszczaniu potomstwa przez poprzednie pokolenie, zamierza kształtować samodzielność dziecka i broni niezależności kobiety wobec mężczyzny. Jest on wyrazem charakterystycznego, młodzieńczego buntu, który znajduje wyraz w wielu jej wczesnych lirykach.

Można zauważyć, że w latach 1909–1914, czyli po wydaniu dwóch pierwszych tomów poezji, Zahorska, jeszcze jako Savitri publikowała sporo wierszy w ówczesnej prasie. Większość z nich pozostała w czasopiśmie, ponieważ wydarzenia wojenne narzuciły nową tematykę, zapewne też nowe spojrzenie na rzeczywistość, przedwojenne utwory wydały się więc poetce nieaktualne. A próbowała przed wojną nowych szlaków, na przykład napisała dłuższy poemat *Czarny książę*, sięgając do wzorów powieści poetyckiej. Kontynuowała też podjęte wcześniej tematy np. liryk *Błogosławieństwo* stanowi kontynuację utworów o podobnych incipitach z tomu *Poezje*; tematykę społeczną reprezentuje wiersz *Na południe*. Natomiast pod tytułem *Sosna* kryje się zupełnie inny wiersz niż ten, publikowany w tomie, podobnie pod tytułem *Morze. Tannhäuser w grocie Wenus* dopełnia wcześniejsze tematy wagnerowskie. Ciekawy okazuje się wiersz *Tancerka*, w którym motyw tańca został zupełnie inaczej opracowany niż w publikowanej we wcześniejszym tomie *Bajaderce*. A także wiersz *Budowa*, gdzie pojawiają się elementy groteskowe. Nowym motywem jest motyw dzwonów – dwa liryki pokazują jego odmienne zastosowanie.

Wiersze pisane w czasie wojny poetka przedrukowała w tomie *Dniom zmarłychwstania*. Powojenne utwory rozproszone otwiera siedem liryków połączonych w cykl *Drogi cierniowe*. Zahorska nie zrezygnowała bowiem z grupowania wierszy w cykle. Poetycka wypowiedź w tej formie jest nadal przez poetkę preferowana, może nawet wyraźniej niż w okresie młodopolskim, gdyż wówczas najpierw publikowała Zahorska w prasie pojedyncze wiersze, cykle pojawiły się dopiero podczas układania owych wierszy w tom. Większość z odszukanych cykli międzywojennych można określić mianem religijnych, gdyż wyeksponowana w nich została relacja ja – Bóg, tematem pozostają war-

tości duchowe. Większość wierszy (z drobnymi zmianami) *Z cyklu: Drogi cierniowe* została później przedrukowana w tomie z 1921 roku – ale jednocześnie cykl w ten sposób uległ dekompozycji, zmieniła poetka kolejność utworów, wstawiała między nie inne liryki itp. Przedrukowany on jednak został tu także w wersji czasopiśmienniczej, ponieważ zawiera dwa wiersze później niepublikowane i jest cyklem wyjątkowo spójnym, o wyraźnej linii tematycznej. Wiersze połączone w cykl prezentują się zupełnie inaczej, niż w wersji tomikowej, nabierają one – dzięki cyklicznej konstrukcji – specjalnego znaczenia, w którym najważniejszy okazuje się szlak ku transcendencji.

Tytuł *Drogi cierniowe* powtórzy się po wielu latach. W 1932 roku Zahorska zatytułuje w ten sposób liryki publikowane w „Rodzinie Polskiej”. W tych późnych wierszach wyeksponowana została postać Chrystusa. Zamiast kierować do Niego skargi na cierpienie, *ja* liryczne ofiarowuje je jako zaakceptowany Boży dar. Wiersze nabierają charakteru poetyckich modlitw pełnych zachwyty oraz radości z przemienionego bólu. Niektóre wiersze nabierają charakteru *mysterium fascinans*. Kilka strof z ostatniego cyklu powtórzy poetka w publikowanym w 1939 roku poemacie *Adoracja*.

Zahorska kilkakrotnie publikuje w prasie po kilka różnych liryków z tego samego cyklu. Wydaje się, że właśnie tematyka wierszy decyduje o stałej obecności cyklów w międzywojennej twórczości Zahorskiej. Jak zauważyła Mirosława Ołdakowska-Kuflowa: „*Konieczność* konstruowania cyklów w wypadku liryki religijnej wynika z charakteru przeżycia religijnego”⁸⁶. Wypowiedź złożona, wieloaspektowa, pozwalająca pokazać bogactwo relacji z Bogiem, jej różne wymiary, odcienie, „proces poszukiwania lub przybliżania się, emocjonalnego, rozumowego czy też wolitywnego do sakralnego przedmiotu, bądź trwanie w kontakcie z nim, jego celebrację” – jak to formułuje wymieniona wyżej badaczka – to właśnie wypowiedź cykliczna. Liczna obecność cyklów w późnej liryce poetki okazuje się więc nie tyle kontynuacją młodopolskiej poetyki, co konsekwencją wybranej problematyki religijnej. Charakterystyczne są tu właśnie dwa cykle w tym samym, 1931 roku publikowane w dwóch różnych pismach. Cykle posiadają ten sam tytuł: *W Jego Imię*, każdy zawiera pięć utworów lirycznych, ale są to zupełnie inne utwory i inne cykle. Głównym tematem jest także spotkanie z Chrystusem. W drugim utworze cyklu publikowanego w „Rzeczpospolitej” znajdziemy znamieny dwuwiersz:

⁸⁶ Por. M. Ołdakowska-Kuflowa, *Liryczny cykl religijny a „Pieśń o moim Chrystusie” Romana Brandstaettera*, [w:] *Polski cykl religijny*, op. cit., s. 302.

Z mojego życia ostygłej lawy krucyfiks rzeźbie,
a śpiewy z zacisz witrażnych nawy wtórują krzeźbie.

Jeżeli pamiętamy, że pierwszy cykl w tomie *Poezje* z 1908 roku nosił tytuł *Rzeźby z lawy* i bynajmniej nie była to lawa „ostygła”, lecz symbolizowała dynamiczną, zmysłowa namiętność powyższy fragment wskazuje wyraźną i świadomą przemianę – odejście od zmysłowości ku światu transcendentnemu, skoncentrowanemu w osobie Chrystusa.

Następny tytuł: *Chrystus w mieście* również przynależy zarówno do utworu publikowanego w 1925 roku, jak i do cyklu który ukazał się drukiem w 1930 roku, a składa się z trzech liryków. Zahorska podejmuje tu temat wielokrotnie rozwijany w późnym okresie twórczości. Ostro występuje przeciwko miejskim stosunkom społecznym, a nawet miejskiej zabudowie. Antyurbanizm przejawia się m. in. w liryku *Wiosna w mieście*, w cyklu *Pieśni przeciw miastu*, a sprzeciw wobec mechanizacji życia w utworze *Szaleństwo maszyn*, gdzie pojawiają się po raz kolejny elementy groteski. W tym samym czasie, w artykułach krytycznych Zahorska potępia futurizm. Wskazuje, że przed wojną np. Miciński uduchowiał nawet maszynę, zaś po wojnie poeci mechanizują człowieka, a maszyna staje się fetyszem.

Inny, wieloczęściowy cykl to *Pieśni o kobiecie*, w którym śledzi historię emancypacji i wskazuje pułapki jej współczesnego kształtu. Wzywa do uświadomienia sobie przez kobiety, ile zyskały, a ile straciły na realizacji idei równości kobiet i mężczyzn.

Na początku lat trzydziestych, a więc bardzo późno ukazuje się cykl *Szlakiem bitew*, będący echem zmagania wojennych. Charakterystyczne, że w latach trzydziestych odzywają się – przetworzone – reminiscencje z czasów zbrojnej walki. Przedrukowuje także cykl *Mater – matri* uzupełniając go o wiersz: *Miałam dziecinę maleńką...* W obu tych cyklach ważną rolę odgrywa religijna więź z Bogiem.

Cyklem typowo religijnym jest natomiast *Św. Jan Bosko*, który posiada częściowo charakter dewocyjny, częściowo reprezentuje zaś gest przyświadczenia. Niewątpliwie ciekawy okazuje się dwuczęściowy cykl *O sercu niedobrym*, a także utwory z cyklu *Biała miłość*. W lirykach Zahorskiej giną stopniowo związki z Młoda Polską, pojawiają się nowe realia cywilizacyjne, poetka duża rolę przyznaje pewnym symbolom, na przykład barwom, ale niemniejsze znaczenie miewa też realistyczny konkret. Jak możemy łatwo zauważyć, łączenie liryków w cykle pozostaje jej ulubioną formą wypowiedzi.

Ostatni długi poemat poświęciła rozstrzelanej córce. Pierwsza część obfituje w szczegóły z jej życia, będąc jednocześnie apoteozą charakteru i działania młodej kobiety. Skądinąd także wiadomo, że Litka wyróżniała się dobrocią, temperamentem, a także niezwykłą odwagą, portret matczyny jest więc portretem realistycznym, pogłębionym przez fakt śmierci córki. Druga część to relacja z wydarzeń wojennych, w których Litka uczestniczyła i ostatnia – najbardziej drastyczna – dotyczy jej egzekucji i bohaterskiej postawy, o której też przekazał relację świadek, ks. Stanisław Tworkowski⁸⁷. Poemat jest dziełem szczególnym w dorobku Zahorskiej. Łączy się w nim poetycki kunszt z walorem autentyczności. W tym wypadku poetyckie słowo pozwoliło zachować pamięć, co niewątpliwie było celem matki. *Litka*, publikowana dotychczas w trudno dostępnej „Oснове”, zasługuje na szersze zainteresowanie.

Późniejsze wiersze Zahorskiej, a także znajomość jej pracy literackiej w okresie Dwudziestolecia zaprzeczają tezie K.W. Zawodzińskiego, że gwiazda Savitri błysnęła jasnym, choć krótkotrwałym blaskiem jedynie w Młodej Polsce⁸⁸. Gwiazda po I wojnie błyszczała nadal, zmienił się tylko krąg tych, którzy ją dostrzegali.

⁸⁷ Ks. Stanisław Tworkowski, *Noch ist Polen nicht verloren*. „Chrześcijanie”, dz. cyt. s. 156–158.

⁸⁸ K.W. Zawodziński, *Studia z wersyfikacji polskiej*, oprac. J. Budkowska, Wrocław 1954, s. 322.

PIEŚNI WALKI

1908

SAVITRI



**PIEŚNI
WALKI**

PIEŚŃ MOJA ZRODZONA...

Pieśń moja zrodzona pod więzień sklepieniem,
wśród nocy bezsennych w mej trumnie, w mej celi,
wśród dni, trzepoczących na kratkach pragnieniem,
wśród rzezi ulicznych czerwonej topieli,
wśród czynów szalonych i ślepych rozmachu,
wśród szczęku browningów i huku pocisków,
i śmierci męczeńskich bez drgnienia, bez strachu...
Pieśń moja zrodzona wśród burzy połysków
i jako jej grzmoty, surowa i twarda!
W niej skarżą się gorzkie, bezdenne rozpacze
i wściekłość beżsiły i chłodna pogarda,
i cicha, bezbrzeżna tęsknota w niej płacze.
Pieśń moja zrodzona wśród tłumów niedoli
i chmurna jest łzami, jak dżdżyste obłoki...
Lecz szumi nad wszystkim, co ciężkie, co boli,
ocean miłości słoneczny, szeroki...

WIĘZIEN

Ja jestem silny i mocarny
w wąskiej, samotnej mojej celi,
tu się nasyci szła ofiarny,
milczeniem myśl się wyanieli.
Pozostałem poza progiem
wzgardę i walkę z sobą – wrogiem,
wyrzut bolesny, nieustanny,
że pola dusz odłogiem leżą,
że każda rozkosz ma – kradzieżą,
że obok mętnych strug – fontanny,
a obok brudnych chat – cieplarnie –
wysił niemocny i męczarnie,
przegniłe wielkich miast sumienie
pozostałem poza progiem,
i jasne stało się milczenie.

Moją wolnością – wola skuta,
wolny nie bywa niewolnikiem...
Dźwiga się posąg doskonały
pod uderzeniem ciszy-dłuta,
wylbrzymiałej myśli krzykiem
witam z oddali pochód tłumny,
i marzeń krople kryształowe
sączą się, rosną w stalaktyty,
w gmachu przyszłości strop, kolumny.
Gromadzę błyski piorunowe,
co sług ucisku zmiażdżą glity.

Z mego okienka, spoza kraty
widać więzienie ciał – warsztaty.
Daleko, we mgle – komin czarny,
gwizd mnie o zmierzchu budzi co dnia,
i woła w dzień mozolny, gwarny,
a tam – tam płonie już pochodnia
prometeańska, w tłum rzucona,
u wozu słońca zapalona.

I ja posyłam z ciasnej celi
słowo potężne i prorocze,
otwieram z dali moje głębie,
jak ciche gońce, jak gołębie
posyłam troskę – miłowanie.
Modlitwą mą bezsłowną wieszczę:
na ugór spadną ciepłe deszcze,
i przyjdzie dzień – i cud się stanie!

O świecie czekam, obudzony,
na zwołujące, ostre świsty –
Fabryka milczy...

Patrzę chciwie,
tam w oknach czarno, piec zgaszony,
ceglany komin już nie dymi,
i z piersi wybiegł krzyk olbrzymi:
Fabryka milczy!

Milczy senna,
a głośniej wciąż brzmi uroczysty
śpiew, dobrze znany, tryumfalny,
i wschodzi słońca tarcz promienna,
jak nimb przyszłości idealny.

OKRĘT ZBAWIENIA

Tam, gdzie pieszczotę morskich fal
odtrąca pierś wybrzeża,
stoi na zrębie ostrych skał
kamienna, mocna wieża.
Już dawno, dawno więzień w niej
o kratę śni oparty,
i słyszy tylko morza szum
i okrzyk czujnej warty.
Patrzy z tęsknotą chorą w dal
na wodnych wzgórz ogromy...
Czy wyczaruje jego wzrok
Zbawienia znak widomy?
Czy zdoła przebić mglistą dal
tęsknota bezimienna
i czy się porwie na jej krzyk
drużyna jego senna?

On śni... Na sinej fali – hen –
złociste mkną korabie,
szkarłatne liny pręży wiatr
i w żagli dmie jedwabie.
I przyozdabia główny maszt
tak znana mu bandera...
Szczęście i ból mu ściska pierś,
coś drży w nim i zamiera.
Lecz nie przychodzi śniony dzień
arką tęczowych mostów...
A fala szepcze, strojąc brzeg
w pas żółtych wodorostów.
I tylko szumi, szumi, gra
głęb morza przepaścista,

i w krzyku mewy płacze, łka
tęsknota wiekuista.

* * *

Dostrzegł sokoli więźnia wzrok
punkt czarny na głębinie –
bliżej i bliżej – tak, to on!
Okręt zbawienia płynie.
Czemuż załogi mała garść?
Wszak było druhów tyle!
Zniszczyłać burza albo wróg
odważne ich flotylle?
Lecz mniejsza o to – dość, że są!
Nieliczna warta strzeże!
Niech tylko dotrą – blisko już,
ach, blisko już wybrzeże!

Mocarz-Huragan z toni wstał
z chmurzystym, złym obliczem,
grzbiet nieuległych służek-fal
wichrowym smagał biczem.
Jęczały wiatry głuchą pieśń
o losie, ślepym trafie,
kiedy się rozbił okręt-ptak
na koralowej rafie.

* * *

W samotnej baszcie więzień śni,
o kratę śni oparty...
Tak beznadziejnie milczy dal,
czuwają wrogie warty.
I tylko szumi, szumi, gra
głęb morza przepaścista
i w krzyku mewy płacze, łka
Tęsknota wiekuista.

DO TOWARZYSZEK WIĘZIENIA

Kobiety – bojownic wy ptaki, zakute
w bezlitosnej obręczy więziennego muru,
opancerzone w męstwo, zbrojne w młodą butę,
piękne a niespożyte – jak kwiaty z marmuru.

W ciemni cel wy świecicie, jak drogie klejnoty,
zamknięto w nich szkarłatne naszych serc rubiny,
by snadź nie rozplonęły w jasne czynu grzmoty,
kładąc silne przyszłego świata podwaliny.

W głębi cel wasze serca biją, jako dzwony,
krzyk popłochu rzucają między wrogie szzańce,
budzą w zmęczonych piersiach duch buntu uśpiony,
biją – a dźwięk ich leci aż w najdalsze krańce!

O wy kwiaty z wiosennej oczekiwań łąki,
wicher rwał wam korony i łamał łodygi,
mróz zwarzył białym szronem nierozkwitłe pąki –
wyście nie odstąpiły zwartej światła ligi!

Z odważną wiarą siałyście opyły płodne
na najdziksze, najbardziej jałowe turnice,
szłyście pomiędzy tłumy posępne a głodne!
W precudny wian was łączę – o kwiaty-siostrzyce!

Ciebie, wiotka, boleśnie wrażliwa Mimozo,
co rzuciłaś twe ciche, melodyjne śnienia,
poszłaś w burzę, by poić się jej krwawą zgrozą,
poszłaś pomagać dziełu śmierci i zniszczenia!

Ciebie, o delikatna, wątła Primavera, –
niknąca w dusznej celi, a wciąż nieugięta,
z prawdą w niebieskich oczach, głęboką i szczerą,
a taka kochająca, że aż prawie święta!

Ciebie, łamikamienia kwiatuszku bielutki,
który mocnym korzeniem kruszysz głąz po głązie...
Ciebie, irysie, w marzeń pogrążony smutki,
o dziwnym, w każdym płątku odmiennym wyrazie!

Ciebie, storczyku, w borów wybujały cieniu,
skromny z pozoru, z bliska pełny aromatu!
Ciebie, róžo królewska, cicha i w cierpieniu,
o słodczy gazeli, wytworności kwiatu –

Z wirydarza Idei zerwane, o kwiaty,
biorę was wszystkie w korne mej miłości dłonie,
splatam w wian wasze biele, fiolety, szkarłaty,
i wian przecudny kładę na Przyszłości skronie.

Pawiak, maj 1906.

W NOC JESIENNĄ

Rozszalała noc czarna, noc burzliwa, jesienna,
jako rozpacz łkająca, jak tęsknota bezdena.

Milczy głucho więzienie, jak grobowiec olbrzymi,
jako zgliszcze posępne, które krwią już nie dymi.

Przed więzieniem jak studnia, kwadratowe podwórze,
kilka drzew się ugina z jękiem w dzikiej wichurze.

A wzdłuż ściany wartownik-żołnierz kroczy i kroczy,
wicher szumi mu w uszach, mgła zasłania mu oczy.

Sojuszniczka to więźniów – noc jesienna burzliwa:
wszystko płaszczem swym ciemnym, tajemniczym okrywa.

Chodzi żołnierz – drgnie czasem twarz surowa i spita...
Z rzadka piła na kracie nieostrożnie zazgrzyta.

Chodzi żołnierz i myśli o zabitej swej doli,
i coś pierś aż rozrywa, coś tak płacze i boli.

Chodzi żołnierz – nie widzi, jak z okienka na sznurze
jakaś postać się spuszcza... idzie... jest już na murze.

Oto więzień się wyrwał z grobu – życie znów wita,
spragnionemi wargami świeży nocy dech chwytą.

Hej, zahuczy znów walka taka mężna i młoda –
czeka bratnia drużyna... Hej, swoboda, swoboda!

Nagle okrzyk: Stój, strzelę! – Żołnierz ręką zmartwiałą
wycelował karabin – gruchnął strzał – spadło ciało.

Rozszalała noc czarna, noc burzliwa, jesienna,
jako rozpacz łkająca, jak tęsknota bezdenna.

A w więziennym przedsieniu długo pili strażnicy
i brutalnie śpiewali, strzegąc trup bladolicy.

Słyszać było do rana uderzenia miarowe:
to naprędce zbijano świeże deski sosnowe.

I rzucając do trumny martwe ciało człowieka,
żartowali strażnicy: – Niechże teraz ucieka!

A tam żywi, bezsenni, w trumnach-celach zamknięci,
dziwnych dźwięków słuchali, dreszczem zgrozy przejęci.

Rozszalała noc czarna, noc burzliwa, jesienna,
jako rozpacz łkająca, jak tęsknota bezdenna.

BYŁEM PROROKIEM...

Byłem prorokiem...

 Pośród tłumu stałem,
i mojej prawdy czyste objawienie,
promieniującą ze mnie wszechpotęgę,
całe miłości bezgranicznej snopy,
w masę milczącą i wrogą rzucałem,
jak druzgoczące granaty w okopy.
Rozdarłem prawa ich starego księgi,
burzyłem wieże ich starego tumu,
tajnych, odwiecznych tęsknic kantyleny,
chore rżenie pragnień ich niesytych,
rozpaczne łkanie wszystkich snów zabitych,
z głębin najkrwawszych, z serca ich wyrwałem,
zrobiłem ciałem.

I ukazałem wizję dnia wesela,
pełnego słońca, kwiecica, brzęczeń pszczelich,
zdrojów, gdzie każda skaza się wybiela,
i ukazałem w glorii promienistej
zbawienia kielich...

A mego słowa jasne błyskawice
wciąż się wdzierały za zasłonę powiek,
i zapalały ogniem ich źrenice,
aż tłum, rozgrzany mą nieludzką mocą,
stał się, jak jeden człowiek.

Krzyk im rzuciłem: Sztandar w dłoń rozkutą!
Naprzód! uwolnić się przez znój od znoju!
I prowadziłem z mężnej pieśni nutą
na czyn! do boju!

BYŁEM MĘCZENNIKIEM...

Byłem męczennikiem...

I wziąłem w siebie wszystkie ludzi nędze:
śmiertelnie smutne, głodne ich spojrzenia,
protest deptanych, mordowanych jęki,
ślinę nikczemnej wzdąrdy na siermiędze,
dni ciężkiej pracy szare, długie przędze,
brud złęgo czynu, krew posępanej zbrodni,
wylęgłe gdzieś tam, w otchłani
ciemnoty, głodu, cierpienia.

Szumiały we mnie słone, mętne fale
wieczyste] męki...

Ból mieszkał we mnie,
i szedłem na dno, w nieprzebyte ciemnie,
rzucałem tam promienie,
a każde światło, ledwo zapalone,
wchłaniały znowu mroki nieprzebyte.
Bez końca trwała walka z siłą mroczną,
i każda radość, ukojenie syte,
wnet się stawały dręcącym wyrzutem:

Jaż mam spoczywać, gdy inni nie spoczna,
gdy czarną wizją stają mi w pamięci,
ci, wysileniem nieczłowieczym zgięci,
oddychający powietrzem zatrutym?
1 krzyk rósł we mnie, jeden krzyk olbrzymi,
i wybuchł straszną groźbą i protestem
przeciw zła sile przemożnej.
Zło mnie spętało –
wróg zmóc mnie pragnął:
udręczeni ciało,
nie czułem bólu, bo sam bólem jestem!...

I wprowadzili mnie w śmierci ulicę,
gdzie pręty w rękach posepnych siepaczy
miotły we mnie ciosy-błyskawice,
i ciało zaczęły zdzierać.
Wyrzut, udreka we mnie cicho kona:
ja cierpię dosyć – ofiara spełniona,
jak słodko, słodko umierać...

DZIEŁO

Towarzyszowi I. D.

Z materia wiodłem bój – ze ślepa i oporną,
żywoły wszczęły bunt – zdzierzyłem je mocarnie,
kusiła rozpacz mnie, łamały mnie męczarnie,
a ja czekałem zórz w godzinę przedwieczorną.

W materii ciemnej, zlej, rzeźbiłem prawdę żywą,
piorunem woli mej i słowa błyskawicą,
pragnieniem strasznym mym, szaloną mą tęsknicą,
i oto stało się posłusznym mi tworzywo.

Skończyłem dzieło me – złożyłem władne dłonie,
i patrzę cicho, jak w dokonań majestacie,
wydarty siłą mą niebytom i zatracie,
przedziwny, nowy kształt w słonecznej glorii płonie.

PO ŚMIERCI

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
a siną pręgę masz przez szyję...
Zrywam się z krzykiem: – Już umarłeś! –
Ty odpowiadasz cicho: – Żyję! –

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
i ja całuję usta blade,
na serce, chore miłowaniem,
twoją męczeńską głowę kładę.

Przychodzisz w straszną noc bezsenną,
a z twego czoła wieje zgroza...
Całuję zimne twoje usta
i siną pręgę od powroza.

Twoją męczeńską głowę pieszczę,
z której już mózg wyzarły żmije...
Na jęk nieludzki: – Już umarłeś! –
ty odpowiadasz cicho: – Żyję! –

W męce zmartwiła, bezpamiętna,
błądzą stopami zbolełemi,
by choć najlżejszy cień istnienia
twego odnaleźć tu na ziemi.

Oto ujrzałam na mej drodze
idący naprzód zastęp mężny,
a w nim się zrywał, huczał, szumiał,
wicher twej woli przepotężny.

A tam z otchłani ludzkich źrenic
spłynęła łzą na me cierpienie
twa seraficzna moc ofiary,
wyanielone twe spojrzenie.

I wszystkie myśli twe orkanne,
twych pragnień łoskot piorunowy,
ujrzałam oto znów, wcielone
w ten męczenników szereg nowy.

I głos twój doszedł mnie ze świata:
twych buntowniczych słów zarzewie
znów z dreszczem szczęścia usłyszałam
w młodym, radosnym zwycięstw śpiewie!

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
a siną pręgę masz przez szyję...
Łkam oszalała: – Już umarłeś!
Ty odpowiadasz cicho: – Żyję! –

WIOSNA IDZIE

Już wiosna idzie, idzie wiosna...

W półśnie słonecznym dumająca,
puszyste kotki wierzby trąca,
wszywa jedwabie w łąki krosna...

Już wiosna idzie, idzie wiosna!

A rzeka z fali pianą białą
wyrzuca na brzeg krwawe ciało,
mknąc dalej, huczna i radosna!

Już wiosna idzie, idzie wiosna!

Ze strasznym bólem i tęsknotą
mój sen o wiosnie marzę oto...
Wyjdzie w dzień ciszy lazuruowy
zastęp odważny, jasny, nowy,
zleca się wrogich sił orkany...

A tam gałązek bezlistnych chór
tajnym szelestem i rozhoworem
kołysze, głębiej usypia dwór,

pieśnią o życiu pustym i chorem
gra ponad dworem –
śpi stary dwór...

A tam – czernieje pusty łąn,
zalany krwią przebytych mąk,
i czeka rąk...

Na rękach tyle blizn i ran!

A we wsiach dzieci bose płaczą,
z zawziętym gniewem i rozpaczą
zaciska chłop swe twarde pięście...
A rój jaskółek w słońcu złotem
mówi a mówi swym świergotem:
– Szczęście dla wszystkich, wszystkich szczęście.
Już wiosna idzie, idzie wiosna!

Męka szamocze się bezgłośnie,
rozdiera piersi dziki żbik,
wtłoczono w gardło buntu krzyk,
stulecia krzywd, bezmownych skarg
ugięły skroń, zgarbiły kark...

Już dość, już dość!
Ja pragnę żyć, ja pragnę rość!

O wiosno, przyjdź!
Za ból, za znój,
ty daj nam bój, ostatni bój!

Niech się przemożny zbiera huf
w stalowym, zimnym błysku luf!

Zasłała pola ruń zielona,
cisza wokoło roześniona,
w pąkowiu drzemie tajń rozkwitu...
W dworze przegniły już wiązadła,
dumna budowa się rozpadła
w gruzy niemocy i przesytu...

Rola w odświętnym majestacie
do stóp się ściele każdej chacie
tym utrudzonym na kobierce...

Iści się wielki mit o wiosnie:
na całej ziemi tak radośnie
jedno olbrzymie bije serce.

Narodów wiosno, zejdź na świat,
już dosyc mąk i dosyc krat –
O wiosno, przyjdź!
 Za ból, za znój
Ty daj nam bój, ostatni bój!

OGRÓD ROZKOSZY

Z jałowego pustkowia męczeńskiego trudu
przeniesiono mnie w kraje baśnianego cudu.
Tam w ogrodzie stał zamek z rzadkiego porfiru,
bezlik pereł pokrywał ścieżki zamiast żwiru,
zdrój rozpieśniony tryskał barwną tęczą rosy,
otwierały swe czary śnieżyste lotosy.
Pod gałęzmi platanów potęgi ukryte
zastawiały mi stoły, nad miarę obfite.
A mur, otaczający świat czarów pierścieniem,
kryły makaty pnączy przed moim spojrzeniem.
Sytość mi podawano, jak czarę haszyszu,
a ja błądziłem, burzą wrąc, w słodkim zaciszu.
Głos niewidzialny ku mnie wysłały przestrzenie:
– Wszak niczego ci nie brak w beztroskim edenie!
wszak ostatni znak bólu z twego czoła starłem?
czegoż rwiesz się i pragniesz? – Ja na to odparłem:
– Nie moja dłoń wznosiła te piękne ogrody
i jest w nich wszystko – wszystko, prócz twórczej swobody!

W UKRYCIU

Śpi opuszczony wiejski dom,
za oknem w mgłach tak długo, strasznie szumią drzewa...

O nie daj płynąć łzom!
Wróg – wicher się naśmiewa,
zmęczonym myślom pieśń szaloną wyje
i urągania szepcze nienawistne,
a drzewa we mgle wyciągają szyje
szerniałe, nagie i bezlistne,
jak szubienice!...

Tak głucho w starym domu...
Tam w mieście skonał bój i milczą już ulice...
Kłęska... Nie pojął lud potęgi i ogromu...
Z chorągwią rozwiniętą cesarskie idą pułki,
a zgroza chrypi przyczajona,
w najdalsze wpełza gdzieś zaułki...
Ja widzę w mgle ramiona, wciąż ramiona.
Jak szubienice!
Nie, nie, to tylko tłum gałęzi...
Ciszej – te drzewa chcą wyszumieć tajemnicę
żem tu – zbir przyjdzie i uwięzi. –
Co?! tętent? Mkną kozacy w cwał –
to uderzenia kopyt tak złowieszcze
po mózgu mym... Co? zabrzmiał strzał?!

Ja nie chcę, nie chcę jeszcze!
Wszak walka nieskończona,
wszystko ocieka krwią w szaleństwie i proteście,
a błyskawica, w chmurach zawieszona,
na gnębicieli gruchnie w mieście!
Cisza... Rozpacznym, dzikim snom
wtórzy ulewa...

Śpi opuszczony, wiejski dom,
za oknem w mgłach tak długo, strasznie szumią drzewa...

IDEA

Święta Ideo, o dostojna Pani,
przeciw tyranom walcząca tyranko,
Jesteśmy u stóp twych, korni poddani,
li tylko hołdu drobnutką wiązką!
Grałaś mi pieśni na przesłodkiej cytrze
by oczarować i ducha i ciało,
i w swą niewolę zwabiłaś mnie chytrze
lichym łachmanem i raną zropiałą!
A z tej miłości ku tobie ogromu
rósł dla miłości dawnych przeniewierca:
próg rodzinnego przestąpiłem domu,
a na tym progu – rozdeptałem serca.
I odtrąciłem kochanie dziewczęce,
boś we mnie wszystko schłoneła, wyżarła,
i nic nie czułem, gdy łamała ręce,
mówiąc, że wielka jasność w niej umarła!
I zaniedbałem odtąd śpiew i kwiaty,
i opuściłem piękna gmach tęczowy,
a ukochałem męczeństw twych stygmaty,
wargi me znały tylko zew bojowy!
Święta Ideo, przedostojna Pani,
kto twej potędze niezblaganej sprostą?
Twoi zaprzańcy błędzą bólem gnani,
wszędzie dosięga ich twej wzdgardy chłosta!
Święta Ideo, przedostojna Pani,
dzięki ci składam za twe hojne dary:
za trud bezdomny, i za cierń, co rani,
i za skazańca łachman zgrzebny, szary!
Czasami tylko jawisz się, Straszliwa,
twego rycerza bolesnym żrenicom...

Pieśni o tobie głoszą różne dziwa,
cudowną krasę nadają twym licom,
lecz ty... Wszak w krwawej pławi się kałuży
tron twój – a w głowie masz paszczę Molocha...
Czemuż ma dusza tak ci wiernie służy,
czemuż tak ciebie rozpaczliwie kocha?
Za to, że w żarach twoich mnie przepalasz
i wkładasz brzemień nad siły na bary,
za to, że tworzysz, gdy gniesz i obalasz,
za to, że każesz urastać w bezmiary,
za to cię Kocham każdą mą ofiarą,
każdym męczeństwem, wszystkim, co mnie rani –
dla ciebie zginę z straszną, mocną wiarą,
święta Ideo, przedostojna Pani!

* * *

Idea, wizja nikła i rozwiewna,
w kształcie objawić chce pełnię swych kras:
chce żyć dreszczami mięśni i krwi tętnem,
oto przychodzę, by ci rzec: już czas!
Idź zerwać słońce buntowniczą dłonią!

Niech w tobie zabrzmie krzyk gromowej woli,
niech się przeleje w wielki głośny czyn!
Oto potężna pieczęć wykończenia
jest odkupieniem wszystkich nędz i win!
Idź zerwać słońce buntowniczą dłonią!
Niech cię szalone rozpalą pożary,
niech ci się butnym gniewem ściągnie brew –
zrzuć słodkie piękna girlandy – okowy,
wstań, jako olbrzym, wstań, jak rycerz – lew!
Idź zerwać słońce buntowniczą dłonią!

* * *

W bezsenną noc nie stawaj przy mym łożu
ty blade widmo, bracie mój, nędzarzu!
Chcesz duszy mej? Już ją rzuciłam morzu,
pogrzebły fale ją w podwodnym wirydarzu.
Na morza dnie, na dnie niezgruntowanym
śpi dusza ma, złamana i zmęczona,
z falami nie chce łąkać, nie śmieje się z orkanem.
gdy okręt-ptak na rafach ranny kona!
Chcesz duszy mej – wyciągasz po nią ręce,
rozkrajasz mózg, rozdzierasz pamięć-ranę:
o, dość walczyłem już w łzach, w nieprzytomnej męce
za szary łachman twój, za serce twe zdeptane!
Zatrzepotana pierś powietrza już nie chwyta,
i rzeźwa moc odeszła moich kości,
a widmo twe, co noc surowo pyta:
– Przecz odstąpiłeś mnie dla ciszy, dla wieczności?
– Miałem olbrzyma ból, a moc nikczemną karła,
gdy miecza było trza, nie miałem nic, prócz noża,
patrzyłem na twój trud – i dusza mi umarła,
leży wśród zimnych fal na dnie cichego morza.
To morze twoich łez, to morze takie słone –
lecz gdy zarzewie walk te fale przesusza,
gdy wszędzie słońce twe, radością aż szalone,
to zadrgnie w strasznym śnie – i zmartwychwstanie dusza! –
Lecz teraz nie budź jej – niech długo śpi spokojna!
Zabił ją niemy gwałt, zdławiła ją obroża...
Więc niechaj orkan dmie, niech rozszałeje wojna,
a ona niechaj śpi na dnie cichego morza!

* * *

Nie, ja nie patrzę nigdy na was, tłumy,
przez szkła różowe, idealne tęcze:
znam wasze karle serca i rozумы,
waszą małością i brudem się męcę.
Was nie napoi moja krew serdeczna,
ani obmyje moja łza przezczysta...
Dolina wasza szara, bezsłoneczna,
was straszy droga górna i urwista!
Próżno, przewodnik męstwem oszalały,
zemdłałą dłonią wciągam was na granie –
Szepczecie trwożnie: – Tam, tam lodozwały,
chatnych zaduchów tam nie pozostanie!
Nasz wzrok przyziemny, wąskie nasze płuca,

nas może zabić tchnienie wichru wolne! –
I szlak wyżynny każdy z was porzuca,
by zejść na ścieżki znane i padolne.
A jednak w ducha waszego mur gruby
skrwawiona dłoń ma niestrudzenie wali,
a jednak serce me, niepomne zguby,
rzucam wam do stóp, byście je deptali!
Choć zło niejedną turnię porozkrusza
na pył rodzajny pod zasiewy wraże,
jednak was dźwigam – bo mnie Wieczność zmusza,
bo wielka miłość, wielki ból tak każe!

POTĘPIONA

Podeptałam ze wzgardą nasze stare prawa,
rozerwałam sieć waszych nędznych, czczych omamień,
wybuchnęłam, jak luna potężna, jaskrawa –
wyście mnie potępili i rzucili kamień.

I samiście się zlekli, słabe, wątłe dusze,
klątwa się rozplynęła w litość dla grzesznicy,
która wolność zdobyła w walki zawierusze
i bije świętokradzkim ostrzem błyskawicy

w wieże starego tumu, w spróchniałe ołtarze...
Grzesznica, gwałcicielka dawnego zakonu,
ja was obrazem kłamstwa waszego przerażę,
obrazem złego jadu, wszczepianego łanu,

pod osłoną surowej, strupieszalej księgi.
Oto stoję przed wami, silna, nie związana
ni tchórzostwem sumienia, ni fałszem przysięgi
i was, czystych, ja sądzić będę, – ja, skalana!

Drżycie! Z bólu pokoleń narodził się sędzia,
mściciel szczęść, mordowanych chłodną dłonią kata!
Jasno świeci mej prawdy biel naga, łabędzia,
niepotrzebna jej waszej obłudy pstra szata!

Wasza klątwa zbudziła we mnie szczęście dumne,
zbudziła rozmach walki nieugięty, twardy, –
lecz wyście otworzyli mi swą litość – trumnę –
waszą litość odtrącam ze śmiechem pogardy!

Wyście nazbyt ubodzy, wy nie macie daru
dla mnie, bogatej straszny przepychem nabobów!
Jak to? Chcecie do cieśni strącić mnie z bezmiaru,
mnie, wolnej, na znak łaski zwrócić piętno rabów?

Chcieliście mnie przygarnąć, jak zbłąkane jagnię,
lecz mnie trzody nie trzeba, ja latam, jak ptacy!
Mocarka śmie dokonać wszystko, co zapragnie!
To wy przyjdźcie o skarby błagać mnie, żebracy!

PRZESZKODA

Przeżarty dłonie me żelaza oków rdzawe,
bezwładna woła ma szalała, rwąc się w dale...
Szarpnąłem ciężar pęt – wyrwałem dłonie krwawe,
i wolność, zdobycz mą, ubrałem w krwi korale!
Zagrało w piersi mi nadludzkie upojenie,
strąciłem śniegi z gór – i oto pod lawiną
pogrzebłem stary tum, bo czczono w nim cierpienie,
i starłem krzyże w proch – są bólem, więc niech giną!
Ja idę, idę w dal – a wolność pierś rozszerza,
niewolę dawnych form druzgoczę młodą mocą,
i idę tam, gdzie lśnią nieznanych mórz wybrzeża,
gdzie czoła dumnych skał zorzane blaski złocą!
Mnie niesie w oną dal zwycięski krok olbrzyma,
na próżno klątwy grom i bladych trwóg wołanie
u stóp się czołga, w skroń uderza – któż mnie wstrzyma?
Kto zdoła wstrzymać nas, o bracie mój orkanie?
Ze wszystkich przeszkód już zostały rumowiska,
tworzyłem, burząc świat – niszczyciel i morderca.
Wtem – widzę u mych stóp, jak żywy krzak ogniska,
jak buchającą pieśń – przedziwną różę serca.
Precz z drogi mojej, precz! Mam zdeptać serce drżące?...
Pragnienie smaga krew, jak morza wał się spiętrza...
Precz z drogi mojej, precz! Jak blady kwiat na łące,
zdepczę je wzgardą stóp – niech mrze, jak pieśń najświętsza!
Precz z drogi mojej, precz! Drętwieje stóp odwaga...
Ja muszę naprzód iść przez gruzy i mogiły,
to serce zdeptać chcę... A stopa znów się wzdraga...
Złamany padam w proch przed sercem w łzach beziły...
Na ostry padłem gruz – na własne me zwaliska
i własną moją pierś spętana niszczy burza...
Konam w beziły łzach – a dal tak bliska, bliska...
Nie mogąc zdeptać – mrę... Na drodze – serce – róża...

GDZIEŚ KWITNĄ RÓŻE,..

Gdzieś kwitną róże...

Ja zapomniałem,
że przy omszonym, zamkowym murze,
gdzieś kwitną róże.
Ja miałem czoło, zroszone potem,
mnie tak bolały strudzone ręce,
dźwigając bryły, bijąc w nie młotem –
ja upadałem we łzach i męce,
i moją mękę szczęściem nazwałem,
bo wznieść musiałem olbrzymi gmach,
i pracowałem bez słońca, w mgłach,
i zapomniałem, że w noc wiosenną, cichą i wonną

Gdzieś kwitną róże...

Coś łąka tęsknotą straszną, przedzgonną...
W ciemnej, królewskiej swojej purpurze
gdzieś kwitną róże...
Wy zapomniane, z życia wygnane,
wróćcie wasz tajny, mocny aromat

i rzeźwe tchnienia, w rosach skąpane. –
Ja, w oceanie człowieczych gromad,
zgubiony łąd,
dźwigam się z głębi, mnie niesie prąd
tam, ku brzegowi, gdzie morza śpiewy
pieszczą melodią kwitnące krzewy...
Tam, na wybrzeży morskich urwisku

Gdzieś kwitną róże...

Wśród siwych ruin, przy obelisku,
wieńczącym ciche, słoneczne wzgórze,
gdzieś kwitną róże...
Coś niewymowną tęsknotą płacze:
życie, ty życie w walce z orkanem!
Oto strzaskane czółno rybacze...
Śnię o czymś dawnym, czymś zapomnianem,
o nocy cichej, wiosennej, wonnej,
o dniu wśród sennych niebieskich grot...
O nich, mój ciężki podnosząc młot,
ja zapomniałem –
i znów w tęsknocie marzę przedzgonnej:

Gdzieś kwitną róże...

JODŁY

Na skalnym zrębie stały jodły,
wrzynały w szafir kontur śmigły,
ostrzem wierzchołków chmury bodły,
swe szmaragdowe jeżąc igły.
Nad kosodrzewin rodzaj karli
wzniosła je moc i spokój hardy –
aż ludzie wirchu ich dotarli
i uderzyły w głąz oskardy,
kamienne stoczą gór o tłuły,
wydarły krzepkie jodły górze,
że pniem upadał pień wysmukły,
w dół powleczono je na sznurze,
w wydnię piaszczystą zasadzono,
aby powstrzymać lotne piaski.
A ponad śnieżnych gór koroną
w tęczach wschodziły, gasły blaski...
I marły patrząc w dal olbrzymią,
gdzie wicher chorały potęg śpiewa,
gdzie sine mgły po zboczach dymią,
wiecznie-zielone, smutne drzewa...

RYCERZE GIEWONTOWI

Dzwon na gotyckiej zabrzmiał wieży,
pochwyił echo wiatr,
i leci dźwięk – tam – ku rubieży
kamiennych piersi Tatr,
dobrzmiał – padł na skroń Giewontowi,
rycerze w głębi grot
budzą się. – Czyście już gotowi,
by przelać krew i pot?
Oto już wieki, wieki śnicie,
cisi, jak mszysty głąz,
a tam – hań – wre i tętni życie,
pełne i mąk i kras!
Wieki nad wami oto wisi
klątwa kamiennych cisz,
a wam pierś szarpie kiel tygrysi,
ramiona gniecie krzyż!
Niech krzepki zastęp się wymrowi,
jak młodych smreków las!
Wstańcie, rycerze Giewontowi!
wstańcie! Już przyszedł czas!
Snem ociężałą wznosi głowę
zbrojny rycerzy wódz :
Cisze klątewne, bezechowe
trza żywym cudem zmóc!
Niech w zorzę mrok się wyanieli,
zakwitnie suchy strąk,
niech skaza grzeszna szuka bieli
wśród nieczłowieczych mąk!
Dłoń wybielona, dłoń liliowa
niech chwyci dzwonu sznur,

ocknie się rzesza Giewontowa,
zstąpi w niziny z gór!
Bo wyzwolenie z mgły omamień,
karm dla zgłodniałych rzesz
przynosi skromny łomikamiień,
nie cieplarniany kierz!
Kwiat, co mozolnie skały wierci,
trze w życiodajny ił,
kwiat, co wydziera życie śmierci
walką tajemnych sił!
Bo nie ta dusza niewzruszona,
co skrzepła w równy blask,
lecz ta, co grzeszna, z bólu kona,
ma w sobie zaród łask!
Ta, która władna i służalca
podejmie wszelki trud,
ta która mrokom jaśń wywalcza,
ta stworzy żywy cud!
Ta która dniom i zorzom nowym
zgotuje w sercach tron,
ta niech rycerzom Giewontowym
uderzy głośno w dzwon!

* * *

Kłębią się, kłębią mgły sinawe,
pełzną przez bór na grań...
Oczy w mgłach toną – oczy łzawe,
a w piersi pełno łkań.
Hań, tam od turni, z wywierzyska
bije srebrzysty smug,
szumi i gędzi, pianą tryska,
a u rozstajnych dróg
rozpacz kamienna, rozpacz ślepa
wtula się w złomy skał...

Zawisła chmur nawałnych krepa,
zerwał się wichury szał,
z dzikim porykiem smreki wali,
krze potrząsał z ros...
Płynie ku wirchom, poprzek hali,
mąk niewymownych głos:
– Ku tobie, lilio, ja się modłę!
Naodziej moją skroń!
O kruczy stawu! Niby jodle
daj paść odbiciem w toń!
Odzwierciedl ciężkich mąk stygmaty
i ciemne piętna skaz!
Chcę zmyć je czystą krwią obiaty,
czeka ofiarny głąz!
Ku tobie modłę się, orkanie,
wyrwij i zdruzgocz grzech,
daj mi twej mocy królowanie,
daj twój piorunny dech!
Oświeć szkarłatnym twym zygzakiem
niedoścignioną perć,
wiodącą tam, gdzie z widm orszakiem
władnie w przestworzach śmierć
zmuszę ją rzec przez możliwe czary,
gdzie tajemnicy schron,
odnajdę drogę do pieczary,
uderzę w wielki DZWON!
Lilio, siostró srebrnolista,
ty łzy nade mną roń,
i złotem sercem twym, przezczysta,
na odrodzenie dzwoń!
Ku tobie modłę się, orkanie:
zakuj me ramię w stal,

daj mi twej mocy królowanie,
o wicherze, wicherze z hal!
Grot wraży, którym mnie przebodli,
zmienię w zwycięską broń!
Lilio, ku tobie duch się modli:
naodziej moją skroń!

* * *

Jako spod warstw piarżystych kamień
uwalnia praca wód,
tak w duszy ludzkiej z pod omamień
wybłyska prawdy cud.
Oto się cicho wykryształala
stawu bezdenna kruz
i jasny promień się zapala
w głębi stęsknionych ocz.
Oto ze stągwi miodnych rzesze
syci rój myśli – pszczół,
oto duch z siebie blaski krzesze
dla uznojonych czół,
i oto w żarach się wybiela,
niby na słońcu len,
i lazurowy śmiech wesela
wplata we zjaw i sen.
Do urny wrzuca łzy popielnej,
a wznosi życia kruż,
w cichej komunii niepodzielnej
daje się każdej z dusz.
Przeziera czystym wzrokiem tonie
o niedosiętych dnach,
świętą obiata co dnia płonie
w ognia własnego skrach.

* * *

Przez orlą perć, po gwiazdnej drodze,
nadszedł promienny świt,
w ametystowych mgieł srężodze
lśni Giewontowy szczyt.
Przez ciemne regle i przez hale
lekką podąża wzyź
ta, co w pokutnych łez kryształach
piers spancerzyła w spiż.
Jasna dziewczyna, można w czary,
w górę kieruje krok
i szuka perci do pieczary,
gdzie Czyn uwięził Mrok.
Dziwięciorniki i gencjany
stoją w brylantach ros,
piętrzą się dumnie turni ściany...
Wicher jej rozwiął włos,
lecz niesie, idąc w blasków nimbie,
w swej piersi żywy cud...
Wicher szeleści w ciemnej limbie,
w szczelinach iskrzy lód.
Oto zaklęte składa wota,
czaruje mocą słów,
i otworzyła się jej grota,
a w niej – uśpiony huf.
Idzie, jak powiew rzeźwy, świeży,
poprzez wiekową pleśń,
liliową dłonią w dzwon uderzy,
rozechowiła pieśń,
rozdarła ciszę błyskawicą,
wstrząsła gałęzmi drzew...
Nad każdym wirchem, krzesanicą,
dzwoni radosny śpiew.

Lud dziwne dźwięki uchem łowi
i ledwo wierzyć śmie,
że już rycerze Giewontowi
wstają po długim śnie!
Najpierw kamienne snem powieki
podniósł rycerzy wódz:
widzi znów wirchy, hale, smreki,
wciąga ich woń do płuc.
Ocknął się nagle duch rycerza!
chwytą zerdziałą dłoń!
Znak odrodzenia, znak przymierza,
niesie liliowa dłoń.
Rozwiał bezwładnych śnień męczarnie
słoneczny życia dar...
Do piersi jasną postać garnie,
z ust pije moc i czar!
Hej! huf radosny się wymrowi!
Wódz w róg złocony dmie,
wstają rycerze Giewontowi,
wstają po długim śnie!

BOJOWIEC

Odkąd ujrzałem, jak mroczne szatany
dławią przejasne, ofiarne cheruby,
odtąd chcę kroczyć przez krew i przez rany,
i kocham dzieło śmierci i zaguby!

Odkąd ujrzałem, jak zło się rozpełza
po kwiatach życia w wstrętne węzowiska,
jak ich ohydy żaden cios nie kielża,
a nadeptanie – tylko jad wyciska, –

odtąd każdego, który jest kamieniem
drodze, lub chmurą na obliczu słońca,
przysięgłem tępić z świętem uniesieniem,
bom rycerz prawdy i światła obrońca.

Chcę być piorunem, który w las uderza,
wypala zgniłe pniaki i wykroty,
by na tym miejscu wzrosła trawa świeża,
zakwitł kobierzec kwiecica szczerozłoty.

I oto sen mój śnię, mój sen potężny:
jam mściciel: stoję spokojny i dumny,
dokoła huczy tłum wrogów orężny –
zebrałem siły, wstrząsnąłem kolumny,

wałę się gruzy pod dłonią Samsona,
co nad zdrajcami sąd straszliwy czyni,
i sam w grobowcu przeolbrzymim kona
z ciał gnębicieli, z ruin ich świątyni...

* * *

Tędy przejeżdża. Chodzę pośród tłumu,
w ustach mam gorycz łez głodnego ludu,
uszy mam pełne strasznych skarg poszumu,
na stopach ślady nikczemnego brudu,

który rozsiała dłoń sprzedajna wszędzie...
Temu, co straszył jednym swym nazwiskiem,
temu, co szalał w cynicznym obłędzie,
dzisiaj odpowiem nareszcie – pociskiem.

Chodzę wśród tłumu – czuję się szczęśliwy.
Ty zejdziesz w dymach wśród straszego huku.
Siostr-Zagłado... Wtem, pachnący, żywy
widzę hiacyntów śnieżnych pęk na bruku.

Ktoś go upuścił. Podnoszę te kwiaty,
to będzie maska, zwrócę mniej uwagi...
Czemuż ich tęskne, lekkie aromaty
przypominają ciche sarkofagi?

Sen zapomniany, życia sen czarowny
jakimś zdławionym łkaniem się odzywa...
Ja, mściciel ludu, bojownik hartowny
słabnę, jak słabnie napięta cięciwa.

Nie, nie, jam silny! Wchłaniam raz ostatni
cały czar życia z zapachem kwiatowym,
i ślę drużynie z dali uścisk bratni
i pozdrowienie dniom wschodzącym, nowym!

Oto nadjeżdża. Krzyżują się oczy,
jak nienawiści cztery błyskawice...
Rzucam się naprzód, w oczach coś się mroczy,
widzę przy sobie Zagładę – siostrzycę...

.....
.....

POEZJE
(1908)



SAVITRI
POEZYE

RZEŹBY Z LAWY

* * *

A kogo ukocham, to raj mu otworzę,
gdzie będą świetliste jutrzeńki i zorze,
gdzie róże i mirty nas cicho owioną...
Skoń jego ozdobię złotą koroną,
on będzie mym królem i duszy mej panem,
owładnie królestwem cudownym, świetlanem.
Ja zbudzę mu w piersi drzemiące orkany,
dam taką potęgę, że zwalczy tytany,
że tłumy podźwignie wszechmocnym ramieniem
i łunę pożaru zagasi swym tchnieniem!

* * *

Tak mocno wiem, że kocham ciebie.
tak mocno wiem,
i wiem, że jesteś prawdą żywą,
a nie rozwiewnym snem...
Znam ciebie nie przez woal marzeń
lub złud motyli rój –
znam przez wytrwania wolę twardą.
przez ból surowy mój.
Znam cię przez wolność, szybującą
nad dobrem i nad złem. –
Tak mocno wiem, że kocham ciebie,
tak mocno wiem.

* * *

Ma miłość bezbrzeżna, bezbrzeżna, jak morze,
i szumi, i rwie się, i rwie, jak ocean,
i gubi się w dalach, w nieznanym przestworze,
i szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

I dziwne tajnice skrywają jej wnętrza:
konch barwnych, koralu i pereł skarbnice...
Ma miłość, jak morze: w szal fali się spiętrza,
i cichnie... Na wodach igrają ognice.

I świeci się morze – mięczaków miriady
lśnią światłem bajecznym, przezroczo-zielonem,
a w głębi się roją potwory i gady,
a otchłań jej grozi zniszczeniem i skonem.

Ma miłość, jak morze, jak morze-tęsknica,
jak wieczny nieukój, jak wieczny ocean,
którego dna nigdy nie sięgnie kotwica...
I szumi, i szumi bezsłowny swój pean.

* * *

Śnieżystym ramieniem oplotę ci szyję,
wargami w twe wargi się wpiję,
przedziwny aromat mych ciemnych warkoczy
twą wołę opęta i pamięć zamroczy,
pozwolę ci słuchać, jak pierś mi oddycha,
w ramionach twych usnę, marząca i cicha.
Otworzę przed tobą ekstazy podwoje,
nieziemskiej rozkoszy cię szalem upoję
i krzyknę ludzkości kłębiącej się masie,
że dwoje nas tylko w przestrzeni i czasie!

* * *

Czystszy nad śniegu białość,
 nad źródła nurt tak czysty,
nad pereł doskonałość
 całunek twój ognisty.
W liliowej swej słodczy
 cud nad cudami ziszcza,
jak płomień ofiarniczy,
 co spala i oczyszcza.

* * *

W rozkoszy jasnym mgnieniu
przy tobie zapominam
o starem mym cierpieniu –
nie szydę, nie przeklinam –
i tylko kornie, długo
komunię z ust twych biorę,
a szczęście złotą strugą
w me serce wpływa chore.
Zakwita darń mogilna,
gromnice żółte gasną...
Twym ustom - zdrowa, silna –
dziękuję cicho, jasno...

* * *

Wszystkim gorąco miłowanym
dawałem dary, dary klęte...
Naprzód – cierpiącym i znękanym
lilije marzeń wniebowzięte,
ziarna przekwitłych mych nadziei,
by w nich puściły bujne kielki;
w czarze płomiennej orchidei
dawałem nektar oszołomień;
myśli, nizanych, jak perełki,
rzucałem ciężkie, drogie sznury,
rzucałem jasnej ciszy promień,
dawałem barw na szare płótna,
kładałem królewskiej blask purpury
na samotnika czole bladym...
A tobie dałem, ty przesmutna,
z moich męczeńskich łez dyjadem.

* * *

A gdyś klękał przede mną, jak przed świętym ołtarzem,
gdy na czole mym załśnił twej miłości dyjadem,
na mym czole posępnym, bezmiłosnym i bładem:
wtedy byłam żebraczką, a ty byłeś mocarzem.

* * *

Serce mię boli, głowa mi płonie – .
z tęsknotą straszną wyciągam dłonie
ku tobie, cudna wizjo wcielona...

Pomiędzy nami – czarna zasłona...

W niewysłowionej, obłądnej męce
słowa wstydlive, białe, dziewczęce
szepcę ku tobie, luną oblana...

Pomiędzy nami – niewidna ściana...

O, twoje oczy, dalekie oczy!...
Niech nas szalony uścisk zjednoczy!
Rzucam się – weź mnie... Coś znów odtrąca...

Pomiędzy nami – otchłań ziejąca...

MISTERIUM MIŁOŚCI

A gdy ten, który gwiezdny wyrokiem
przeznaczony mi był przed wiekami,
pozostawił mnie z pustką i mrokiem,
bezpowrotność zawiesił nad nami –

wtedy chciała dłoń miękka pieśniarza
zaczarować zerwanych strun płacze,
i odegnąć to zło, co zagraża,
ukołysać nieludzkie rozpacze.

On żywioły chciał we mnie rozpętać,
brał w ramiona swe, szalem kipiące,
chciał mnie uspić, mój ból zapamiętać,
wkląć w całunki upojne, gorące.

Noc szumiała za oknem jesienna,
uderzały po szybach gałęzie...
Rozszalała twa miłość płomienna
pochwyciła mnie w pieszczot uwięzie.

Ja cierpiałam... Nie mogły całunki
zakryć oczu na ciężkie widziadła,
wtedy dłoń twa, dłoń dobrej piastunki,
współczująco na czole się kładła.

Stary kasztan za oknem coś szeptał...
a tyś cichą oplatał mnie mową:
– Przeznaczenie on złamał, podeptał, –
ja cię zbudzę do życia na nowo!

– W trumnie-bólu, zakłęta królewno,
śpisz głęboko. Lecz męki mej siłą
zdejmę z ciebie moc straszną, klątewną:
przeznaczenie się we mnie wcieliło!

– Na mnie zło rozpętane się skruszy,
ciebie puści, nie pójdzie już dalej...
A ten ból bezgraniczny twej duszy
w brylant piękna się we mnie skryszkali.

– Kornie przyjmę te miłość przesmutną,
jak ozywczą dla spiekłych warg rośę,
błogosławię jej mękę okrutną,
odkupienie dla ciebie w niej niosę!

II.

Uśmiechała się cicha i blada...
Serce boli, rozszerza się, rośnie,
głowa coraz bezsilniej opada...
Coś jęknęło... Wiatr pień złamał sośnie.

Serce rośnie i kipi, jak warem,
rwie się, krzyczy i pierś aż rozrywa...
Burza wstrząsa domostwem prastarem,
skiby chmur błyskawica zorywa.

Już nie może... Tak boli, tak pali,
krwi szaleństwem się wszystko spłomienia.
Serce prosi o dobry chłód stali,
serce prosi o chwilę wytchnienia.

Czarną suknię rozchylił powoli,
białą pierś z obłąkaniem odsłonił...
Pchnął nóż w serce... Niech nie drży, nie boli
Deszcz o szyby ponurą pieśń dzwonił.

Wichr szaleje... Dom drży, gną się drzewa...
I, jak wiatr, pieśń się zrywa szalona:
pieśniarz stoi nad trupem i śpiewa;
– Nie uśpiły cię moje ramiona,

– lecz cię uśpił litosny chłód noża –
oto wieko przeznaczeń zapadło... –
Leci wiatr, leci wiatr na bezdroża,
w takt z nim płąsa za oknem widziadło...

* * *

O przyjdź! bo ból mój bezlitosny
pierś moją chorą zgnie, rozdepcze...
Za oknem skrzypią stare sosny,
topola smutno, cicho szepcze.

O przyjdź! bo straszny jad choroby
krzyknie mi ztrat anatemy...
w przestworach świecą srebrne globy,
spokój w nich głuchy, spokój niemy.

O przyjdź! bo dusza ma upada,
bo w tobie siła i zbawienie...
Szemrze w poświęcie gwiazd kaskada
i łkań akordy w ogród żenię.

O przyjdź! niech dziki krzyk tęsknicy
przebija dal, jak ostra spisa...
na opałowej, hań, mgławicy
milczenie wieczne, głuche zwisa...

W KLASZTORZE

Błado lampka błyska,
Pusto, mroczno w celi...
Pierś tęsknota ściska,
Próżno anioł w bieli
Z ciemnych ram wygląda,
Wznosi dłoń nade mną...
Dusza pragnie, żąda –
Czego? – W celi ciemno,
Ziemia śpi zmęczona –
Chrystus z krzyża wyciąga ramiona.

Burza, szął w mym łonie,
Drżą mi wszystkie tętna,
Aż rozrywa skronie
W mózgu myśl namiętna
Chcę rozpalić wargi
Pocałunków szalem...
Patrzy wzrokiem skargi
Anioł z skrzydłem białem.

Duch mój rwie się, kona –
Chrystus z krzyża wyciąga ramiona.

Czuję lekkie tchnienie,
Czuję czyjeś usta –
Wokół sen, milczenie,
Cela czarna, pusta ...
Och, stopić łyż, jęki,
Tęsknot chłód mogilny,
Pragnień straszne męki
W uścisk długi, silny...

Chwilo upragniona!
Chrystus z krzyża wyciąga ramiona.

Oto wizja ducha :
Postać w blaskach cała
Moich wyznań słucha,
Ze mną drży i pała...
Cudna! Mnie zachwyca
Wizja z barwnej tęczy
Twarda włosiennica
Ciała już nie męczy...
Szczęście wzbiera, rośnie ...
Chrystus patrzy litośnie, litośnie.

LOHENGRIN

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
W cichej tęsknocie pluszcza fale Renu...
Z krąganku słucha Elza nieszczęśliwa
pieśni ostatniej, milknącej refrenu...

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
Smaragdy winnic stroi wschód w promienie,
w komnacie srebrna lampa dogorywa...
Jeszcze nie przeszło pieszczot upojenie...

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
W dali konają bezmowne rozpacz...
Elza złotogłów na piersi rozrywa,
nad bezpowrotnym łzami męki płacze...

W łabędziej łodzi Lohengrin odpływa...
Cichym szelestem topole się żalą...
Zasłona lekka, złota, migotliwa płynie
za łodzią, kołysząc się z falą.

W łabędziej łodzi Lohegrin odpływa...
Głębię zapomnień spije z Grała czary,
głębia zapomnień woła, głębia wzywa ...
Nad bladą Elzą płaczą nenufary...

* * *

A kiedy bezmiar uśpi moją mękę,
Gdy męt jej zniknie w wielkich cisz przezroczy,
Ty przyjdiesz do mnie – i położysz rękę
Na moje oczy, na umarłe oczy.

Gdy ma świadomość w bezkresie utonie,
Gdy, jak zwycięzca, spocznię po szermierce –
Ty przyjdiesz do mnie – i położysz dłonie
Na moje zimne, na zabite serce.

Gdy się rozwieją lilii aromaty,
Gdy na chryzantem bieli oschną rosy –
Ty przyjdiesz do mnie i położysz kwiaty
Na moje ciemne, na rozwiane włosy.

Kiedy łabędziej pieśni przebrzmia dźwięki,
Kiedy przesumia tęsknoty orkany –
I oczekiwań zamrą już udręki –
Wtedy ty przyjdiesz – ty – oczekiwany.

Gdy bezpowrotność zacięży niezłomnie,
Kiedy powiędną chorych snów rezedy –
Wtedy ty przyjdiesz, znowu przyjdiesz do mnie –
I powiesz – co ty powiesz do mnie wtedy?

* * *

To było dawniej... Liczyłam dnie,
i chwile, i godziny,
chodziłam cicha, niby w pół-śnie,
przez pól dalekie ścieżyny,
i spoglądałam w sinawą dal,
w dal mglistą, niedościgłą,
wiatr zrywał z głowy jedwabny szal
i chłostał postać śmigłą.
Daleko – w przestwór wybiegał wzrok
nieukozonej tęsknicy,
wieczór przychodził, zapadał mrok,
i do mej pustej świetlicy
wracałam – znowu skończony dzień,
co nie był dniem powrotu
i cudotwórczych nie przyniósł tchnień,
nie zerwał mąk oplotu.
] w zinnem łożu w bezsenną noc
czekałam, aż znów nastanie
dzień, co przyniesie i czar, i moc,
i złotych zórz świtanie.

* * *

Twe serce, jak bezkrwawa, bezgłówna ofiara,
skonało w moich rękach... Pochowałam w sobie
to serce. Wzrosła nad nim tulipanu czara,
piję z niej gorzką rosę wspomnienia na grobie.

Klęcząc na czarnym grobie, ze smętnego kwiatu
jady bezpowrotności zwolna, cicho sącę...
Nie mogę wyrwać z siebie twych męczeństw szkarłatu,
choć radość gra we mnie, że już słodkie pnące

nie krępują mych ramion, że wola ma butna
może znów rwać się w bezmiar, budzić dziwne moce,
choć we mnie jest mogiła nieskończenie smutna,
i jest w niej jedno serce umarłe, sieroce...

Zakaz stał między nami... W nim uczucia zwiędły
niby zielska stepowe w słonecznym pożarze,
złe ręce w pajęczyny szare nas oprzędły,
została – gorycz wspomnień w tulipanu czarze.

Drży tulipan bezwonny na czarnej mogile
Mój ugór ozłociły szeleszczące kłosa,
odradzam się w potędze, młodości i sile,
a tulipan wciąż sący gorzkie krople rosy...

JUŻ TYLKO PRZYJACIELOWI...

Ja posyłam ci płatki obumarłe, bolesne,
a w nich wspomnień aromat nieuchwytny, przesłodki:
snów wiosennych lewkonie, fioletowe bzów baśnie,
blade tęsknot konwalie i nadziei stokrotki.

Ja posyłam ci płatki obumarłe, zawiędłe,
aby w innym ogrodzie znów zakwitły ci wiosną,
kielichami pełnymi, rozkwitłymi z pąkowania,
zadzwończyły pieśń jawy, przepotężną, radosną.

Ja posyłam ci z dali ciche tęsknot godziny,
księżycowe sny moje o królestwie dni słońca,
ja posyłam ci myśl mą, co wśród dzikich gąszczarów
nowe drogi toruje—myśl mą – promień, myśl gońca.

Ja posyłam ci moje przemęczenie kamienne,
aby z niego wykwitło twoich czynów zarzewie,
ja posyłam ci moje lazurkowe ekstazy,
zapamiętań rozkosze w wonnych liliach ulewie.

Ja posyłam ci szczęście wyrzeczenia najświętsze,
i tę siłę ofiarną poświęcenia bez granic,
i wszechpotęg najwyższych tchnienie harde, wichrowe,
zdzierające płaszczy borów, rwące głązy krzesanic!

Ja posyłam ci miłość, czystą miłość wszechświata,
z wszechprzebaczeń komunią – wieczną miłość kolosu,
która tworzy nad siebie – i dla swoich ukochań
nie obawia się żadnej zbawczej męki ni ciosu.

Ja posyłam ci z ducha najtajniejszej skarbnicy
okrzyk twórczej potęgi, nieśmiertelny, przedwieczny,
hymn radości i życia, młody pean zwycięstwa,
śpiew żniwiarza i siewcy, rozmodlony, słoneczny.

Ja posyłam ci wszystkie me klejnoty niewidne:
diadem, berło i bezlik drogich tkanin i błamów,
a nic w zamian nie żądam, o nic prosić nie zechcę,
i bez żalu roztrwaniem przepych moich sezamów.

Ja posyłam ci z dali troskę czujną, serdeczną,
serce siostry, na wieki zaprzysięgte i wierne,
ja posyłam ci grzmiący wszechgłos z siebie, ze świata:
filigrany przeszłości, pajęczynnę, misterne,

chwili mosty tęczowe i przyszłości mgławice,
hieroglify zachodu, wschodu znaki runiczne
i, by obmyć wędrowny kurz i znój z twego czoła,
ja posyłam łzy moje łzy siostrzane, kryniczne...

* * *

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią,
w cichą noc, szepczącą baśnie gwieździste,
i unosiłeś ze sobą na wieki
miłowanie moje mocne, przezyste.

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią,
gdy ci z ogni serdecznych splotłam diadem,
za tobą wionął zapach rezedy,
za tobą poszła tęsknota ma śladem.

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnią...
Bzy zaszumiały żalną eklogą ...
Ty unosiłeś skarb szczęścia ze sobą,
co opromienić już nie miał – nikogo ...

Ty odchodziłeś ode mnie w noc letnia,
pieszczącą ciepłym powiewem, godową,
i pochyliła się po raz ostatni
wonna gałąź lipy tobie nad głową...

* * *

O północnej, bezsennej godzinie,
Kiedy księżyc wysrebrzą aleje,
schodzą ku mnie ze wspomnień tajemicy
dni umarłych, przeżytych dni dzieje.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
o północnej godzinie bezsennej,
i że pierś ma znów pełna potęgi,
i że skroń znów lśni w glorii promiennej.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie,
w silną dłoń bierzesz drżące me palce,
w jasnych oczach przynosisz wytchnienie
po męczarni, rozterce i walce.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie.
o bezsennej godzinie północnej,
znak rozgrzeszeń na czoło mi kładziesz –
pocałunek miłości wszechmocnej.

I ja śnię, że przynosisz mi znowu
kwiecie białe z różowym w połowie,
które kwitło pod oknem twym w lecie
i «złamane serduszka» się zowie.

* * *

Tyś mnie zatruć niezdolny, choć trująca twa czara,
tyś mnie zabić niezdolny, chociaż pchnąłeś w pierś ostrze –
to mnie truje mój przesyty i rozpaczna niewiara.
własna niemoc nade mną skrzydła śmierci rozpostrze.
Z nożem w sercu żyć można – i z płynącym w krwi jadem,
można sztandar ocalić, chociaż złamię się drzewce –
jeślim chora śmiertelnie, to mym własnym bezwładem,
własne zło mojej duszy widz? w świata soczewce.
Czymże byłeś? Wszak jeno kształtem twórczej mej woli.
Czymże jesteś? Wszak jeno jej bolesnym złamaniem.
Z nożem w sercu żyć można, nie zabija, co boli –
szczęście w sercu umiera własnym serca konaniem...

* * *

Dal woła dobra, dal pogodna,
oto od ciebie już odchodzę,
a jakom przyszła, idę głodna,
nie błogosławiąc twojej drodze.
Nie uciszyłeś z tęsknot żadnej,
nie osuszyłeś łez goryczy,
nie wsparłeś myśli mej bezwładnej,
nie chciałeś w błękit bezgraniczy
ze mną ulecieć dumnym szlakiem,
twój skarbiec dla mnie bywał pusty,
gdym ja cierpiała wielkim brakiem,
tyś zbierał miód chciwymi usty.
Ja nie wiem, czyś był za ubogi,
czy skąpy dla mnie, – lecz po tobie
został popielny ślad pożogi,
została cisza, jak na grobie.
Puchar mej wiosny, dar ochoczy,
spełniłeś w krótkiej chwili do dna ...
Odchodzę. We łzach moje oczy,
i jakom przyszła, idę głodna...

* * *

Co noc w gwieździsty patrzyłam strop,
oparta na balkonie...
Cicho, spokojnie spał cały glob,
męka nie spała w mym łonie.
Wiły się w cieniu w dziwaczny wzór
balkonu arabeski,
szumiał, szeleścił drzew cichy wtór,
skrzypiały okiennic deski,
i odbywała wraz ze mną straż
miłość ma wielka, czysta,
i przed mym wzrokiem twa droga twarz
stawała wyrazista.

BAJADERKA

Opadła zasłona,
w wir rzucam się tańca,
bezwolna, szalona...
Bez granic, bez krańca –

puch lekki – wiruję...
Migocą szat wstęgi...
Ja zmysły wczaruje
w taneczne me kręgi.

Wychylam się biała
z muślinu przezroczy –
aromat, czar ciała
upaja i mroczy.

W mych ramion sprężeniu
krzyk władnej potęgi –
w tysiąca żądź drgnieniu
zataczam me kręgi.

Mych włosów wichura
krew w ogień rozsmaga,
i spojrzeń purpura
w ślad pójdzie, zabłąga...

Krucz źrenic bezdenna
zamarzeń ma raje:
w nich żarów gehenna,
w nich ekstaz ruczaje.

Ja tańczę – i dyszę
rozkoszą i szałem,
jak palma, kołyszę
wysmukłym mym ciałem.

Spojrzenia błagały,
spojrzenia – pożogi:
jam sobie tłum cały
rzuciła pod nogi.

O krótki błysk-edem
szept błagał ognisty,
a tylko – on jeden
stał chłodny i czysty.

Na jego biel śnieżną
patrzyłam i bladłam...
z miłością bezbrzeżną
do stóp mu upadłam.

MNISZKA

Do pokutniczej, ważkiej mojej celi
wchodzą smugami księżycowe blaski.
Z ciemnych ram patrzą święci i anieli
z twarzą promienną, pełną cichej łaski.
.....

Otwieram okno na noc. Tam po celach
milkną litanii szmery monotonne.
Nad moją chłodną, obumarłą duszą
gwiazdy zaczęły srebrzyste podzwonne.
Kiedys, w noc taką, gwiezdną, księżycową,
wizyjną, pełną wyśnionego czaru,
krzyk przeogromny zabrzmiał w krwi huczącej,
aromat przeczuc po wionął z bezmiaru.
I rozełkało się we mnie pragnienie...
Kiedys w noc taką, gwiazdami grającą,
męskie ramiona na pierś mnie garnęły
w zapamiętaniu, bezwładną i drżącą.
I wszystkie męki, rozkosze i szaty
błysły nade mną krwawym meteorom

i potępieńczą rozciągnęły władzę
nad sercem słabym, nieopornym, chorem.
Przedziwną słodycz daje rozkosz ciała,
szczęście upojne daje siła wraza,
lecz wolnam od niej. Wygasł żar nieczysty
u stóp zdobnego liliami ołtarza.
Przyćmiły blaski, zwiały pył jaskrawy
długie pokuty, bezlitosna chłosta.
W ciche organów hymny zasłuchana,
stałam się biała, niewinna i prosta.

.....

Wciągam w me płuca tęskne bzów westchnienia
i jaśminowych zapachów balsamy...
Nagle przychodzą z wonią gdzieś z oddali
dawnego życia szczęście, ból i plamy.
Budzi się z dzikiem, przeraźliwym łkaniem
to odrzucone, to zabite życie,
o podeptane prawo szału woła:
rwie się, trzepocze, wznosi pierś w habicie...
O, życie całe, przynoszące w dani
zmruszone liście i zielone wicie,
życie trujące zła i pragnień klątwą,
życie kipiące – życie – wróć – o życie!...

.....

Tajnych, zawrotnych wspomnień aromaty
niepokonaną zmagają mnie władzą –
z twardej pościeli, z pokutniczej celi
czarem wywiodły mnie – i w dal prowadzą.
Idę przez ciche, operlone pola,
idę przez ciemne, szeleszczące chaszczce.
zbieram ostróżki, jaskry, koniczyny,
a wiatr mnie wonią wita, lekko głaszcze.
Wchodzę po drodze do wsi, w ludne miasta,
patrzę na śnione piękno i przepychy
i chce ich pragnąć, Jęcz się nie otwiera
przybytek duszy mej lodowy, cichy.
I zbudowałam uciech gmach tęczowy
na podwalinie rozłamanej kraty,
ciało zamarłe, ascetycznie – smukłe
oblokłam w szkarłat, złoto i brokaty –

do skocznych tanów rozdzwoniłam żele,
zatarłam pamięć krwawych męki znamion
i przyciągnęłam tajemniczą mocą
tęsknotę drżących, oszalałych ramion.
I próżno nawet po grzech i zło sięgam,
by pokutniczej bieli skruszyć pęta,
aby kipiącym życiem znów rozszaleć –
cisza wciąż we mnie – bezgrzeszna i święta...
.....
O bądź przeklęta, ciszo, bądź przeklęta!

* * *

Ust twoich młodych kielich rubinowy
niech mnie ominie,
niech się nie stopi myśl – kryształ lodowy
w pianistym winie.
Jam łan bezpłodny: złotego ci snopu
nie rzucę w darze.
Jam skuta rzeka: nie pragnę roztopu
w wiosennym żarze.
Nie podchodź: łatwo runąć z gór w parowy
groźnej lawinie...
Ust twoich młodych kielich rubinowy
niech mnie ominie.

KRZYK ŻYCIA

Pracuję ... Dzień mnie oplótl
w szare, niewidne sieci...
Gniewa się matka chora,
kłóca się małe dzieci...

Palce boją, sztywnieją, ciężka chyli się głowa,
stają w oczach miraż :
jest gdzieś wielka swoboda, wielka cisza stepowa ;
nieuchwytnie szeleszczą burzany,
i wysoko, wysoko, nad zielonym przestworem
lecą wolne krzeczoty...
Krzyk ich hardy się zlewa z sennym traw rozhoworem,
budzi stare kurhany,
w wielkiej ciszy stepowej milkną długie tęsknoty...

Z wysiłkiem znów pracuję,
praca ma żmudna, długa...
Tak zimno, zimno w domu,
narzeka głośno sługa.

Spowinięte w sreżogi, niebosiężne turnice
wystrzelają w oddali,
a po zboczach tryskają czarodziejskie krynice.
Ja się wedrę na zbocza, w czystej skąpię się fali
i odrodzę się w chwale, ducha w bezmiar zachwyce
i potęgę mu dam wielkoluda.
W błyskawicach wszechmocy, w cichych blaskach po-
zejdę w dół tworzyć cuda. [gody
Zlecę ciała chorobę, zlecę niemoc serdeczną,
promiennością nasyce,
świat przelecę wichurą słoneczną...

O matko, czyż mi nie dasz
pieszczoty – zapomnienia?
Czyż w tobie troska miłość
wyziębła i skamienia?

O przyjdź!
Przyjdź w świętości lub grzechu!
Ja požądam, ja wołam: przyjdź miłością opętać,
ja chcę chwili wytchnienia, ja się chcę zapamiętać
w twoich jasnych źrenicach, w twoim dobrym uśmiechu.
Przyjdź w świętości lub grzechu – zapomnienie jest święte,
przyjdź, nim ciało uwiędnie, przyjdź, nim ducha wycięnczę,
koić żądze, w męczarni poczęte...
Daj rozszalać i omdleć – porwij w silne ramiona,
całunkami oszołom,
ja upadam, ja cierpię - jam nieludzko stęskniona!
Moje piersi wiośniane, młodzieńcze...
Ja chce szalem urągać padołom...

Stękają przez sen dzieci,
Trapi je ciężka zmora,
i kaszle długo, długo
w noc ciemną matka chora ...

PIEŚNI O PRAGNIENIU

I.

Jam step, ogarnięty pragnienia pożarem!
Jam piekło! Lubieżnych huryszek jam harem!
Jam żagiel, wieczyście od wichru szarpany,
jam mewa, co muska szumiące mórz piany,
jam cisza bezbrzeżna, stłoczona i parna,
rozpaczna, bliskością samumu ciężarna,
jam otchłań: bez dna i bez granic jej głębia,
w czeluściach lewiatan pragnienia się skłębia,
ja jestem dni nowych świtanie zaranne,
ja jestem pragnienie nie ludzkie, orkanne.

II.

Drży każdy nerw przecuciem niepojętem,
zgadując dzień w świtanu,
spiętrzona fala krwi mój mózg zalewa,
w żądz dzikiem, schrypłem łkaniu
oślepla rozpacz beznadziejnie krzyczy...
Tnie maki na otawie kamieniem Dobra wyostrzona kosa.
Kraśniej zbył jaskrawię,
a biel szkarłatnej łuny znieść nie może,
ta chłodna biel dobroci...
Jam step spękany: trawę zwęglą żary,
zanim ją deszcz zwilgoci.

III.

Zapiekłe moje wargi
o wodę źródło proszą,
z głodowych susz czernieją,
szaleją za rozkoszą.

Nad wasze ciche krzyże,
nad męczeństw sarkofagi
wydźwignę urągliwie
mej żądry posąg nagi.

Marom samozaparcia,
upiorom wyrzeczenia
rzucę ascezy wzdargę,
nieludzki krzyk pragnienia,

udręczeń krzyk szalony
tchnę w rezygnacji ciszę,
i niechaj w was stłumione
orkany rozkołysze.

IV.

Tak ciężko, duszno mi ...
Tak cięży senna głowa,
tak nadmiar wrących sił ściśniętą pierś rozpiera,
odurzające wonie przynoszą dziwne słowa,
rozkoszne, niepojęte, silne, aż dech zamiera.

Ach, czemu tak w południe białe od żarów, parne
płyną w powiewach ciepłych westchnienia tuberozy?
Duszność tak cięży, gnie... Zgęszczam ją w chmury czarne,
w błyskawic koralowe owijam się powrozy,

i do krwi ich splotami gorączkę ciała smagam,
aż cichnie, ugaszona pokutnych mąk posoką,
i znowu się zapala, i znów się w żądzę wzmagam,
i znów zasnuwam przestwór nawalnych chmur pomroką.

Tak ciężko, duszno mi...

Okropnym cierpię brakiem,
dreżącym niepokojem wre, tętni krew młodzieńcza...
Chcę cudu! niech z objawień ognistym spłonę krzakiem,
lecz precz z wampirem mąk, co ssie mnie i wycieńcza!

Tak ciężko, duszno mi!

Obłędem tchną storczyki,
oplotły liany pragnień mój każdy nerw bezwładem –
w puszczy mej duszy łyszczą zielonym okiem żbiki,
na żer czyhają. – Ścieżką sarenki biegną stadem...
Tak ciężko, duszno mi...

Dojrzały drzew owoce,
bajecznych, złotych drzew owoce rubinowe,
opadu pragną... We mnie nieznanne drzemią moce,
w bezsenną noc się rwą wołania bezechowe.

V.

Ja pragnę, pragnę, pragnę!
Kość pęka, miąższ usycha,
ni kropli rośnej niema
dla mnie na dnie kielicha.
Powoje się stulają,
ostróżka się zamyka,
żar wyssał rosę z dzwonka,
z konwalii i orlika.
Spękany grunt pod stopą,
nad głową – krąg miedziany,

a z turni – hen, wysoko,
mknie potok zwierciadlany.
A przed nim się pokładły
potworne straszne węże,
i nikt z śmiertelnych wody
kryształnej nie dosięże.
Ja pragnę!
Krzyk szalony
błękitnym wstrząśnie stropem,
rozzagwi świat pożogą,
zaleje wód roztopem.
Ja pragnę!
Z mąk omdleвам,
w żar wichur się rozwiewam...

VI.

Ja pragnę – ocean mojego pragnienia
opłynął ład wszystek, świat cały ogarnia,
przyjmuje w swe łono strumienie i rzeki,
w mej jednej męczarni – wszechświata męczarnia.

i wzbiera ocean wszystkimi wodami,
i szumi żądź martwych, zabitych snów żalem,
i skargą okrętów, co na dnie butwieją,
owija się mglistej tęsknoty woalem ...

I szumi ocean, bez końca, bez końca...
Nad pianą perłową łąka smutny krzyk mewy,
i milczy wiecznością tajemnic dal sina,
i ziemi śle tęsknic wieczystych powiewy.

VII.

Chcę źródła, co gasi niehumanne pragnienie,
chcę źródła, co daje potęgę bezbrzeżną,
chcę źródła, co jasną wszechwiedzą obdarza,
chcę źródła, co wraca skalanym biel śnieżną.
O, płońcie tu do mnie! otwieram wam łono,
wy, strugi i rzeki ludzkiego pragnienia,
ja w piersi zawarłem mej ludzkość spragnioną,
zawarłem jęk głodu ludzkiego istnienia!

VIII.

Gdzieś kwitnie czar...

W pomroce sonej boru,
gdzie cisza śni, w mgły zadum upowita,
gdy srebrną gęźbę niesie dech wieczoru,
paproci kwiat zakwita.

Dąbrowa łśni, jaśnieje ciemny jar –

Gdzieś kwitnie czar –
nie dla mnie...

Gdzieś płonie cud –

W słonecznej glorii płonie,
i z szafirowych głębin na świat schodzi
w objawień tęczach, w srebrnych gwiazd milionie,
z perłowych pian wypływa w złotej łodzi...

W podziwie milkną, cichną fale wód...

Gdzieś płonie cud –
nie dla mnie...

Gdzieś wzrasta moc...

Wypręża olbrzym ramię,
lodowce z wirchów dumnym rzutem strąca,
kamienne gór przegrody piersią łamie,
omdlała, senną ciszę tchem zamąca,
zwalczą, rozdziera wiekuiste noc ...
Gdzieś wzrasta moc –
nie dla mnie...

IX.

Świat rzezi w żądz spiekocie,
świat zmienił się w dwie wargi,
w dwie wargi gigantyczne: z agatu i szafiru –
niebo i ląd – i zawisł nad oceanem z kiru,
szumiącym żałobnymi falami wieczne skargi,

i pije go bez końca, w zapamiętaniu, chciwie,
lecz pragnień swych ugasić nie może słońcą falą,
i ziemia wchłania zeń jałowe, gorzkie szklowie,
a niebo – czyste łzy, co znów się wykryształą,

i spadną cudotwórczym, ożywczym, jasnym zdrojem
na spiekła ziemi pierś – i zwilżą ją litośnie,
aż ścichnie chora pierś – tętniąca nieukojem,
uśmiechem dziękczynienia rozkwitnie w krótkiej wiosnie.

X.

Ja pragnę – w bezgranicze
pragnienie moje sięga,
i wszystko tajemnicze,
i cała wszechpotęga,
i wszystkich snów sezamy
i wszystkich ziem przepychy

nie wzniosą jeszcze tamy
dla mej niesytej pychy.
Pragnienie me zagarnie
oddalę i poblize,
rozkosze i męczarnie,
bolesne, czarne krzyże,
diamentowe berła,
siermięgi i purpury,
i każda rośna perła,
i wszystkie gwiazdne sznury
zawarte w mym pragnieniu –
mych żądz nienasyconosc
chce wiecznosc streścić w mgnieniu
i rwie się w nieskończoność.

XI.

Kto postawi mej woli nieugiętej i hardej
kres mojego dążenia – kto ocean powstrzyma,
który wirch nadobłoczny podminują oskardy?
W nieskończoność ja rwę się, ja mam siłę olbrzyma!
Jam dostojny pragnieniem – w tym ma godność człowieka,
gardzi duma tytana tym, co bezmiar zacieśnia...
Me pragnienie myśl wciela, w kształt widomy obleka,
gwiazdy z orbit wytrąca, srebrny eter rozpieśnia,
stapia z duchem materię, w dziwne lejąc je tygle,
i wciąż nowy cud stwarza, dążąc, dążąc bez końca,
nie obrzeżam go w granit, choć się rwę niedościgle,
i sfinksowi istnienia rzucam krzyk: słońca! słońca!
Ja mam czoło, znaczone niepokoju stygmatem,
bezruch stawu zwalczyłem, mknę kryształnym potokiem,
czystej bieli pożądam – moim całym szkarłatem,
złotej jaśni pożądam – moim całym pomrokiem!

NIETOPERZOWE LOTY**WE MNIE JEST NOC...**

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

Niech dzień nie gaśnie,
niech, gasnąc, czarnej nocy nie rozpęta,
która śpi we mnie zaklęta,
niby upiorne, skamieniałe baśnie.

Niech dzień nie gaśnie,
niech jego rozgwar tysiącbarwny, złoty,
piersz moją chorą
nieprzeniknioną przyciśnie zaworą,
niech na uwięzi trzyma me tęsknoty.

Wyciągam ręce,
żółte, uwiędłe w męce,
i niewidzialne kładę
na ludzkie dusze niby na klawisze:
zagłuszyć chcę umarłą, straszną ciszę
w mej piersi – tam –
i gram, i gram,
w tonów się wtapiam kaskadę,
upojnych, jak haszysze...
I gram – i gram –

I pieśń się zrywa, pieśń się zrywa,
taka szalona i zgrzytliwa:
taką weselną grzmi fanfarą
nad połamaną moją wiarą,
i tak tanecznie, skocznie dźwięczy
nad rozprysniętym zamkiem z tęczy,
bucha tak drwiącą zwrotką śmiechu
nad niezmazaną plamą grzechu,
i płacze w cichej kantylenie
po utraconym mym edenie...

Dzień mi pod stopy zaścięła kobierce
z brudnych łachmanów i kosztownych Jam,
idę – i dłonią biję w każde serce,
aż mdleją palce;
pieśń o zwycięstwie, o walce
ja gram, ja gram ...

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

Niech dzień nie gaśnie,
dzień, przyodziany tak weselnie, kraśnie,
że aż odwrócił me oczy
od niezgłębionej pomroczy
co we mnie leży – hen –
bez granic i bez den.
Rzucaj mi, dniu, twe kształty wspaniałe, najrzadsze,
niechaj się twoim złotym migotom napatrzę,
uśmiechniętym tak cudnie, radośnie,
twoim haftom w pół krośnie
niech się napatrzę,
niechaj się tobą odurzę!
Wszakże tak pełne miodu cudze kruże!

We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

Niech dzień nie gaśnie –
ja w rozwichrzeniu czynu wśród dnia tęgiej mocy
nie czuję nocy.
A kiedy wieko nocy się zatrzaśnie,
i zamknie, niby w trumnie, dzień promienny,
wtedy się wyotchlani ból groźny, bezdenny,
tam, ze mnie,
wstaną przepastne ciemnie,
rozkrwawią je gromami obłądne rozpacze
i bezpowrotność zapłacze
całunnych łez ołowiem...
niech dzień nie gaśnie – ja się o nocy nie dowiem !
We mnie otchłanna i bezgwiezdna noc...

DWOM BOGOM

Przejasny boże dobra, o Ormuzdzie,
twój ciężar nie znał litości dla bark,
ja – dziki rumak – chodziłem w twej uździe,
twój arkan umiał mnie w stepach wytropić –
szedłem ku tobie przez tęczowych ark
nadziemne mosty, by się z tobą stopić.
Tyś włosienie? kazał mi oblekać
tyś mnie nauczył darów się wyrzekać,
które mi młodość rzucała tak hojnie.
Tyś mnie pouczał o ranach i wojnie,
by mnie, pokoju zwiastuna,
słać na okopy z gałązką oliwną.
Tyś wszczepił we mnie meczeństw moc przedziwną,
abym ja nie znał litości
dla ściegn starganych mych, strudzonych kości.
Tyś kazał milczeć brzmiącej we mnie pieśni,
wwiódłszy mnie w otchłań, gdzie wszyscy boleśni
straszny, przeciągłym zawodzili jękiem –
ty nauczyłeś mnie czynów modlitwy,
ty mi nie dałeś zasłaniać się lękiem
przed granatami wśród bitwy.
I ty mi dałeś wszystkich potęg cuda,
abym przewalczył i wyniszczył – siebie,
abym zapomniał i pogardził – sobą,
jak jedną chwilą w wieczności,
abym w jałowej orał ciężko glebie,
jak orzą prości,
karmiąc się chlebem piołunnym – żałobą...

Ja chcę być sobą –
ja chcę być szalem –
nad mojem czołem, zdawna ociążałem
pod niegasnącej pamięci chorobą,
zbiera się chmura groźna
z tych myśli, co nie miały czasu trysnąć w słowach,
z tych uczuć, które, niby kity traw i kwiaty
zdeptała czeladź oboźna,
rozkładająca na łące ogniska;
z chwil, które były z piękności poczęte,
a obumarły, już w kielku,
pośród rozgwaru i zgiełku...

Ormuzdzie, dobra ty przejasny boże,
niechaj mi dary twe będą przeklęte –
i twych nakazów przemocne obroże...
O, bądź przeklęty, że ty dłonią kata
mnie napoiłeś żrącym eliksirem
męką Wszechświata!
Staję przed tobą w ponurej koronie
z diamentów moich wiar
na straszne, czarne przepalonych żuźle.
O, jak mnie bolą skronie
pod tą koroną.
Mrocznych żywiołów boże, Arymanie!
ku tobie obracam oto
żrenice me, łkające odwieczną tęsknotą,
me beznadziejne wołanie.
O pochyl ku mnie na mgnienie
zapomnień kruż,
sprowadź z wiecznie pogodnych, ze słonecznych wzgórz,
pchnij w otchłań, w zatracenie,
zbudź me umarłe pragnienie!

Ja chcę być sobą,
ja chcę być szafem!
niechaj odleci dobro z skrzydłem mroźnym, białem,
niech mnie twa dłoń przemożna purpurą spłomienia.
Daj – ja zapomnę męczeńskiej pogody uśmiechu,
daj czarę kipiącą grzechu!
Tam, we mnie, skowany ból,
ofiarnej mocy łańcuchem,
ty go oderwij i zwól!
Zejdź, boże! Tyś mi znanym, tyś pokrewnym druhem,
Lecz nie wiem, jak u ciebie dla mnie się nazywa
ta czara zapomnienia pienista, burzliwa?
ja zatraciłem już wiarę
w roznamiętnionych drżących warg narkożę,
i w ramion Jawą nabrzmiałych haszysze –
a cóż zażegna we mnie chłodną zgrozę,
co we mnie ból ukołysze?
Chcę być żywiołem!
Chmurnego grzechu boże, Arymanie,
czemu mi burze uciszasz nad czołem
i przed rozbitkiem w głąb usuwasz grunt?
Dlaczego mówisz do mojej rozpaczki:
Ja jestem bunt,
w zamian za wieczność daję chwil znikomość,
i pamięć udręczoną porywam w odmęty.
Lecz tobie powrót odcięty
do mojej słodkim szafem przepętej oazy.
Po tobie przeszły walki i ciche ekstazy,
ciebie ofiarna jasność bez końca odradza,
i na zawsze skruszona nad tobą ma władza.
Czyż mogę ja – materia, ja – szatan odurzyć,
gdyś ty ciało przewalczył i kazał mu służyć?
Ty siebie zatraciłeś w ciele czystym, białem:

już nigdy nie będziesz szalem!
Masz świadomości strugę kryształną wysączyć,
i z praźródłem jej znowu w wieczności się złączyć!

Zła bezlitosny boże, Arymanie!
straszną twa zemsta, a straszniejszym jeszcze
moje słoneczne konanie ...
Podsycę w sobie zła najłżejsze dreszcze,
abyś mnie zaklął, ze mną pojednany,
w twoich żywiołów szczęśliwe orkany!

KURHAN

Na kurhanie ja siedzę samotnością olbrzymi –
moje skronie owiewa wolny wicher stepowy,
niesie szeptu wesole od zielonych czaharów,
niesie pogwar daleki z białych wiosek wśród jarów,
z sonej mgły, która z rzeczki gdzieś dymi,
kręci zawój dokoła mej głowy.

Wkoło wełni się morze czarnych skib rozoranych,
tylko do stóp kurhanu żółte tulą się bratki
i srebrzysty krzak ostu ...

O, nie zbliżaj się do mnie, stado ludzi rozśmianych,
niepotrzebne mi świadki:
teraz niema pomiędzy mną a wami pomostu!
bo go zmył i połamał ten prąd bólu szalony.
Nie zbliżajcie się do mnie ni z uśmiechem, ni z łzami,
nie zbliżajcie się teraz my musimy być sami
Ja – i ból mój – my dwoje –
na mogile kurhannej...

Pochowałem w kurhanie
to, co było miłością i co było łańcuchem,
wzerającym się w dłonie ...
Odepchnąłem od siebie przebolesne kochanie
silnym buntu podmuchem,
otrząsnąłem ze siebie, jako brzemień natrętne,
wyzwolenia zeń chciałem, jako z formy przeżytej,
a gdy oto skołało, podeptane i smętne,
z jękiem piersi ranionej, z jękiem piersi rozbitej;
wtedy wziąłem je w dłonie me wolnością zbrodnicze,
pochowałem w kurhanie...

Stara forma umarła – mogę iść w bezgranicze,
stara forma umarła – nic na drodze nie stanie!
Otom stąpił przez trupa, jak przez szczelbel ku wyży.

Mnie wołają na bitwę szeleszczące proporce,
trza wytepić na ziemi las męczeński, las krzyży –
ale w piersi mej pełno brózd głębokich po orce
pługiem bólu – mocarza...
Lecz bez końca łzę po łzie, jak po szklanej paciorce,
rzucam w ziemię kurhanu.
Wzywam wichry, niech tutaj pieśń przylecą zanucić
przy mych łkań dzikim wtórze.
Niech misterium boleści wzrokiem nikt nie znieważa
już za chwilę mam odejść, by już nigdy nie wrócić
tam, gdzie szumi kłos łanu,
tam gdzie jaskry, wysokie dziewanny
pośród maku czerwieni, pośród szaławii fioletu

całun z tęcz, złotokanny
zarzucają na kości szkieletu ...
Pójdę naprzód – i mnie nie powstrzyma
żadna mrocznej przeszłości zasadzka.
Kurhan we mnie zapadnie, i w mej głębi się zmieści,
nie zawali mej piersi olbrzyma,
wszak sypała go własna moja dłoń świętokradzka !
Stara forma umarła!
W dal! Proporzec szeleści!

GOLGOTA

Ja cię sam ukrzyżuję. W twoje ręce, drgające
przerażonej krwi tętnem, w nogi sine i sztywne
będę wbijał powoli ćwieki ostre i twarde,
i katując w ekstazie twoje członki mdlejące,
będę patrzył, jak męka wzrasta w piękno przedziwne,
w bohaterstwo nadludzkie, w wielką bólu pogardę.

Ja cię sam ukrzyżuję. Nieugięte me dłonie
w twoje serce wymierzą kamień z ostrych krzesanic
i pogrzebię twój jasny, bujny włos w cierni mnóstwie.
A gdy skonasz w milczenia królewskiego osłonie,
z dumnym w oczach zwycięstwem, w wszechpotędze bez granic,
wtedy klęknę przed tobą, padnę w proch i ubóstwie.

KLATKI

Ludzie, ludzie...
Klatki – w nich dzikie zwierzęta śpią.
Ukryły w powiek obłudzie oczy, nabiegłe krwią,
oczy drapieżne.
We mnie – obawy bezbrzeżne:
każdy mój ruch rozpęta
ich wściekły dziki ryk.
Śpią...
Zmrużyły drapieżne ślepia ...
Śpi niezliczony lik...
Idę – dłoń moja się czepia
krat w ważkich przejściach trwożliwie.
Stąpom z niezmierną słodyczą,
cała w słuchaniu przegięta:
cicha, cicha –
bestia chrapliwie oddycha.
O nie stukajcie, nie krzyczcie wy tak hałaśliwie:
zbudzą się dzikie zwierzęta –
zaryczą,
zabłysną ślepia złowieszcze.

Spokój chwilowy, rzadki –
śpią – cielska wstrząsają dreszcze ...
Nie odchodź, ciszo – cudzie...
Dokoła z bestiami klatki –
ludzie, ludzie ...

ŻYCIE

I przyszło do mnie Życie ...

I miało oczy, jak morza
w bolesnym smutku zaśnione,
jakby konała w nich zorza
przy krzyku zawodnym mew –
a usta miało czerwone,
jak świeżej rany krew...

Stanęło słońce w zenicie.

Życie na usta me kładło
swoją pocałunek - płomień,
w każde me oko – zwierciadło
wbiło swe oko jak nóż –
przyniosło żar oszołomień
i płacz bezdennych mórz.

I przyszło do mnie Życie ...

NA ŻER ABSTRAKCJI

I wyszała abstrakcja ze mnie rdzeń żywota,
lecz na umarłe równie, zgasłe spaleniska
pada promień mienisty, niby deszcz – pieszczota,
do księżnicy mej wchodzi szalona huryska...

Tak rozkosznie przegięta, w szalu, jak krwawniki,
wkradła się w głąb surowej, milczącej księżnicy,
rzuca żółte złocenie, plamiste storczyki
i iskrzące spojrzenia namiętnej źrenicy.

I przyniosła kipiące żarem niebo wschodnie,
i słodycz tak ospałą, jak fal senność modra,
i depczące cherubów białość szalu zbrodnie –
przyniosła mi, kołysząc bujne, krągłe biodra.

Mózg przemądrzały, który, jak kula komety,
przecinał firmamenty, otchłanie przedwieczne,
wzięła w dłonie, świecące tęczą bransolety,
jak haftowane w gwiazdy dwa gościńce mleczne.

I kołysały dłonie chłodną, czujną głowę,
ogarnęła mnie ogni kipiąca fontanna –
lecz szyderczo milczały stopy ksiąg surowe:
nawet w rozkoszy łkała myśl wiecznością ranna.

I nawet w haszyszowej rozkoszy oplotach,
i nawet na wezglowiu z dusznych asfodeli
marzę o nieochybnych, twardych woli grzmotach,
o dziecka nieskalanej, seraficznej bieli.

Choćby wszystkie orkany zmysłów przeszalały
i choćbym uciekł w szał najdziksze ostępy –
jednak znowu na sine wrócę lodozwały,
gdzie na żer mnie poszarpią znów abstrakcji sępy.

JAK ZIMA...

I przyszedł znowu wieczny, cichy ból...

Przyszedł, jak zima ...
Całuny śniegu rzucił na mą duszę
dłonią olbrzyma,
rozsnuł ponad nią nieprzerwaną głuszę
w chmurnym oprzędzie.
I tylko widać wśród lodowych pól
krwi plamę czarną.
Tam pod śniegami kielkujące ziarno
już nie wytrzyma,
wiosny już nigdy nie będzie...

I przyszedł znowu wieczny, cichy ból,
przyszedł, jak zima...

BEZ SIŁ

Znów leżę chory i bez sił, jak powalony młody
[klon,
ja - nadotchłannych dźwigacz brył, zaprzepaściłem
[życia plon.
W strasznym wysiłę rwał się nerw, rzeził strudzony
[oddech płuc,
walczyłem długo i bez przerw, chciałem ponurą
[otchłań zmóc.
Nie wytrzymała tęgość bark, –stoi nade mną Nie-
[moc – kat,
i muszę patrzeć na wasz targ, na sieć nikczemnych
[waszych zrad,
i spaść nie mogę, jako grom, na małość waszą skre-
[cić bicz,
ani przeszkodzić płynąć – Izom, ani rozdmuchać mrący
[znicz.
Na świecie łyzy, na świecie ból – kołacze w drzwi
[me cichy jęk,
a mienie wasze niszczy mól, a na was czyha śmierć i lęk.
Naprzód! Chcę walki dzikich salw! – A zwolna
[krzepnie krew mych żył...
Pośród jesiennych bladych malw – znów leżę chory
[i bez sił.

AKORD

Ciemnia j próżnia, huk i wir...
Runęły w otchłań światy...
Na czarny kir,
żałobny kir
padają łzy i kwiaty.

Głucho, jękliwie, bije dzwon...
Złamane więzień kraty...
Czcząc cichy skon, męczeński skon
padają łzy i kwiaty.

Kłębią się w mglisty, zwiewny słup
kadzideł aromaty...
Na blady trup, na zimny trup
padają łzy i kwiaty.

Wieźli go w blasku mrących zórz,
A czarne mieli szaty...
Na szary kurz, przydrożny kurz
padają łzy i kwiaty.

Z tytanką – ziemią zawarł ślub
on dziedzic przebogaty...
Na biały grób, kamienny grób
padają łzy i kwiaty...

POGRZEB

Melancholia niezmierna zawodzi
w kół leniwym turkocie,
wplata bezład złowrogi
w drzew gałęzie szerniałe, bezlistne,
w ciężkie myśli człowiecze
Miasto w szare i senne upowiła srezogi...
Melancholia się wlecze
w szarych dni monottonnych chlupocie.

A wśród ciemnych, mrowiących się dzielnic
ciągnie orszak żałobny powoli
Ciężkie dymy się snują z kadzielnic,
a baldachim skrzydłami ocienia
srebrny anioł wiecznego milczenia
Coś się rwie, coś tak boli...
Srebrna trumna na czerni,
jak łza jedna olbrzymia migoce,
i w krepowych welonach miłujący j wierni
niosą cicho za trumną
swoje serce sieroce...

Idą.:, czarny karawan się chwieje,
nieodpartą mnie ciągnie hipnozą,
i wrywa z pod serca
łzy tajemne, najkrwawsze...
Mnie się zdaje, że tam szczęście moje,
moje szczęście, umarłe na zawsze
w trumnie srebrnej gdzieś wiozą...

Moje szczęście umarłe
wiedzie w trumien korowód rytmiczny.
I że za nim się wlecze
w wiekuistej tęsknocie,
w żałobniczych welonach
w szarych dni monotonnych chlupocie,
przeolbrzymi mój ból, bezgraniczny...

MODLITWA O ŁZY

O ciche łzy, kojące łzy,
padnijcie czyste, wonne
na popękany duszy grunt,
uciszcie mękę, zgaście bunt,
srebrne szemrajcie mi podzwonne.

O ciche łzy, kojące łzy,
srebrzystych gwiazd opylę,
padnijcie rzeźwą mocą ros,
na zwiędły w mgłach jesieni wrzos,
na żółte trawy i badyle.

O ciche łzy, kojące łzy,
ku wam się bólem modłę:
stopcie kamienną ciszę mąk,
wieście: zakwitnie suchy strąk,
i zrośnie pień złamanej jodle.

O ciche łzy, kojące łzy,
niech struga rozperlona
osrebrzy kir, trumienny cis,
niech w bólu nie drga każdy rys,
niech męka we łzach cicho skona.

GRZECH

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Zimne me łoże,
zimno po ciele przebiega, jak mrowie,
oblane zimnym potem me wezglowie
i pokropione łez palących żarem –
idę przez życie z wieczystym ciężarem,
o, przez zatrute jam przeszedł pustkowie,
roślin zjadliwych zbierałem pęki
i rozdawałem hojnie:
niech pamiętają dar kochanej ręki –
rozpacz i męki,
niech pamiętają i niech śpią spokojnie, jak ja, jak ja ...
o, cha, cha, cha!

Katuszy wiecznych uraz
przeżarłaś całe moje wnętrze !
Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Zebrały się złe duchy – i toczą narady...

Ja byłem buntem i rozpaczą,
echem tych wszystkich, którzy płaczą,
żywym jasności zaprzeczeniem,
otchłanią, próżnią, nikłym cieniem.
Świat zaciemniałem mym obliczem,
chciałem być wszystkim – byłem niczem,
w sieć drobnych grzechów uwikłany
deptałem wszystkich – sam deptany,
o byt toczyłem bój zażarty,
z dostojęstw mocy tak odarty,
żem był zbyt słaby, by obalać,
by się potężnym grzechem skalać.

Powszednich grzechów oczka drobne
w tkaniny splotły się żałobne
i na duch wolny, niepodległy,
niby posępny całun legły.

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Pełzną dokoła –
złe nawiedzenie, moc nieprzyjacielska,
z wzrokiem obłądnym leżę – upiór blady,
włos mi się jeży u czoła,
a gady wznoszą swoje giętkie cielska,
w krąg pręgowane, plamiste,
i syczą –
Ha! jaką pierś ma nabrzmiewa goryczą,
ja miałem serce czyste ...
Zebrały się złe duchy i toczą narady...
Ha, gad mi gardło oplata,
za skrętem – skręt.
Skórę mi łechce łuska zimna, twarda,
za krtań mnie dławi straszna samowzgarda,
i wstręt, i wstręt...

Dokąd się udam z moją duszą chorą?
Było z niej jasne kryształne jezioro,
teraz je zaćmił męt.

Czyż mam pod męką wiecznie głowę zginać?
Czyliż zepchniętym nie wojno się wspinać,
ni zerwać pęt?

Za skrętem – skręt...

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

Grzeszyłem –

Myślą i słowem i czynem.

Mnie od złych myśli tak pod czaszką rojno,
jakby robactwa drobnego miriady
miast mózgu, wiły się w kłęby.

Zła myśl przeziara przez grę nieukojną
rysów, ironię warg, ściśnięte zęby,
przeziara w oczu podkrążeniu sinem
i w urągliwe słowa się przelewa,
rzucając na twarz czerwień swym bezwstydem.
I jak myśl w słowo, słowo w czyn dojrzewa,
ciałem się staje to, co było widem,
i zapatrzona w oddalone cyple,
błądzi po niżach dusza ma przepłuta,
i nieustannie, natrętnie, ochryple,
rozbrzmiewa w życiu mym fałszywa nuta.
Duch mój skalany, znieprawione ciało,
znikła surowość zakonniczych cel –
o narzucie osłony, które życie zerwało,
wróćcie mi biel!

Wstrętne, oślizgłe pełzną ku mnie gady...

SKAZANIEC

Rozechwiały się dzwony, rozechwiały się dzwony...
Stara sosna za kratą z suchym skrzypem się zgina,
cegły z ścian wyskakują, tańczą taniec szalony...
Rozechwiały się dzwony – i wybiła godzina.

Świat umrzeć ma – świat chory –
tam płynie przez przestwory
olbrzymia lodu kra,
zniszczeniem grożąc, płynie –
świat umrzeć ma, świat zginie,
nie, zginę tylko ja!
Spada sto słońc z zenitu...
Nie jest-ż wam kresem bytu
mej świadomości kres?
Strach czyha poza lochem –
drzę, łkam bezgłośnym szlochem
niewypłakanych łez.
Strach szczyrzy lico sine,
jak pająk w pajęczynę,
świat cały osnuł w kir...

Tłum wizji, tłum wygnańczy,
spada, jak rój szarańczy,
rwie wszystko w szal i wir,
kotłuje, mknie z tupotem,
wpadł w pierś, wali jak młotem –
szczękł zamek, stanął zbir.
Halabard ostrze szczękło
Strach huczy, milion pękło
strun na milionie lir...

Rozechwiały się dzwony, rozechwiały się dzwony..
Płomykami krwawymi liżą przestwór pochodnie,
jeżą sosny przydrożne suche igły, jak szpony
obojętne mi cnoty, obojętne mi zbrodnie.

Szczękają halabardy,
we mnie drży morze wzdargy,
wzbiera nieludzki bunt.
Gwałt skuł kto rozkuć zdoła?
Kapie z pochodni smoła
na popękany grunt.
Dusi mnie niebo płowe,
strop wali się na głowę,
otchłań bez dna u stóp ...
świat w męce dogorywa,
z oddali na mnie kiwa
ten słup, ten czarny słup.
Z czarnego węzowiska
wąż wypełził, gardło ściska.
rozdziera niebo syk.
Zarzewiem przestwór górze,
rozedrgał się w przestworze
potwornej męki krzyk.
Idę – brnę w słupów chaszczu,
czeka mnie w krwawym płaszczu
zakapturzony kat.
Duch ofiar we mnie wmusza,
że szczęściem jest katusza,
żem najniklejszą z strat,
że życie – to nie eden,
że cierpię nie ja jeden,
że cierpi cały świat!

I cieszy mnie nadzieją,
że inni żną i sieją,
 żem wywiódł ich z za krat.
Na progu bezgraniczy
wyrzucam śmiech goryczy
 na dobro i na grzech –
świat żyje tylko we mnie,
gdy zgasnę będą ciemnie
 szarpie mnie, dławi śmiech!

Rozechwiały się dzwony, rozechwiały się dzwony...
Czarny słup stoi w dali – i wyciąga swe ramię,
kat obnażył już ręce, zsunął kaptur czerwony...
Rozechwiały się dzwony. Życie kłamie, śmierć kłamie!

Duch mędrców szepcze szczytnie:
– Bez ciebie nie przekwitnie
płomiennych uciech kwiat.
Cóż, że wśród dusz bezedna
zginie twa dusza jedna?
 Nie zginie z tobą świat!
Tyś pyłkiem, tylko pyłkiem...
Cóż zdziałasz twym wysiłkiem,
 ty – ułomności zlepi?
Zatrać się w cisz ogromie,
żyj w szczepie nieświadomie,
 ty giń – niech żyje szczep!
A życie krzyczy dumne:
– Chcę istnieć – weźcie trumnę,
 jam sobie – cały świat!

Życie – to cud, sakrament... – –
Ha! próżnia, wir i zamęt –
 zakasał ręce kat...
Z śmiechem urągowiska
mym bólem w ból mrowiska,
 w tyranię myśli plwam,
na ich ofiarność cichą
plwam życia jasną pychę,
 wzgardą mogilnych jam!
Ha! ha! życie rozlewne,
szum hymny, hymny śpiewne,
 chorągwią zwycięstw furcz!
Śmieję się chrypnę z ryku
urągań – i na stryku
 zastygam w śmiechu skurcz...

FANTAZJA PANTEISTYCZNA

Zgubiłam moje Ja –

Uciekło ze mnie w dale,
i próżno wołam je, ścigam wśród mąk wytrwale,
wybłysło ze mnie, jak barwista raca,
w tysiącu skier pierzchnęło i nie wraca.

Czy je wetchnąłem w szumy oceanu?
Czy je rozlałem w czerwień łun zachodu?
Czy je wrzrzyknąłem w dumny huk orkanu?
Czy też stężyłem w górskie rzeki lodu?
Gdzie moje Ja?

Czy między skalne złomy
zapadło w świat podziemny, między gnomy,
gdzie Jeżą roślin skamieniałych cuda –
czy tam rubinów więzi je ułuda,
czy tam z diamentów krzesze barwy tęczy,
gdy pustka w piersi boli mnie i męczy?

Czy się rozwiało w kwietne, lekkie puchy
sieroce, żyznej szukające gleby,
aż znów wichrowe rzucą je podmuchy
pękami kwiecica na jałowe źleby?
I szukam mego Ja –

i nie wiem, gdzie się kryje –
i cudze słowa mówią me bezwładne usta,
i obcy nakaz gnie mi szyję,
i boli mnie pierś moja pusta.

Czemuż me Ja się oderwało,
jak od suchego pnia gałązka?
Mnie tylko znana tajemnica:

pierś moja była nazbyt wazka,
i miejsca było w niej za mało.
Ja wzwyż się rwało, jak orlica,
i w nieskończoność rośło, rośło...
Jak żeglarz, który stracił wiosło,
gdy wkoło huczy nawałnica –
tak Ja straciło w snów tajnicy
poczucie kresu i granicy –
wicher kosmiczny powiał na nie,
uniósł gdzieś w grobów wirowanie.
Z mej jednostkowej piersi cieśni
wyszło, jak dźwięk potężnej pieśni.
Rozpękła moja pierś na dwoje,
i stoi wewnątrz jej otworem –
Ja, nie jarzmione już oporem
tej ciasnej piersi, co je gniecie,
żyje, rozlane we wszechświecie.

Idę do ludzkich szumnych gromad,
przechodzę rojne miast dzielnice,
pod martwych dusz zaglądam kiry
i szukam mego Ja –

Na próżno!

Bo wszędzie, wszędzie, – o rozpaczy! –
wśród cichych siewców i oraczy,
wśród bladolicych pustelników,
i tych, co karmią się jałmużną,
i co rozrzutnie sieją dary,
wśród nieugiętych bojowników
i dźwigających pęta sromu,
wśród niezliczonych dusz ogromu –
tylko cząsteczkę Ja spostrzegłem.

Przez możliwe czary, wrogi czary,
niepodzielnością swoją święte
Ja, w milion odbić rozpierzchnięte,
przystało istnieć jako całość.

Gnie mnie kamienna ociężałość;
już cały ziemski krąg obiegłem
Nadzieja coraz to zaświta,
gdy w głębi obcych dusz ukryta
cząsteczka mego Ja zazgrzyta.
Lecz nic nad jego nikłe ślady,
bo wybujale i olbrzymie
straciło dawno kształt i imię.
Aż dziwne przyszło mi orędzie:
niema go nigdzie, a jest wszędzie.
Wielka, łkająca dusz męczarnia
wszystkie jednoczy i ogarnia.
Z każdej zarówno się wyłania
część bólów mych i pożądania.
Choć obojętne, bezechowe,
to Ty potworne, tysiącglowe,
ciągle mi moje Ja objawia,
z bezmiarów jego krzyk wyławia,
i wiem to męką mą bezwiedną,
że Ty a Ja – to jedno.

W was moje Ja niszczeje i przepada,
wzieliście je – i w was się rozplynęło.
Oddajcież mi, bo rozpacz we mnie biada!
Gdzie me samotne, me jedyne Dzieło?
Gdzie?

O wróć!

Wróć całe, niepodzielne,
miłością wieczne, mocą nieśmiertelne, –
tej pustki we mnie ja nie mogę znieść!
Rozedrę pierś, rozszerzę w bezgranicze,
Ty się w niej wtedy zmieść,
lecz objaw się i nie przez Ty zwodnicze,
a jako naga treść.
Objaw się samo w sobie,
jak życia złota wieść!

Nie wraca –

A boli mnie pierś chora,
nie mogę wytrwać w pustce i żałobie –
ja ją zapełnię, zduszę nieukoje:
pójdźcie! przyjmuję w piersi moje
Ty – potwora.

OCZEKIWANIE

Śnie mój, śnie,
mój cichy śnie!
Płyną bezdenne przeczekaniem dnie,
płyną otchłanne noce ...
Serce sieroce,
gdzie twoja ustron cicha?
Na chwiejnej stoisz opoce,
dłoń bezlitosna cię spycha
w otchłań, ukrytą w pomroce.
Kolumny spowiły bluszcze,
mech siwy porósł kolumny.
Wodotrysk, wysrebrzony nocą, cicho pluszcze –
O serca dzikie, niedostępne puszcze,
o, stropie niebios, pod gwiazd roziskrzeniem
wiecznie pochmurny,
o nocy, gwarna milczeniem !

Śnie mój, śnie,
mój srebrny śnie !
O, jak tęsknota bezlitośnie gnie,
jak bezpowrotnie łamie...
Ku wiecznej bramie,
ku niedościgłej oddali
podnoszę oto ramiona,
pluskiem kaskady narzekam,
ból mój gwiazdami się pali,
płacze nim nocka cicha, roziskrzona –
i czekam ...
Śnie mój, śnie,
mój wielki śnie!

Oto się zgięło serce dumne, lwie,
oto przekwitły irysy...

Płomienne spisy
mych tęsknot wyleciały na wsze świata strony,
sokołom wspomnień popuściłem dłuźce
i dałem chciwym żeru
kęs mego serca skrwawiony,
i łąkowym dzwoneczkom, liliowej ostróżce,
smętnym szelestom ajeru
zwierzam tęsknoty, jak wybranej družce ...
Mgiał rannych całun oblekam –
i czekam.

Śnie mój, śnie,
mój złoty śnie!

Złoty blask strzelił – i utonął w mgle,
O bezimienne męczarnie!
O wy, gasnące latarnie,
na pustej, bielejącej świtaniem ulicy,
o beznadziejna dopełnień rozpaczy,
świcie dnia tego, w którym nie zobaczy
duch obiecanej krainy,
świcie, nadziei kacie jasnolicy,
dzienny szafirze, o, tak trupio-siny,
jutrznie, powrotu dni jarzemnych gońce,
dniu, który kładziesz mi pieczęć boleści,
którego wejście »nigdy« mi obwieści,
zabójco-słońce!
Oto się waszych darów dziś wyrzekam –
i czekam.

Śnie mój, śnie,
umarły śnie!
Dal siniejąca nęci, nęci, zwie,
o, niedościgła ty dali!
Słońce nimb wdziało z koralu,
słońce zachodzi, a ja weń źrenice
wlepiał rozpaczą oślepte ...
Oddał zimne, przeraźliwe, skrzepłe,
wkrzyknąłem w was me tęsknice,
a echo »nigdy« odbrzmiało,
a wszystko we mnie czekało
na rozęczone, na cudowne zjawy,
na czarodziejskie bardony...
Przestwór milczący, straszny, nieskończony
potwornym »nigdy« się roi,
»nigdy« w pierś wwiewa, jako akord łzawy,
nigdy nie będzie ostoi...
A za mną całe życie przeczekania
a dal przede mną czernią się powleka,
a dusza czeka, wciąż czeka
w cichej męczarni konania...

SONET

Idę w dale gościńcem tęsknoty,
po cyprysów żałobnej alei...
We mnie mrze, we mnie więdnie sen złoty,
więdnie, mrze cudny kwiat orchidei.

Powiał wiatr, zerwał bluszczu oploty,
a w cyprysach drgnął szept beznadziei...
Leci wiatr nad moczary, wykroty,
budzi echa rozpaczy po kniei.

Idę wciąż, a cyprysy mi szepczą,
że w dal próżno wyciągać ramiona,
próżno w słońcu żrenicą tkwić ślepczą,

że nie kryje przyszłości zasłona
ni powstania dla tego, co zdepczą,
ni zmartwychwstań dla tego, co skona.

WIZJA

Gdzieś marmurowe lśnią postacie.
Płonie na wieżach iglic złoto,
gmachy lśnią w cichym majestacie,
białe – skąpane w nieb bławacie,
morze oddali lka tęsknotą.

Zaczarowana, roześniona
w dali kraina cudu leży,
z kolumn zwisają winne grona,
dziwnych, bajecznych drzew korona
aromatycznym kwieciem śnieży.

Dwa skrzydła ducha rozkołyszą:
biel karraryjską – szafir gęsty...
Bezmiarem tchną, – rozmodlą ciszą...
Cicho... Oddalę lękiem dyszą,
słysząc węzowe suche chrzęsty...

Z gęstwiny palm, ze splotów liany,
zwolna wypęłza gad olbrzymi,
bryzga jadami rudej piany,
wpełza na białe gmachów ściany,
dusznym wyziewem z paszczy dymi.

Złote iglice zębem zrywa,
rozgniata wieże, gmachy, miasta,
ujmując w kłębów swych ogniwa.
Olbrzymim cielskiem gruz przykrywa
i w bezgranicze się rozrasta.

błękit płatami rwie, pożera,
i szafirową wchłania ciszę...
Baśń – niezrodzona – obumiera...
Wąż splot potworny rozpościera,
na zimnych falach się kołysze.

BAŚŃ KSIĘŻYCOWA

Nad brzegiem morza, które płacze
w wiecznym fal chorale,
wybijał pień akacji młodej
na bazaltowej skale,
i w złotej glorii dni wiosennych
rozsiewa aromaty,
i sypie w morze cichą nocą
białe j wonne kwiaty.
Gdy srebrnych, gwiazdnych strun melodia
cicho w powietrzu gędzi,
z głębin rusalek tłum wypływa,
jak biały sznur łabędzi.
Wypływa z grot swych koralowych
na szafirowe tonie,
i po akacji kwiat wyciąga
alabastrowe dłonie.
Żali się fala srebrnopienna,
i szumi w oczerecie...
Dżdży na rusalek długie włosy
białe i wonne kwiecie.
I lśnią w ich długich, ciemnych włosach
perły, szkarłatne glony,
i gra nad morzem śpiew ich cichy
tęsknotą rozdźwięczony:
– Nasz sad podwodny zdobią cuda,
tam koralowe mosty,
lekkie altany z łez perłowych
oplotły wodorosty,
sargas porasta wodne łąki,
splotły się w las morszyny,
pływa krasnorost karminowy,

królują wśród głębiny
barwne, pstrociste anemony,
lecz brak nam w sadzie kwiatu
czarującego śnieżną bielą,
słodyczą aromatu,
Śpiewamy tobie pieśń wiosenną,
kwitnące, młode drzewo,
niech w kwiat otwiera się pąkowie,
i śnieżną dżdży ulewą.
Lecz nie bądź tylko hymnem piękna,
wiosennych snów legendą,
bo jeśli czarem twoje kwiaty,
owoce – cudem będą.
Przekwitaj prędeej, młode drzewo,
i z pąków daj owoce,
my wypłyniemy po nie z fali
w srebrzyste, ciche noce. –
Drzewo swój okwiat wonny, biały,
swoje wiosenne pąki
rzuciło w morze – i wydało
czarne i suche strąki.

NADCZŁOWIEK

Przystanął i sochą zaprzestał pruć skibę
I rzucił wzrok orli na niską siedzibę:
– Nie grożą mi ostre topory, ni lochy,
A jam, jak niewolnik, sam wprzągł się do sochy.
Po zdobycz mej głowy dłoń obca nie sięgła,
Mnie miłość zjarzmiła – jak jeńca mnie wprzęgła.
I choć z szybkożożnych gemz skalnych jam rodu,
Na niżach żyć muszę, by nie czuł ktoś głodu.
Chcę wolno mknąć w stepy, jak mknie antylopa,
Niech szczytów urwistych dosięgnie ma stopa.
I wirchy, i stepy w moc moją zagarnę,
I będę potężnym – niech ginie co marne.
Niech sochą kieruje rodziców dłoń starca,
Niech naręcz drew ciężkich kark siostry obarcza
I niech się wypręży na łuku cięciwa,
Grot wroga dziecinną pierś brata przeszywa.
Niech ginie, co słabe, co drogę zagradza,
Tam, w dal, gdzie jest rozkosz i siła i władza.
Chcę w świat, tylko miłość mnie trzyma w dolinie,
Co drogę na wyże mi grodzi – niech ginie.
Sam będę – w wichrowe się wsłucham poświsty
I wpatrzę w widnokrąg płonący i krwisty –
I czynem szalonym, swobodą i mocą
W krwi stłumię przestrachy, co tętnią, łomocą
I w mózgu dręczącym wołają wyrzutem.
Hej! Naprzód! W świat jasny! Maczugi mej rzutem
Każdego, kto stanie na drodze, zdruzgocę –
Hej – w świat, gdzie przedziwne, zakłete śpią moce! –
I poszedł. A za nim przez dale, przez noce
Szły kłątwy deptanych i żale sieroce.

W SREBRNĄ NOC

Błękitne zmierzchy, jak woale,
padają lekkie, nieuchwytne
na drzewa, śniące ociężale
pod fantastyczną szronów bielą,
po dachach wiją się i ścielą,
wieżyce stroją w swe festony,
ukołysały ciszą dzwony,
płyną, jak zadum śpiewne fale,
zmierzchy rozwiewne i błękitne.

Idę zamarzeń cichych drogą
przez szlak niewidny, szlak niebieski,
utorowany w tłumie rojnym.
Cień się wślizguje w bramy, ganki,
mróz zdobi szyby w arabeski,
mkną niestłyszalnie, szybko sanki
i skrzypi zmarzły śnieg pod nogą,
a miasto rytmem nieukojnym
dyszy i wre, pookręcane
w czerwone węże latarniane.

Zbudził się szafir wielooki,
zbudził się, rozwarł swe powieki,
i srebrne oczy cicho mruży.
Idę wciąż dalej w stronę rzeki,
i wciąż samotniej dzwonią kroki...
Piję z upojen jasnych kruży,
z szczęścia krynicy, która tryszcze
w najtajemniejszej ducha głębi...

O, tam niejedno smutne zgliszcze,
i feniksowy gmach odrodzin,
spokój bezgrzeszny i gołębi,
krzyk buntowniczy, bezwład sztywny,
godzin wschodzących, zmarłych godzin
aromat tajny i przedziwny.

Wstają przede mną cichą nocą
baśnie zaklęte i miraże,
i wszystko cudem, na co patrzę
przez barwne marzeń mych witraże.
I olbrzymię młodą mocą,
rozszerzam ducha w bezgranicze,
piękno nieznanne, zaświatowe
pochyla ku mnie swe oblicze.
Wstaję prorokiem, twórcą, wieszczem,
i stwarzam słowa wielkie, nowe,
i czyste, czyste – z szczęścia dreszczem –
kwiecie zakwita mi łąkowe,
mnie wybująły harde cedry...

Idę nadbrzeżem do katedry,
aby w wieżyczki jej strzeliste
i w jej gotyckie ostrołuki
zakłóć tęsknoty płomieniste,
i wpleść westchnienia bezechowe
w każdą różycę i ornament,
w lekkie liściaste kapitele,
fryzy misterne, koronkowe.
Po piękna zbliżam się sakrament,
j staję oto przy portalu.
Wydzwania ciche, drżące trele
blask srebrny gwiazdy, blask opalu...

Ciszą się stroję, jak ornatem,
sięgam po hostię wyanień,
i po zachwyty wino mszalne,
i kornie łączę się z Wszechświatem...
Jaśniej nimby idealne,
wszystko się staje srebrnym cudem ...

Co tam? przy drzwiach rzeźbionych kupa
cuchnących szmat, przesiąkniętych brudem?
Kto piękno tumu tak znieważa?!
Co to? to dłoń – dłoń sztywna trupa...
Powionął mroźny wiatr z wybrzeża...
Uchylam szmat – z nich się wyszczerza
zsiniała straszna twarz nędzarza...

BRZASK

Przez mętne szyby świt przesiewa
zbłąkany, blady, anemiczny promień –
w izdebce brudno – chłód –
zabrakło dawno drzewa ...
Od dzisiaj – głód...

Po nocy oszołomień
tam ona śpi – i patrzę obudzony
na sine żyłki jej zwieszanej ręki...
I wiem – już dziś całunek mój szalony
nie uśpi ciała długotrwałej męki.
Nasza izdebka – zapomniana
bezludna wyspa wśród czerwonych murów,
na szarym tle chmurnego rana
wyłania nagość swych konturów.
Wapienny tynk przeżarty pleśnią,
kąty pająka zasnuł trud...
Zbudziłem się za wcześnie –
Od dzisiaj – głód...

Brzask smutny wpływa w szyby mętne –
wozy na bruku skrzypią tak boleśnie –
Jak wąż w zawojach mglistych plut
pragnienie wślizgnie się natrętne...
Od dzisiaj – głód ...

DNI POGODY

W ZATOCE

W zatoce lekko pluszcze fala błękitnawa...
Dokoła stoją senne, zadumane skały.
Gdzieniegdzie grube liście rozkłada agawa,
czasami w oddaleniu mignie żagiel biały...
Nade mną szafir nieba ciemny, jednolity,
miękki kobierzec piasku moich stóp nie rani...
Dobrze tu. Chcę zapomnieć cały ból przeżyty
w cichej przystani.

Nad wodami zatoki leci biała mewa,
unosząc się ku słońcu. Ja zrywam się za nią
do ciepła, które zwolna skrzeplą pierś rozgrzewa...
Skąpię się w blaskach słońca, zwisnę pod otchłanią
niezmierzonych błękitów. Czasem na mej twarzy
czuję muśnięcie wiatru. Wszystko, co mnie rani,
rozpłynęło się w ciszy – duch o szczęściu marzy
w cichej przystani.

NAD MORZEM

I.

A wiesz ty, morze, dzisiaj senne,
nieukozone, wiecznie zmienne,
jakie są w piersiach ludzkich rany,
jakie poszumy i orkany?
Jaka tam biegnie w dal tęsknica,
jak żądza łzami się nasycza?
Jak się zrywają struny klęte,
torturą życia wyciągnięte?
Jak myśl się wspina i w dół stacza
i w bezsilności swej rozpacza?
Jak wszystko kruszy się i łamie,
jak życie zwodzi, życie kłamie?
Wszystkie tęsknoty niewyłkane,
jedną olbrzymią ziemi ranę,
przynoszę tobie, morze zmienne,
kładę na głębie twe bezdenne,
niech je twe białe, szumne fale
w nieogarnione niosą dale.

II

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Ja pełną wypięłem czarę
dobra i zła,
czarę gorzycy i nędzy,
i wśród życiowej przędzy
różnobarwnego tła
szukałem nici poznania,
czym dobro, a czym zło.

I przekroczyłem granice,
znaczone przez praw tablice
kamienne, zapleśniałe ...

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

Mówcie wy, fale białe,
szumem śnieżystych czół...
Ta sama fala się wznosi,
ta sama opada w dół,
ginąc w bezkresie bez śladu...
Jak znaleźć linię graniczną
między wznoszenia się chwilą
i między chwilą opadu?
Wszystko jest morza błękitem
i jego pieśnią rytmiczną.

Mów do mnie, bezbrzeżne morze !

Nizina staje się szczytem
w szeregu zmian,
nie ma stężalej granicy
wśród twoich pian.
Rozdział bolesny, łamiący
gubi się w twym przestworze...
Pojmuję okrzyk twój grzmiący
i wiem już, wiem, o morze,
że nie ma dobra i zła,
tylko twój ruch wiekuisty,
nieukojoona fal gra...

Mów do mnie, bezbrzeżne morze!

* * *

Rzeka, olbrzymia rzeka płynie, drga, połyska...
Obszar łąk z jednej strony bierze ją w ramiona,
z drugiej – mur wzgórz piaszczystą ławicą ją ściska.
Spokojnie, równo dyszy głębia roziskrzona.

Czasami biała czajka skrzydłem wodę muśnie,
czasami statek przetnie, rozkołysze fale,
lecz sina dal go porwie – i rzeka znów uśnie,
i popłynie leniwie, szeroko, wspaniale.

Fale w objęcia sobie znów, jak siostry, padną,
złączą się rozłączone i przerwą bieg rączy...
Czemuż więc pośród ludzi nigdy mocą żadną
nikt dwóch serc rozłączonych na nowo nie złączy?

BAJECZKA

Na baszty zamku i na mury
 cień czarnych borów pada ...
Tam – w barwny witraż zapatrzona
 śni kasztelanka blada.
Śni kasztelanka bladolica
 snami nie z tego świata,
nie schodzi w dolin gwar wesoły,
 we włosy wstęg nie wplata,
do uczt godowych nie zasiada,
 ni wdzięcznej lutni ima,
tylko irysy fioletowe
 uwiędłe w dłoni trzyma.
I wre dokoła tysiącgłośnie
 rozlewne, młode życie,
a kasztelanka marzy cicha
 w żalobnym swym habicie.
Z jej twarzy wszystką ziemi radość
 męczeństwo długie starło,
i ludzie szepczą o niej z cicha,
 że duszę ma umarłą.
W samotnej sali pełzną mroki
 wśród arkad, pod sklepienie...
Z wonią irysów przed nią wstaje
 umarłych dni wspomnienie.
W boru są zioła cudotwórcze,
 którymi chorych poją,
a są-ż w nim takie zioła, leki,
 co pamięć-ranę zgoją?

I przyszedł minstrel, a miał oczy
 dziecinne, promieniste,
i przyniósł cudną baśń o ziemi,
 i serce młode, czyste.
I klątwa wspomnień się rozwiąła,
 jak dźwięk milknącej lutni,
i poszli w dal, by się uśmiechać
 do wszystkich, co są smutni.

Z DIALOGÓW O PRZYSZŁOŚCI

I.

CHORY

Hart mej woli, siłę myśli
niemoc zgmiotła i złamała...
My tak marni – my zawiśli
od materii, musu, ciała!
Daj mi zioła, daj mi leki,
ale przedtem myślą władną
ty przepowiedz dzień daleki,
w którym w końcu z nas opadną
ciała pęta niewolnicze.

WIEDZĄCA

Przyjdzie, przyjdzie dzień daleki,
moce dziwne, tajemnicze,
upragnione, wyczekane,
będą bliskie, będą znane.
Wtedy cierpień jęk wypłoszą
zapomnieniem i rozkoszą...
Duch w materii rzeźbi dzieje,
a gdy sam wyolbrzymieje,
to w harmonie doskonałą
stopi z sobą swoje ciało!
Naszym grzechem my boleśni:
nawet ducha przecieleśni
orgia długa i szalona.
Przyjdzie wiedza upragniona,
i umocni, i uzdrowi,
nawet ciało przeduchowi!
Masz tu zioła, masz tu leki,
przyjdzie, przyjdzie dzień daleki!

II.

WIEDZĄCA

Tyś płynął, a nigdy nie dotarł do brzegu,
obawa, niepewność twą radość wyzarała. –
Przyszedłeś się pytać. – I cóż ci dolega?

ŚMIERTELNY

Ja miałem tu jasność – i jasność umarła.
Ja miałem dzień szczęścia – i dzień ten nie wróci.
Tu pewnym nic nie jest, tu nie ma ostoi,
i wszystko drży we mnie, i wszystko się boi,
i wszystko się gubi wśród przemian, wśród wiru,
na wszystkim spoczywa cień kiru.

WIEDZĄCA

I czymże jest życie?
Przemianą i ruchem.
Radośnie się odmień płomiennym wybuchem,
i rwij się w przyszłości błękitne oddalę,
ocean nie ginie, choć giną w nim fale!
Pielgrzymuj przez skony, przez kształtów miliony,
hen – wzwyż,
nie tęsknij do ciszy,
i stwarzaj Odmienność –
i wstecz nie popatruj tęskliwie,
a tak wcielisz prawdę, promienną i żywą!

ŚMIERTELNY

Przez rzeźwą odnowę, przez wszystkie jej stopnie
ja jednak dosięgnę ostatniej rubieży.
Tam noc – bezpowrotna, tam nicość okropnie
swe zęby spróchniałe, szkielece wyszczerzy,

i wszystko drga we mnie z protestu i buntu,
że bramą mi będzie piędź gruntu,
że przy niej wartują już rozkład i gnicie,
że moja świadomość utonie w niebycie...
Czyż niemym akordem mam tylko być w śpiewie
i prochem, co zgoła o sobie nic nie wie?
Strach chrypi obłędnie – i modłę się chwili,
co ku mnie się zbliża z zakrytym obliczem:
niech wszelką srogością twój cios się wysili,
niech będę choć pyłkiem, myślącym świadomie,
Lecz tylko nie pozwól być niczem!

WIEDZĄCA

Nie możesz być niczem w wszechświata ogromie,
nie wyjdiesz za jego granice.
Twe myśli – pątnice
zostaną, trzepocząc skrzydłami, w przestworze,
a z ciebie się kształty wciąż nowe wyłonią:
to wzejdziesz traw kiścią na czarnym ugorze,
to lśniącym owadem wylecisz ku słońcu;
to znowu wypełniesz, spod ziemi dżdżownicą,
to glebę zasilisz, podziemne jej żyły,
gdzie klęte, nieznanne gromadzą się siły.
Świadomość twa skona – i znowu wybłyśnie –
a byt nieświadomy, to jedna jest tylko
z tych form, które kryje wszechświata skarbnica,
jest słodką rozkoszą, jest szczęściem bez granic
po drodze zawrotnej, wśród twardych krzesanic.
Utracić tę pamięć, co jedną jest raną,
roztopić się znowu w promiennym prabycie,
czyż to nie jest – życie?
Ty jesteś w ogromie – a ogrom jest w tobie,
i lilia odrodzeń zakwita na grobie...

ŚMIERTELNY

Utracić tę pamięć, co jedną jest raną,
roztopić się znowu w promiennym prabycie,
czyż to nie jest – życie?

WIEDZĄCA

Ty cichą słoneczność
rozniecaj w twej piersi, a znajdziesz w niej Wieczność!

III.

WIEDZĄCA

Twe czoło godziny myślenia rzeźbiły,
i jakieś potworne rozpacze.

MYŚLICIEL

Przynoszę ci myśli tułacze,
co, pnąc się, o skały skroń dumną rozbiły,
bo chciały z wyżyny zaglądać w otchłanie,
a otchłań milczała –
i myśl ma skonała,
nie mogąc rozwiązać zagadki istnienia.

WIEDZĄCA

Bo myśl twa dopiero, gdy nimbem z płomienia
uwieńczysz ją, mocy nabiera.
Myślenie – to orka pod zasiew objawień.
Ty w chwili zachwyty, ty w chwili ekstazy
zdobędziesz tę prawdę, przed którą wyrazy
bezsilne, imieniem jej nie śmiać pokalać.
Zaprzestań obalać,
a zacznij budować – w skończonej budowie
na wszystko ci twórcza radość odpowie!

IV.

WIEDZĄCA

Ty cierpisz, ty się krwawisz,
rwiesz się, porywasz wzwyż ...

ODKUPICIEL

Łka we mnie jeden klawisz
odwiecznej krzywdy ton ...
Ja wziąłem na ramiona
odpowiedzialność – krzyż –
przebywam każdy skon,
każdym się bólem krwawię.
Ach! lepiej na Golgocie
zawisnąć raz na ćwieku,
niż stać we łzach, w tęsknocie
na cudzej trumny wieku...
Nie dana mi jest władza
wyżenać mękę precz,
więc litość ma wprowadza
do rezygnacji cisz –
i uczę dźwigać ból...

WIEDZĄCA

Rzuć odkupienia krzyż,
imaj zbawienia miecz,
i z krzywdy ziemię zwól,
świat krwią ciemiężców zlecz!

ODKUPICIEL

Krwią własną, cudzą krwią
uleczę ziemię z mąk.

Przez tych, co walcząc mrą,
świat w końcu będzie zbawion.
Przyjmuję miecz z twych rąk,
niech będzie błogosławion!

V.

PRAGNĄCY

We mnie, jak morze, zawodzą
wiecznej tęsknoty poszumy,
we mnie bez końca szaleją
straszne, palące samумы.
Idę w bezwodnej pustyni,
pragnieniem w oddale gnany,
a przed mym wzrokiem powstają
pałace Fata-Morgany.

W strasznej tęsknocie i męce
wyciągam ku wizji dłonie,
i coś aż piersi rozrywa,
a głowa boli i płonie.
Próżno zrywają się pragnień
nieuciszone orkany...
Wciąż giną w mgłę oddalenia
pałace Fata-Morgany.

Lecz wiem, że, gdyby pałace
w tej niebieskawej srężodze
wtem, dotykalne i żywe,
stanęły na mojej drodze,
i gdybym wstąpił do wnętrza
przez wonny ogród różany,
z krużganku ujrzałbym nowe
pałace Fata-Morgany.

WIEDZĄCA

Niech będzie błogosławiona
trawiąca męka pragnienia,
bo ona piersi rozszerza,
bo ona myśl rozplomienia.
Choć nieuchwytne, rozwiewne –
znużony wzrok karawany
pokrzepią wizje niebieskie –
pałace Fata-Morgany.

Tyś nieziszczalnym bogaty:
nie znają granic twe szlaki,
nigdy w bezruchu nie gasną
twych snów gwieździste orszaki.
Ty, pragnąc bez końca, stwarzasz
eden przyszłości nieznany,
cudniejszy, niżeli wszystkie
pałace Fata-Morgany.

Czyż jeszcze nazwiesz ułudą
tęczowy miraż przyszłości,
gdy jako prawda niezłomna,
w twej mocnej piersi zagości?
Męcz się, pożądaj i stwarzaj,
tęsknicą bezbrzeżną gnany...
Niech będą błogosławione
pałace Fata-Morgany.

VI

WIEDZĄCA

Chodź, przybliź się do mnie bez trwogi,
siostrzyczko spłoniona, urocza,
i weź mój całunek na czoło
i lilię w uploty warkocza!

GRZESZNA

Ja boję się bieli liliowej,
tyś czysta – ja ciebie się boję...

WIEDZĄCA

Pójdź do mnie – ramieniem cię wesprę,
jak biedne, złamane powoje.
Mów, mów mi ze skargą i płaczem:
w płomieniach, w bezwładzie tyś drżała?

GRZESZNA

W twych oczach jest moc, co rozgrzesza,
ty jasna, ty czysta, ty biała!
Rzuciłam się w otchłań zapomnień,
w płomieniach, w bezwładzie jam drżała!

WIEDZĄCA

I były ramiona szalone,
i usta pojące, jak wino?

GRZESZNA

Mnie w zamęt rwał potok spieniony,
mnie rozkosz przykryła lawiną.

WIEDZĄCA

I szczęścia mieniąca się fala
szumiała, wciąż wyższa i prędsza,
i w szczęściu ty byłaś bezgrzeszna,
ta chwila – to twoja najświętsza.

GRZESZNA

To moja najświętsza – ta chwila,
gdy ciało święciło swe gody.
Lecz teraz, splamiona, nie czuję
już ducha niebieskiej pogody
i ciała zwycięstwo przeklinam.

WIEDZĄCA

Wspominaj i teraz z uśmiechem
tę chwilę, co była ci święta.

GRZESZNA

Cóż tedy, cóż tedy jest grzechem?

WIEDZĄCA

Nie rozkosz wiosenna i młoda,
nie we krwi muzyka namiętna,
lecz z tobą w twej duszy niezgoda,
jak struga leniwa i mętna
zatopi, zamroczy bezwolą.
Radości, jak grzech, cię zabolą.
Już żegnaj, siostrzyczko urocza,
i weź mój całunek na czoło,
i lilię w uploty warkocza.

O ŚWICIE

Z dusznego łoża, ze snu grzechu,
zrywam się drżący i pobladły.
Chcę tchnień rzeźwiących. Brak oddechu.
Łzy – cudze, własne – w pierś zapadły.
Idę przez salę: wielka, pusta,
fortepian śni, zaklęty w ciszę,
i przez otwarte czarne usta
wyszczерza ku mnie swe klawisze,
i kryształowe żyrandole
w smudze księżycy drżą, migocą.
przybrane w srebrnych lśnieniach okole,
po kątach karły złe chichocą.
Ciemnieją, wklęsłe w ram kwadraty,
wśród ścian obrazy dwa olejne,
niby czarnego sukna płaty,
po ścianach chodzą cienie chwiejne,
niby ruchome kręgi, słupy –
dwóch marmurowych bóstw postacie
wśród egzotycznych roślin grupy,
bieleją w cichym majestacie.
Staję przy tafli zwierciadlanej
okna, przy tafli gładkiej, lśniącej,
w srebrnej poświacie wykąpanej,
słucham uderzeń krwi tętniącej...
Serce się ściska i zamiera,
drży nieukoju dziwną męką.
Okno na ścieżaj się otwiera,
popchnięte słabą, drżącą ręką.
Oddycham wonią balsamiczną,
witam się z ciszą – czarem – nocą –
i wchłaniam śpiewność jej rytmiczną,
jej utajoną żyję mocą.

Zapach jaśminu wciągamy w płuca,
co, pomieszany z rosą świeżą,
jakiś zamarty sen ocuca
za świadomości mej rubieżą.
Przez posrebrzoną mleczną drogę,
poprzez dalekich gwiazd jaśnienie,
spłynie na dusznych żądź pożogę
cud, jasna zjawa, objawienie.
Wszystko zagasłe znów zapala,
wyolbrzymieje – karłowate,
skroń znów ozdobi lilia biała,
na barki włożę białą szatę,
i w cichej glorii zakrółuję
nad bezmiarami, siną dalą,
którą moc w tysiąc słońc haftuje,
gdzie źródła ekstaz się kryształą.
Przyjdź, zjawo, w cudnych barw otęczy,
na twój sakrament, nieomylna,
czekając, chory ciężko klęczy,
przyjdź, o Miłości! wielka, silna!
Daj przebaczenie, uzdrowienie,
ku mnie w jasności spłyni powodzi

Noc letnia mija, nikną cienie,
słońce nowego życia wschodzi...

ŻYJĘ!

W chłodnym, stalowym, równym harcie
Nie ma ukoju i zbawienia,
jedyna siła i oparcie
w jaśni, co z dusz się wypromienia.
W płaszcz promienisty, złotokanny
przetwarzam gęsty welon mroku,
i duch ma wichru dech orkanny,
i nieuchwytność ma obłoku.
Oto się przeciw męce grodzi,
zaczarowuje od zatury,
w złotych, słonecznych skier powodzi
topnieje męka, nkną kraty.
Wyolbrzymieniem i rozkwitem
duch cały ból na jaśń przekuwa,
jest wszędzie, zlewa się z błękitem,
suknie cielesne z siebie zzuwa.
Oto mnie krzepi i odradza
spokój bezgrzeszny i słoneczny,
niczym mi nawet śmierci władza,
bom nieśmiertelny, bom ja wieczny.

I wzięto ciało me w obcęgi,
i na kawały je szarpano,
a źródło mojej wszechpotęgi
wciąż bije strugą zwierciadlaną.
Wrzucono ciało moje w płomień,
tysiąc żmij krwawych po mnie płąsa
nie wyrwie z rajskich oszołomień
żar, co mnie wściekłem żądłem kąsa.
Szczerniałe, krwawe szczątki włoką,
na pień, pod miecz mi kładą szyję,
a głowa, tryszcząc z żył posoką,
jasnym uśmiechem woła: żyję!

OBUDZENIE

Otwieram źrenice
i na czarny podnoszę je krzyż,
co nade mną wyciąga ramiona,
i bolesny skurcz chwyta mi serce,
i zaziemskie trzepoczą tęsknice,
i na skroń moją z ramion tych spływa
cały ziemi tej ból,
i ku smutnym ma litość się zrywa
z mej pustelni, z samotnych mych cisz...
O, wyryty głęboko mam w sercu
czarny krzyż...

I zwracam me oczy
na zwieszoną nad twardym mym łóżem
symbol – łódź:
– wszystko kona i wszystko przemija!
taki krzyk łka nad życia bezdrożem,
łka – na próżno,
nie uciszyć go czynem stalowym,
ni litością jałmużną.
Wszędzie zamęt i sprzeczność,
wszystko kona i wszystko przemija –
oto w łodzi łabędziej
odpłynęła słoneczność...

A z otchłani męczarni
wypromienia się jasność,
i okala stygmaty,
i po skurczu bolesnym
wszechpotęgą rozszerza się serce,
cichą wolą obiady

całe światy ogarnia,
i zamiera męczarnia,
i przeradza się w cichą słoneczność,
i wciąż głośniejsz odzywa się we mnie
nieskończoność i wieczność.

EKSTAZA

Źródło najczystszych wyanieleń,
źródło rajskiego zachwycenia...

Przedemną cudnych sadów zieleń,
złoto owoców je spłomienia.

Wokoło mnie szafiru ścieżka,
na nią spadają lilii deszcze...

Tu oto szczęście wieczne mieszka,
tu oto ekstaz słodkie dreszcze.

Ja idę, płynę wśród szafiru,
tkwi we mnie potęg złota lanca

i od zenitu do nadiru
przestwór melodią rozbrylanca.

Niema grzechowej we mnie skazy,
cicho dzwoneczki srebrne dzwonią...
Wśród nieskończonych cisz oazy
poję się wieczną sfer harmonią.

Szczęście, o, szczęście we mnie śpiewa,
to niezgłębione, to bezbrzeżne...

W szafirze lilii dżdży ulewa –
kłonią się ku mnie skrzydła śnieżne...

* * *

Długo cierpiałem. Pierś mi naboląła ...
Na niebie cisza błękitna, wiośniana ...
Niech raz odetchnę wolno i głęboko,
niech się na chwilę zamknie pamięć-rana!

Chcę roztopienia w szafirowej ciszy,
chcę burzy światła, złotych oszołomień...
Oto, jak długo upragniona łaska,
w zmęczoną duszę schodzi jasny promień.

* * *

Błogosławieństwo przesłodkie narkozy...

Dobrze wam stulić przeczulone liście,
wy, poranione, cierpiące mimozy,
marząc, że chwila przetrwa wiekuiście,

i przed obliczem niepojętej grozy,
ukryć się w głębi cudownej oazy,
której nie straszne wichury i mrozy,

gdzie bije źródło kryształne ekstazy.

Dobrze zmęczonym oczom mocą złudu
omszyć szmaragdem nagie, szare głązy,
i cicho przeżyć w śnie godzinę cudu,

gojącą rany, ścierającą skazy.

Dobrze jest w jasnym zapamiętań szale,
potargać bólów nadludzkich powrozy,
i w upojenia zatonać chorale ...

Błogosławieństwo przesłodkie narkozy.

* * *

Błogosławieństwo rozmodlonej ciszy...

O zejdź na moje skronie rozpalone,
o zejdź na mięśnie wysiłem przekrwione,

falą kojących, upojnych haszyszy.

Zejdź w bolesciwą otchłań udręczenia,
spłyń w krzyk rozpaczny o chwilę wytchnienia,

któremu pomruk szydny towarzyszy.

Zejdź w orkan pracy dniem wielkiego święta,
i niech się stanie jasność wniebowzięta,

błogosławieństwo rozmodlonej ciszy.

CZEREMCHY KWITNĄ...

Czeremchy kwitną
na brzegu rzeczki w głębokim jarze...
Nad moją głową cicho, błękitno,
ważki się snują w rannym oparze.
Wchłaniając mocne kwiatowe tchnienia,
zmysły mam senne od upojenia.

Od upojenia senne mam zmysły...
Niby ramiona, nade mną zwisły
wiotkie gałązki, na skroń mi kładą
dłoń woniejącą, dłoń aksamitną,
i oblewają kwieciami kaskadą ...

Czeremchy kwitną...

SOSNA

Na turnicy niebosiężnej wzrasta
karłowata, pokurczona sosna,
i ze skrzypem modli się, by mogła
wzwyż wybujać silna i radosna.
Cicho prosi sosna karłowata
o potęgę gór zielone garby,
i o świeżą krasę perły rośne,
by się odziać w piękna wszystkie skarby,
i w wiosennej glorii odrodzenia
powstać młodej mocy wielkoludem,
i zachwycić zgasłe we łzach oczy,
opromienić szare głązy cudem.
Sokom ziemnym modli się, by mogła
płaszcz naodziać szmaragdowy, gęsty...
Czeka, słyhać w wichrze płacz jej cichy,
i gałązek jej łamanych chrzęsty.
Nad turnicą rozszalała burza,
krwawe nici wprzędła w czarne krosna
nocnych niebios wicher uderzył z gromem
i upadła rozplakana sosna.

A z wykrotem jej wydarty ziemi
błysnął skarb na mchów posłaniu rudem,
i zachwycił zgasłe we łzach oczy,
opromienił szare głązy cudem.

* * *

Idę w słońcu... Mknie chmara gołębia
W bezmiar, wzwyż... Drży igliwie na sośnie,
Szafirowa, przepastna lśni głębia
I aż ku mnie się zniża miłośnie...

Idę w słońcu... Promienna kaskada
W złototkane owija mnie płaszcze –
Deszcz jaśminu na głowę mi spada,
W sen zapomnień woniami mnie głaszcze...

Idę w słońcu... I męka zamiera...
Haft się snuje kwiecisty w pól krośnie...
Szafir głąb przepaścistą otwiera,
I aż ku mnie się zniża miłośnie...

* * *

Poniosę w gór milczenie,
w ciszę słonecznych hal
mą krzywdę bezlitosną,
mój bezgraniczny żal.
I niech się tam rozplynie
wśród kryształowych ech
goryczy i niewiary
zły, przemądrzały śmiech.

»IM«

NIE WIERZCIE MI...

Nie wierzcie mi, że twarz mam taką jasną,
nie wierzcie mi, żem cichej pracy wierna
ja jestem bunt, przed którym słońca gasną,
ja jestem szal, tęsknota jam bezmierna.

Nie wierzcie mi – jam dla was taka cicha,
mnie skuł wasz ból, mnie litość wyaniela,
lecz w głębi – tam – wulkanem pierś oddycha,
tam huczy wicher, piorunów grzmi kapela.

Nie wierzcie mi – bo wróżka jam zakłeta,
podjęłam trud – by w nim się zapamiętać,
bo ja mam moc nie tylko zrywać pęta,
mam także moc, by samą siebie spętać.

Nie wierzcie mi – służebna – jestem wolną,
ja mogę znów rozszać w huragany,
mnie litość gna w tę pracę, w tę padolną,
lecz żywioł jam, choć żywioł już spętany.

* * *

Chcesz-li dokoła widzieć ludzkie serca
korne, oddane?
Bądź jako chłodny, bezduszny szyderca,
jątrz bez litości ich ranę.
A kiedy od nich odejdiesz z pogardą
w turnic srężogi,
gdy ich odepchniesz dłonią złą i twardą –
oni ci przyjdą do nogi.
A kiedy kryjąc przed nimi pierś krwawą,
pluniesz im w oczy
tłum z niewolniczą, zachwyconą wrzawą
ciebie, mocarza, otoczy.
Tylko nie dawaj słodczy gołębi
sercom w popiele,
tylko nie otwórz nikomu swych głębi,
tylko nie kochaj za wiele!

* * *

Wyście w chwilach agonii na me usta otwarte
położyli pieczęcie, wyście słowa się bali,
które we mnie gorzało, niby piętno niestarte, –
wyście lilię wziąć chcieli rękawicą ze stali.

Wyście w chwilach rozpaczki szukające me dłonie
odtrącili surowo, tak surowo i twardo,
choć pode mną szumiały straszne wiry i tonie,
choć konało w szaleństwie serce skłute pogardą.

I opadły me dłonie, oniemiały me usta,
wicher wieczności mnie szarpie, bije we mnie grom chwili,
i ja nie wiem, dlaczego pierś ma chora i pusta,
i ja nie wiem, dlaczego wyście duszę zabili?

* * *

Upadałem, cierpiałem – i nie mogłem zapłakać,
mnie przygniotła tęsknota bezmierna.
I błagałem: choć jeden krzew niech głowę ocieni,
niech ukaze się jedna cysterna.

I błagałem: niech z wielu, wielu znanych mi ludzi
jeden przyjdzie w rozpacz godzinie,
i na ranie mej dłonie współczujące położy,
skrzydło-miłość nade mną rozwinie.

I choć jeden niech pojmie jasnowidzeń potęgą,
żem ja słaby i smutny ogromnie.
Ja wzywałem, czekałem – i krwawiłem się w bólu,
a nie przyszedł, nie przyszedł nikt do mnie.

I ja czekać przestałem – i poznałem, jak wiele
zamiast pszczół miodonośnych jest trutni,
i poszedłem z miłością bezgraniczną, ofiarną
ku tym, którzy są słabi i smutni.

* * *

Nie będę cziła waszego Baala –
Odrączę od ust mdłe litości miody,
Niechaj mnie wlecze w toń nawalna fala,
Drwię z burz – przeklinam błękitność pogody.

Waszych trosk sepia do mnie zbyt przywarła,
Waszych praw trąba stępiła me ucho,
Wśród was, o żywe trupy, jam umarła,
Lecz zmartwychwstanę – buntu zawieruchą.

Lecz się podźwignę – krwawych łun zarzewiem,
Lecz się odezwę – głuchym przekleństw gromem,
Wstrząsnę przed wami wnętrza zdartym trzewiem,
Plwnę w was tajonych upokorzeń sromem.

Prawa – ha, prawa! Świetne, złote cielce –
O hańbo! gięłam przed nimi me skronie.
I wysączyłam moc z żył po kropelce,
Mózg spowinięłam w dusznych mgieł oponie.

Ha! moc się budzi! Moc, co znieawidzą,
Silne, ożywcze, cyklonowe tchnienie,
Znowu w aktora przedzierzgnę się z widza –
znowu pohulam na szerokiej scenie!

Podniosę głowę – czołgałam się chytrze –
Teraz bój – straszny – lwia najeżę grzywę,
Porwę wam struny na przesłodkiej cytrze,
Rykiem wam przerwę melodie senliwe.

Ja żywioł jestem, wtłoczony w okowy,
Tama się zrywa – zawał tam się zrywa –
Zhuragałam się w jaśń – płoszę sowy –
Rznie im blask oczy – prężna ma cięciwa.

W zgrzytliwe widma tysiąc strzał wypuszcza,
Jak cielsko gadu, senna, połyskliwa,
U stóp mych mrowi się, przewala tłuszczą –
Drgnął grzmot podziemny – pierzcha... Jeszczem żywa

* * *

W miłości dusza ma rozkwita ...
Ku tym, co ranią mnie i depczą,
na mnie potępień kładą piętno,
na mnie źrenicą patrzą ślepczą –
idę, przybrana w biel odświętną,

w mirrę zapomnień upowita.

Ku tym, co, pyszni w swej niewiedzy,
niezrozumieniem mnie kaleczą,
dla łanów kłóśnych pragną między,
najgłębszej prawdzie mojej przeczą,

płynę, jak nurt, co rwie koryta.

Ku tym, co chwastem są i zielem,
i co po moc się do mnie garną,
spływam ze szczęściem i weselem,
z miłością cichą i ofiarną,

jak smuga jaśni złotolita.

Ku tym, co mnie miłością poją,
idę oddana, wierna, cicha,
daję w komunii duszę moją –
hostię z najczystszych snów kielicha...

W miłości dusza ma rozkwita ...

CHWILE

* * *

Płyną z klawiszów falami akordy,
płyną melodie ciche, idealne,
ciche, głębokie, jak błękitne fiordy,
zgrzytliwe, twarde, jak opoki skalne.
Ciemno-zielone palmy i arumy
stoją pod falą stężałą firanki...
W pokoju szerzą dziwny dech zadumy
dwa starożytne, smukłe, ciemne dzbanki.
W pokoju chłodnej, sztywnej atmosferze
krąży melodia i muska nam skronie...
Łamie dalekich, dziwnych śnień rubieże...
Za oknem zachód smugami krwi płonie...
Nas dwoje razem: melodia wyłkała
sny niespełnione, tęsknoty bezbrzeżne...
I w naszych duszach mroźna zima biała –
równie milczące, nieskończone, śnieżne...

* * *

Pokój w dębowe, ciemne boazerie
pełen jest ciszy w słoneczne południe.
W drzwiach aksamitne, wzorzyste draperie
splot ciemnych kwiatów naśladowują złudnie.

Patrzę na dziwne, zawile ich wzory,
i w nieprzerwaną wsłuchuję się ciszę...
Jestem bezwładny, jestem bardzo chory...
W bezświadości słodki sen kołysze

mnie barw przyćmionych harmonijna gama,
błysków południa przetykana złotem ...
Na ścianach błądzi, drży słoneczna plama...
Bawię się srebrnych pucharów migotem,

wyglądających z rzeźbionych zakrętów
starożytnego kredensu – i badam
okiem w suficie kształty ornamentów,
o gzymsie z liści dziwną baśń układa
Za oknem lśni się taras zaśnieżony...
Tam, na ulicach, gdzie się kończy krata ogrodu,
życia brzmia zgiełkliwe tony,
lecz do mnie żaden tutaj nie dolara.

W ciche, słoneczne południe zimowe
myśl moja wraca z nadotchłanej drogi.
Przymykam oczy i pochylam głowę
w bezświadości zapamiętań błogiej.

Lecz znów mi pamięć wraca nastrój zmienny,
a z nią udrękę, ból oczekiwania...
Cisza – i tylko duży zegar ścienny
godziny tęsknot powoli wydzwania.

* * *

Czy pamiętasz – w cienistej alei
nas smagały poświsty wichrowe,
i spadały z posępnym szelestem
nam na skroń ciężkie krople deszczowe ...

I spadały z posępnym szelestem
krople ciężkie rozpaczą nabrzmiałe,
brzozy stały stężałe od zgrozy,
dreszcz tęsknoty przebiegał pnie białe.

Czy pamiętasz – w cienistej alei
białokore chyliły się brzozy...
Skuł nas, zaklął w bezwładne marzenie
powiew zły, nieodpartej hipnozy.

Skuł nas, zaklął w bezwładne marzenie
swą hipnozą mrok ciemnej alei
Brzozy drżą, pochylają gałęzie...
Ciężki deszcz szemrze pieśń beznadziei.

* * *

Siedzę w cichym pokoju – ukojona, umarła,
patrzę w ciemność przez szyby, w żałobnicze welony
Z mego biurka drwi w śmiechu wykrzywiona twarz karła...

Tam, daleko, na trwogę odezwały się dzwony,
lecz nie budzi się we mnie skamieniała martwica,
i już świt mnie nie woła, łuną pragnień czerwony.

Rozjęczony dzwon upadł i runęła dzwonnica,
a nie budzi się cisza ta surowa, kamienna...
Znikło to, co przygnębia, znikło to, co zachwyca.

Czar magiczny mnie okuł – klątwa cisz bezimienna,
bujną siłę mą zmogli – i w złych dłoniach umarła.
Karzeł drwi – idzie długa, chłodna noc – noc bezsenna...

* * *

Jestem chora i siedzę nieruchomo w fotelu,
a fortepian wciąż płacze –
krzyk rozpaczyny łka, jęczy w każdym tonie i trelu.
Przesłaniają mi oczy długie, czarne woale –
o, za dużo już bólu...
Słodkich dźwięków mnie głaszczą, zatapiają mnie fale...
Tak mi pierś naboląła, tak zmęczyła się głowa...
Siedzę sztywna i cicha
i przesuwa się po mnie tonów smuga krepowa...

* * *

Chodzę w dużym, wilgotnym, strasznie pustym pokoju,
gdzie po kątach tynk z wapna zazielenił się pleśnią,
chodzę skuty, osnuty delikatnych snów pieśnią,
jako cichy brzęk szklany, jak podziemny szmer źródła.
A za oknem ze skrzypem uginają się drzewa,
chropawością mnie rani pomarszczona ich kora...
Z poczerńniętych gałęzi patrzy oko upiora,
beznadziejnie i ciężko dzwoni w szyby ulewa...

Moja dusza jest chora.

Mnie skowwały, oplotły delikatnych snów tkanki,
jak podziemny szmer źródła, jako cichy brzęk szklany...
Na bezludny ląd żalu mnie rzuciły orkany,
rzeczywistość daleko, przełamałem jej szranki...
A nade mną łopocze płaszcz kosmaty upiora,
co przyleciał z umarłych, skamieniałych w strach dzielnic...
Mgły się snują, jak dymy z czarnych żalu kadzielnic...

Moja dusza jest chora.

* * *

Patrzę z pustej wieżycy przez tęczowe witraże
na wesołe doliny i na bory sosnowe...
Aniołowie z szkieł barwnych chylą ku mnie swe twarze
i litośne spojrzenia... Siedzę w pustej wieżycy
i snuję bólu pieśń...

Przez barwiste witraże patrzę z pustej wieżycy,
Co dzień patrzę, jak zorze umierają w oddali...
A nade mną pochyla smutną twarz jasnolicy,
tęczopióry mój anioł... Patrzę w cichy skon zorzy
i snuję bólu pieśń...

* * *

Za oknem mym w noc ciemną szumią drzewa,
kołacze w dali stróż i skrzypią wrota...
Chrypiący wiatru świst Jęk przeczuć wwiewa
i nieprzytomna we mnie łka tęsknota.

I nieprzytomna we mnie łka tęsknota
i krwawym ślepiem łyszcza czarne lęki...
Śni mi się martwych kości pełna grota...
Tężeje ze mną wszystko w skurcz udręki.

Tężeje ze mną wszystko w skurcz udręki...
Gdzieś rzezi skon, gdzieś ziarno głuszy plewa...
W krzyk potworniej lekkie, nikłe dźwięki...
Za oknem mym w noc ciemną skrzypią drzewa...

* * *

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
kładę słabą ręką na wezłowie.
Ich nie rosił deszcz, ni łyzy kryniczne,
nie całował rzeźwy wiatr w parowie.

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne,
w na wpół ciemnej wzrosły gdzieś cieplarni,
śniąc, że dale, dale bezgraniczne
dają dużo światła, świeżej darni.

Róże zwiędłe, starcze, anemiczne
w grobowcową każę kłaść amforę
i zapalić światło mdłe, gromniczne :
niech dogasa w nim me serce chore.

BRYZGI

* * *

A gdy Wolność stanęła na progu więzienia,
wśród zgrzytu rdzawych rygli i skrzypu wierzei,
wtedy we mnie już wszystkie umarły pragnienia,
nie wziąłem z celi-trumny ni jednej nadziei.

A gdy Szczęście stanęło przed bramą mej duszy
i w czerń jej uderzyła promienista chwała,
odpowiedział jej pojęk rozpaczliwej głuszy,
bo stróż-miłość za bramą od dawna skonała.

* * *

Wiem, że nie zejdzie cud ucieleśniony,
kształt, nieprzytomnie w snach przywoływany,
wiem: nie położy dłoni ukojenie
na włos, wicherą dziką rozsmagany.
Wiem, że bez echa przebrzmi krzyk rozpaczy,
wiem, że nie spłynie cicha jaśń z oddali,
i jestem silny tern, że już nie czekam,
że już mnie pragnień męczarnia nie pali.

* * *

On wraca... Świat cały rozbrzmiewa
tą wieścią cudowną, radosną,
a szczęście aż pierś mi zalewa,
a skrzydła u ramion mi rosną.

* * *

Nie dałeś mi marzeń i snów lazurowych,
lecz dałeś mi czyny, kowane w granicie,
pisane w wyrazach ognistych, gromowych!

Dziękuję ci, życie!

Nie dałeś mi szczęścia, lecz dałeś wspomnienia,
zgasiłś me słońce, nim było w zenicie,
włożyłś w me usta majestat milczenia.

Dziękuję ci, życie!

* * *

Ja pragnąłem... Do ust mi podano
puchar mętnej, piołunnej goryczy.
Odrąciłem – nie mogłem... A we mnie
nieprzytomne pragnienie wciąż krzyczy.

Pić! schylono do warg poczerńiałych
złoty puchar pianistej cykuty...
Wróćcie gorycz – wypiję! Za późno:
trzeba sączyć do dna płyn zatruty.

Z KSIĘGI ZBRODNI

Kazano siklawie kryształnej
obracać tartaki i młyny,
i tamy wzniesiono potokom,
kierując je z turnic w doliny,
i białość przezczystą i śnieżną
splamiono płomiennym karminem,
odjęto podporę powojom,
marzeniu kazano być czynem.

* * *

Mój piękny ból, mój wielki ból,
w nim szczytnie dusza kona,
niby draperii ciężkich zwój,
opływa mi ramiona.

Lecz ja ten płaszcz, szkarłatny płaszcz,
królewskie mąk przepychy
odprzedam, byle chciał kto wziąć,
za szczęścia łachman lichy.

* * *

Ja wiem: nadejdzie wiosna,
słoneczny cud się stanie,
i zejdzie w moją duszę
przezyste miłowanie.

**DNIOM
ZMARTWYCHWSTANIA
(1921)**

I

DNIOM ZMARTWYCHWSTANIA

DUSZO MOJA KRESOWA...

Duszo moja kresowa, w szumie wichrów ocknięta,
Obudzona wśród jezior i borów –
Chcesz li w kraj ten wstąpiwszy stanąć znowu w dniu święta,
Jako siewca wśród czarnych ugorów?
Zrucasz szatę twą obcą, zrucasz z siebie jak pęta,
Słuchasz znów leśnych dum, rozhovorów...

Duszo moja kresowa, zapomniane kurhany
Przemawiają do ciebie skądś jękiem –
W tobie kilka narodów, w tobie szczep pomieszany
Woła kilku aż tęsknot oddźwiękiem...
Z piersi kilka aż pieśni i niejedne w niej rany –
Wiele bojów w niej gada zbrój szczękiem...

Duszo moja kresowa – w tobie obszar bezludny,
W tobie przestwór bez zgiełku i cieśni...
Gdzież masz iść, kogo zdradzić? Wybór trudny, o trudny,
Masz że skrzydła połamać twej pieśni?
Kilka szlaków powietrznych... Któryż, któryż ułudny?
Polska gdzież się zaiste cieleśni?

Duszo moja kresowa, wielokrotnym swym graniem
Stara Litwa cię nęci, urzeka –
Dasz że porwać się znowu ukraińskim wołaniem?
Przestwórz, przestwórz na ciebie tu czeka...
Z kilku dźwięków tych – akord – swym anielskim zjednaniem
Stworzy Polskę jedyną od wieka.

Polska – nasza to wolność, Polska – nasze to skrzydła–
Co nas cicho miłośnicie ogarną.
Polska – sen nasz potęgi, strojny w tęczę malowidła
Nad tą ziemią jeziorną, oparną...
Kresy, kresy szerokie, znów mnie przestwórz wasz sidła –
Słyszę zew... Idę już...Niosę ziarno ...

LITWA

Kraj, co od innych krajów bladszy,
Jakby wygasło w nim zarzewie,
Oczami wielkich jezior patrzy ...
Kraj, co o samym sobie nie wie...

Kraj, co sosnami skolumniony,
Szary zapada w szare morze,
Borom wywalczył swe zagony
I w własnym gubi się przestworze.

Kraj, w którym, choć nie widzi oko,
Jest niezmierna jezior głębia,
I co pod szarą swą powłoką
Kryje wzrok rysia, szpon jastrzębia...

W prastarych głazów naszyjniku,
W królewskich płaszczach srebrnej wody
Usiadł na własnym mogilniku,
Niezdolny z losem iść w zawody.

I tylko wicher tu przelata,
Płacz wieków w częstej gra ulewie ...
Kraj w sny zapadły, kraj – obiata,
Kraj, co o samym sobie nie wie...

INWOKACJE

I.

O ziemi, ziemi,
I czemu śpisz, i czemu śpisz,
Na twoich barkach zleniwiłych
Dźwigając nałogowo krzyż,
Gdy na twych łanach spustoszałych
Szkodliwe chwasty w bród się plemią!

O ziemi, ziemi,
Drgnij i do wielkiej wojny wstań,
Ruń we krwi fale ofiarnicze,
Własne tve wrzody kłuj i rań,
Na własne barki puszczaj bicze,
Niechaj się porwą ci, co drzemią!

O ziemi, ziemi,
Tak że ci wyjąłowił grunt,
Że bohaterów już nie rodzi!
Na wielki bunt, na święty bunt
Wstawajcie, ludy! Śmierć dowodzi,
Lecz zgony duchów nie oniemia...

O ziemi, ziemi,
I czemu śpisz, i czemu śpisz?
Idź przez pożarne krwi topiele,
Gdy w słońcu nie podążasz wzwyż,
Lecz prawdę żywą okaż w ciele –
Tak dawno chwasty złe się plemią –
O ziemi, ziemi!

II.

O duchu, wiewie prawdy wiekuistej!
Zejdź we mnie, jako w korne tve narzędzie,
Bym dzwonił nutą melodii przeczystej,
Pieśnią jedyną, jak mrące łabędzie.

Jeśli nie wytrwam, to pozrywaj struny,
Lecz niech nie przejdzie pieśń ma w łkanie ciche—
Jeśli uderzą we mnie tve pioruny,
A nie wytrzymam – skrusz narzędzie liche.

O słońce, niechaj twoja złota łaska,
Jak zlepek gliny, mię żarem obarczy,
Niech mię hartuje, niech mnie nie potrzaska,
Abym podnóżem stanął twojej tarczy.

Jeśli nie starczy hartu w mej skorupie,
Jeśli się topić zacznie pancierz szkliwa –
Skrusz mię i spopiel – na zwęglonym trupie
Niech się ustawi moc twoja straszliwa.

III

Bądźże radosną, o Ojczyzno,
Choć płaszcz tragedii cię owija.
O rolo, rolo, bądźże żyzną,
Choć twoje ziarna mróz zabija.

Wszak wiecznaś ty, o miłowana,
Poza tragedią jest, co wieczne.
Jak w złote wieńce zbóż ubrana
W twoje zwycięstwo ostateczne –

Płyn w twej potęgi aureoli
Ponad ciemności, ponad mglistość
W każdym uśmiechu naszej woli
Jest twego bytu oczywistość.

IV

Jakżeś ty bólem przebogata,
Jakżeś, o matko, nim mocarna,
Z ran krwawych cała twoja szata,
W twych oczach smutku otchłań czarna.

Kocham twą mękę, tve stygmaty
Biorę na stopy me, na dłonie.
Kocham tajń czystą twej obiaty,
Kocham cierń ostry w twej koronie.

I krzyżem twoim barki żłobię,
Kocha ten ciężar moje męstwo.
Lecz ponad wszystko kocham w tobie
Przyszłe a bliskie tve zwycięstwo.

NIE WYTRZEŻWIAJCIE

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu, –
Niech jak meteor, męczeństwami krwawy –
Wśród ciężkich, mętnych świateł korowodu
Mknie, jako symbol wiekuistej sprawy.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu –
Niechaj w rozdźwiękach zatoczystych szau,
Niech w szarpaninach bolesnego głodu
Wyłoni z siebie postać ideału.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu –
Niechaj wielkości nie odda za sytość,
Ni przodownictwa w światłościach pochodu
Za próżnej, nędznej władzy znakomitość.

Nie wytrzeźwiajcie wy mego narodu –
Niech ponad ziemią rozwinąwszy bary
Krzyż, wparty w krańce wschodu i zachodu,
Podźwignie w imię cudu i ofiary!

SKRZYDŁA

A gdy patrzę na wszystko chore, słabe, złamane,
A gdy wczuję się w każdą dolegliwość i ranę,
To się moja potęga w wielkie skrzydła rozwija:
– Chodź tu do mnie, pod pióra, dziatwo błędna, niczyja.
I w dwa skrzydła niezłomne, jak miłości półkole
Opasuję ich wszystkie utęsknienia i bóle,
Miętko tulę ich głowy pokrwawione, zmiążdżone,
Na ich skronie oplwane kładę pieszczot koronę.
Iść w wysokość, w wysokość! Wasza noga się chwieje?
A więc dla was rozpostrę mocnych skrzydeł zawieję–
Na mych skrzydłach – nieść będę was do góry, ku Bramie –
Nieść was będę, dopóki – brzemień skrzydeł nie złamię.

NA PÓLNOCY

W dalekiej dali, na północy
 konam samotnie, konam długo.
Idzie żal cichy, żal sierocy
 do mej ojczyzny łzawą smugą.

Noc bezmiesięczna w me konanie
 patrzy ślepiami wydartemi. . .
Szepczą błagalnie : – Nie daj, Panie,
 obcego grobu w obcej ziemi.

Biedny mój zewłok choć po zgonie
 niech w miłowanej śpi ojczyźnie . . .
Choć jednym kłosem na zagonie
 ziemię rodzimą niech użyźnię.

Dzień już nie wstanie po tej nocy,
 dzień z mgłą posepną i szarugą . . .
W dalekiej dali, na północy
 konam samotnie, konam długo.

LECZ TWE SERCE MIĘ POZNA, OJCZYZNO!..

Dobrze wiem, o Ojczyzno, Ojczyzno,
Ze od swego odtrącisz mię łona,
Bo twa pierś chce zarosnąć już blizną,
A pierś moja – za ciebie skrwawiona.

Ty w świątyni twej znosisz kramarzy,
A ja na nich skręciłem mój rzemień.
I gdy tobie gwar syty się marzy, –
Trwam wśród groźnych, śmiertelnych oniemięń.

Wiem, – wyżeniesz mię precz na wygnanie
I zapomnisz o synu – wygnańcu . . .
A gdy, słysząc przyszłości wołanie,
Znowu stanę na przednim twym szańcu, –

Wiem, ach, wiem już bez złud, bez omamień,
Że nie strzała to wroga zaświśnie: –
Z ręki brata wyleci ten kamień,
Z pod którego serdeczna krew tryśnie.

Wśród dalekich stepowych ukrain
Przednia straż cała w boju polęże,
I prastary ucieszy się kain,
Że złamane już prawdy oręże,

I że swym skrytobójczym pociskiem
Zemście wroga dopomógł tak snadnie . . .
Będzie kupczył pochwytnem i blizkiem,
Sen potęgi dalekiej upadnie . . .

Lecz ja wiem : – kamionuje, frymarczy,
Swojsko zdradza, pleśnieje ojczyście –
Li Ojczyzny mózg zémiony i starczy,
Lecz nie serce jej, młode wieczyście.

Przemądrzały twój mózg mię odrzuci,
Lecz twe serce mię pozna, Ojczyzno;
Przyjmie głąb twa każdego, kto wróci,
Przepłynąwszy nad twoją mielizną.

Nie wie głąb twa o męcie i pianie!
Gdy mię cios z ręki bratniej ugodzi, –
Ty, Ojczyzno, nie winnaś tej ranie!
I cóż miłość mą cios ten obchodzi?..

DO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

A kiedy pośród bitwy kula ci zaświszcze
I walki upojeniem rozszerzą się płuca,
Pomnij, żołnierzu, idąc przez krew i przez zgliszcze,
Że nie tylko Ojczyzna z grobu się ocuca,

Ale wraz z nią idea wieków zmartwychwstaje,
W krasie, przed którą wszystkie barwy ziemi zbledną,
I musi oto kraj twój być nad inne kraje,
Idea i Ojczyzna stopią ci się w jedno.

Pomnij w walk huraganie, o polski żołnierzu,
Żeś z rodu cnych rycerzy i odkupicieli.
Tęcza nad tobą, świadcząc o światów przymierzu,
Złączy otchłań, co ludzi i narody dzieli.

Więc walczysz, wojsko polskie, o, wojsko skrzydlate,
Nie tylko o tve prawa i o tve granice,
Nie tylko o ojczysty zagon i twą chatę,
Lecz o wydartą niebu, cudną błyskawicę!

I będzie twa ojczyzna biała i bez zmazy,
Wymarzona w zachwycie jasna Pani Słowa –
Bowiem prawdy najwyższej mocarne rozkazy
Tchnie w czyny wola twoja, twa wola wichrowa.

RYWALKA

A gdyś mi go zabrała, o Nieubłagana,
Odjęłaś mym ramionom, odjęłaś mej duszy,
To na me usta wykwitł tylko uśmiech-rana.
I patrzaj: nawet łzami me oko nie prószy.

I ukląkszy przed tobą, rywalko okrutna,
Przycisnęłam skraj szaty twej do ust w podzięcie !
Wobec własnego losu nadmiernie rozrzutna –
Sama ukochanego oddałam w twe ręce.

Weź go sobie! Westchnęłam może? To nie skarga!
Niech ci stokrotnie miłość jeszcze, jeszcze wyzna!
W błogosławieństwie moja nie ustanie warga,
Albowiem ta rywalka moja – to ojczyzna.

TERMOPILE

Na Termopilach głucho i cicho,
Wszyscy polegli... Walka skończona.
Próżno wóz słońca ognistą szprychą
W twarze migota. Już nikt nie kona.
Szkarłatni śmierci beztrwożnej pychą
Leżą, jak króle... Zda się, korona
Rośnie z ich skroni. Leżą olbrzymi
Wąwóz, jak ołtarz, krwią ofiar dymi.

A za przełęczą Azjatów hurmy,
Mrowią się pośród zwycięskich krzyków,
Dmą skocznie flety, grzmią głośne surmy,
(Jak cichy greckich sen wojowników!)
Persowi zda się, że z miast już – turmy,
A w nich nikogo – krom niewolników.
Tryumf przemocy i tryumf zdrady
Święci się... Wśród Efiates błądy.

I między cichym pobojuwiskiem
A rozgwanymi Persów obozy
Stanęła Nike... Złotym połyskiem
Siad jej znaczony, jak górskie mrozy
Biała jej szata... Kogo uściskiem
Obejmie – tego nad śmierci zgrozy
Uchowa w chwale, tego uwieczni,
Na laur czekają dzisiaj waleczni.

I stała wielka, złocistopióra,
Lekko się chwiały laury w jej dłoni.
Czyliż Kserksesa dumna purpura
Wieńca zwycięzców mu nie nakłoni?
Stała... Wtem spłynie, jak biała chmura
Ku bohatera zastygłej skroni
I laur, ta chwały wieczystej krasa,
Ozdobił czoło – Leonidasa.

NOC ZMARTWYCHWSTANIA

Przedwielkanocna, cicha noc,
Pełna tajemnych czarów...
I schodzi ruch, i schodzi moc
W najgłębszy rdzeń konarów.
I krążyć w nich zaczyna sok,
I wiąże się pąkowie...
Rozrzuca noc błękitny mrok,
Jak welon na swej głowie.
Noc zmartwychwstania w rojach gwiazd –
Nad krajem pękła trumna...
Z otchłani wieków powstał Piast;
Tam idzie, gdzie kolumna –
Na której król wyciąga krzyż
Osłania nim Warszawę ...
I stanął Piast – wzniosł oczy wzwyż,
Przez srebrną gwiazd kurzawę
Na lekkich chmurach duchy trzy
Tu płyną, niby w łodzi...
A pełna lśnienie noc srebrem mży
Noc, która świat odrodzi,
W natchnionych dłoniach troje lir,
Trzy ponad czołem wieńce...
Zeszli, bo z kraju śmierci kir
Zdarli rozkuci jeńce.
Dziś wyszli wieszcz z koła mąk
Jako ich Pan z Ogrojca
I biorą liry do swych rąk
Powitać chcą Praojca.

PIAST

Ja, com aniołom Polskę dał,
Chcę wiedzieć, czy anielska
Rozkwita dusza w każdym z ciał,
Jak lilia wpośród zielska.
Ja, com rozmnożył chleb i miód,
Chcę wiedzieć, czy z myci) darów
Jasny i prosty wstał mój ród,
Jak kapa trzciny z moczarów.

MICKIEWICZ

Polsko, Ojczyzno moja, dokonań łańcuchem
Wiązaliśmy, co w tobie było wątłym, kruchem
Sercem mym rozszerzonym na całe miliony
Ogarniałem mój naród, by w nim był złączony,
Choć czuwaliśmy w górze w rozpacz i męce,
Bratobójcze na siebie powznosili ręce.
Dziś zmartwychwstającego z grobu ciebie witam
I o serce, mój ludu, o serce twe pytam?
Czy szerokie, jak kraj twój od morza do morza?
Czy z niego na wsze ludy rozbłyskuje zorza?

Czyli jest jako śniegi nieskalane, czyste?
Czy na wzór Twój i miarę urobione, Chryste?

SŁOWACKI

Pogrążonemu we śnie letargicznym
Śpiewałem tobie, byś zmartwychwstał w pięknie,
O mój narodzie! I znakiem runicznym
Ryłem zakłęcie na grobie, co pęknie –
Abyś się porwał lotem bezgranicznym
W szafir wieczności – aż oręż zaszczęknie

I wezwie na dół, na boje rycerne
Ramię ofiarne, bratu – słońcu wierne.
I zmartwychwstałeś – a gdzie twoje skrzydła?
I zmartwychwstałeś – czy miecz twój bez skazy?
O, w jakim cudne ciebie malowidła
Stroił – i w jakie prześpiwne wyrazy!
Czemużes jeszcze omotana w sidła,
W które cię wikłał wróg, gnąc pod rozkazy?
Czemu na tobie wstrętna, obca szata?
Duszo narodu, o duszo skrzydlata!
Naigrawaniem wolność dana tobie,
Polsko, boś ciągle krwawa i rozdarta –
Choć zmartwychwstała, jeszcześ wciąż w żałobie,
Choć odwróciła się twych dziejów karta.
Choć żyjesz ciałem, dusza jeszcze w grobie,
Niewyzwolona, chłosty jeszcze warta,
I póki z przewin swych nie zmartwychwstanie,
Będzie twe życie, jak długie konanie,
W górę, jak hostię, podnieś swoją duszą
O Polsko, innych nie naśladowaj ludów –
A ja nad tobą dziwne moce wzruszę –
Dam ci potęgę do podjęcia trudów
Niedoskonałość – najgorszą katuszę,
Zwieję ci z czoła mocą pieśni – cudów –
Będę bił w pierś twą Testamentu słowem –
Polsko! wstań państwem, ale państwem Nowem.

KRASIŃSKI

Na jeziorze lazurów
Wizja, wizja szła tęczowa –
Szła owiana tchnieniem nowem,
Prowadziła ją Królowa,
I w zaśnieniu, i w zachwycie

Uwierzyłem w słowo wieszczce,
Że gdy zejdzie, to w błękicie
TA, CO NIE ZGINEŁA JESZCZE.
Dawni wstali bohaterzy
Polem bitwy już Golgota –
Obok pełno ludzi-zwierzy –
Walczą mężni – tłum się miota
Tłum się miota obłąkany –
Ludzie-sępy na żer lecą,
A na ciele Polski – rany –
A zabitych kości świecą!
Ciebież widzę to, Królowę?
I zakrywam łzawe oczy –
Dni grobowe – dni godowe –
Jak skir, małość ciebie toczy.
Będzie Polska w imię Pana!
Powstań wielka, nieskalana,
Odrzuć, odrzuć szaty cudze –
Duszę, duszę twoją budzę!

TRZY DUCHY

Już obudzona z mogiły
Wyteźmy, wyteźmy siły !
Niech zmartwychwstanie do końca
We święto wiosenne słońca!

PIAST

Idźcie, zdejmujcie z bark krzyże,
Znak słońca wkładajcie w dłonie,
Ile jest cierni w koronie,
Niech tyleż pień brzmi na lirze.

TRZY DUCHY

Oto tam postać najczystsza
Odrodziciela i Mistrza

Strzeże podwoi Kościoła
Zgięta pod krzyża ciężarem.
O Panie, świt Ciebie wota.
Obdarowana Twym darem
Umarła ziemia się budzi.
Rzuć krzyż, wyciągnij do ludzi
Dłonie po gwoździach zgojone,
Skłoń czoło bez śladu cierni
Oto dziś szczęście marzone
Posiądą wraz z tobą wierni. . .

CHRYSTUS KRZYŻ DŹWIGAJĄCY

Jeszcze nie przyszła godzina
Bym z martwych wstał na tej ziemi,
Jeszcze tu cięży przewina,
Jeszcze zły chwast tu się plemi.
Gdy zmartwychwstaną tu dusze
I serca gdy zmartwychwstaną –
I ja me czoło osuszę,
I moje męki ustaną!
A teraz chociaż radosne
Na Alleluja brzmia dzwony,
Wielbiąc zbawienie i wiosnę –
Upadam pod krzyżem schylony.

TRZY DUCHY

Niegdyś Ukrzyżowana
Dziś sama krzyżuje Pana.
Już obudzona z mogiły,
Wyteźmy, wyteźmy siły!
Niech zmartwychwstanie do końca
We święto wiosenne słońca!

PO UKOJENIE

Otom przyszedł do ciebie, ty morze,
Lazurowe, echowe, bezbrzeżne ...
Ranne serce na tobie położą,
Spowiń, spowiń je w rąbki twe śnieżne!
Otom przyniósł z daleka
Do grających twych wód
Ciężkie brzemię człowieka –
Ponad siły mój trud.
Jako drzewo ze skał
Nadstawiałem me skronie pod grom,
Wicher walki mię rwał
Lazurowym o tobie mym snom
Wtórząc strasznie i dziko
Swą orkanną muzyką.
Prawdy głos, jako dzwon
Urodzony, by huczał i latał,
Zaduszony, wtłoczony w mą krtań,
Tak mi piersi skołatał.
Ledwo zrywał się głos,
Szeptął ktoś, tłumiąc struny bardonu:
– Ciszej, ciszej o ton,
Ciszej, choć o pół-tonu!
I opadał, jak w grad zbity kłós
Prawdy dźwięk,
Prawdy jęk.

Ale teraz już wstań, o, już wstań!
Jako okręt, co zerwał się z lin
Na bezdroże, bezdroże,
Pędzę w szal, pędzę w czyn!
Jak zmurszałej szalupie,

Stać kazaliście w płytkim swym porcie
Przeciw statków kupieckich kohorcie
Lecę – w drzazgi połupię,
Nędzne zerwę z was maski –
Niech was grzebią morszczyzny,
Niech przysypią was piaski!

Licz, o morze, me blizny,
Licz mych trudów stygmaty!
W męce, w żarach obiaty,
By dać słabym oparcie
Wydzierałem otchłani zażarcie
Dla nieb każdą z ich złud.
I kochałem, kochałem
Sercem, bólem nabrzmiałem –
To najcięższy mój trud.

Z Martwej zrodzon, ja żywy
Chcę spuściznę jej nieść.
Białopienne wy grzywy,
Szumcie, szumcie tę wieść!
Jakże w słońce pośpieszą
Ci, co wrosli w grobowiec?
Czyż bezwolnych z ślepoty rozgrzeszą?
Morze, morze, odpowiedz!

Śpi w was bunt, śpi w was grom,
Wasze dusze nie płoną.
Podchodziłem – i senny wasz dom
Owiewałem wichurą szaloną.
Błyskawicem wam krzesał z pod powiek,
By w was drgnęło, zakrzykło:
– Jam bohater, jam Człowiek; –
Lecz woleliście ścieżkę swą zwykłą

I spokojny wasz dach
Na ten wid, cały w skrach-

Lecz czasami, czasami
– Graj radością, o morze! –
Ktoś zachwyił się snami,
Zechciał latać w przestworze,
Ktoś się nie zlął ciężaru,
Dźwignął męsko, mocarnie
Myśl narodu i świata –
I jak burza, tak odtąd precz zmiata
Pleśń, nagrobki i darnie.
Moja krwawa w nim plama,
Moja męka ta sama.

Błyskam, ciągle gaszony,
Lecz śmiertelnie strudzony,

Piers mam chorą i ranną,
Miłowania nadmiarem,
Win wspólnością i mąk,
Które chcę oto nieść.
Morze, spowiń obszarem,
Mnóstwem fal, dobrych rąk,
Muskaj czoło me, pieść...
Ty błękitne, otchłanne
Z bark odejmij mi krzyż
I wyśpiewaj mi raz
W świecie mąk, w świecie skaz
Chwilę cisz, chwilę cisz...

PIEKŁO POLSKIE

*(Fragmenty z poematu)**Polak współczesny oprowadzany jest po piekle dni naszych przez Piasta Dantyszka herbu Leliwa, z poematu Słowackiego.*

I.

I powróciliśmy znów w kraj wygnania,
A nad nim krwawił się odblask pożarny,
Pełno tam wrzasku, pełno urągania,
Pierzchają słabi, jak spłoszone sarny,
Zaś silni mają czasy winobrania
Mrowią się tłumy. A w górze – cień czarny,
Na chmurach siedzi potwór kozłonogi,
Na rogu taniec wygrywa złowrogi.

Śmiechem lodowym iskrzą mu się oczy,
I jad i piana z ust żmijowych chlusta,
Okraczył chmurą wielką, jak grzbiet smoczy,
Otwarta jego pierś i jak dół pusta . . .
Tłumów korowód w jego złej pomroczy
Płąsa obłądnie. Na łożę Prokrusta
Rzucono ducha. W takt tej sarabandy
Dziko, ohydnie przytupują bandy.

Płąsa korowód. Tony coraz dziksze
W szal go smagają, jak różg razy z góry.
Tej masie zbitej, niby ziarnka w ikrze
Rość zaczynają wilcze kły, pazury.
Kozłonóg szydzi i – Nim światu się sprzykrzę
Poruszę ze dna cały męt natury . . .
Wolniście w czynach... Wieczne niebo milczy...
Tańcz, skacz i morduj – mój ty świecie wilczy.

Obręcz jedności przysła ...Z wściekłym krzykiem !
Kęsy z rąk sobie wydzierają ludzie.
Ten, co był wczoraj jeszcze niewolnikiem
Dziś każe innym iść w jarzmie, po grudzie,
I bat podnosi, z nienawistnym sykiem.
O dniu wolności, dniu szczęścia, dniu-cudzie,
Jad wlała ludzkość w czarę tego słowa –
Nadeszła wolność – lecz antychrystowa . . .

Wśród rzesz zwierzęcych pędzonych przez żądze
Wygnańcy polscy . . . Już nie głos Ojczyzny,
Lecz brząkające wiodą je pieniądze
Poprzez niziny wszelkie i krzywizny.
Rzekł Piast: – Surowo nieszczęsnym nie sędzę,
Co nieświadomie spijają trucizny,
Myśląc, że czystą orzeźwią się rosą.
Lecz oni wszystko to do Polski wniosą.

– Ciemężycieli już dosięga kara:
Miłość Ojczyzny w ciemężonych gnietli,
Aż się rozwiła w nich samych, jak para.
Zdusili płomień, który w nich się zetli,
Zostanie masa ponura i szara.
Już jej bezsilna miłość nie prześwietli,
Piec Mołochowy jest w piersiach kolosu
I nasz ład jasny zginie wśród chaosu. –

Idą te ciżby. Każdy niesie w ręce
Lustro i wielbi własne swe odbicie,
Jako bałwana. We świątyni wnęce
Sam się ustawia, woła praw niesycie.
– Z mojego prawa bicz na bliźnie skręcę,
Co mi przeszkodzą żerować obficie!..

Zda się, nie ludzie to, lecz ośmiornice,
Co ludzkość wyssą i zmienia w kostnicę.

Jest tu rozwoju łańcuch brylantowy,
A rozbłysnąwszy, kto się doń uczepli,
Ten się podniesie w świat większy, w świat nowy.
Lecz nietoperzy ten blask zbyt oślepi,
Więc go porwawszy, tłuszcza rzuca w rowy
I rów zasypie, i szczelnie zalepi.
A tak zgasiwszy nić wszechświata gwiezdną,
Stacza się z własnej woli w mrok i bezdno.

Nad nimi gra kozłonóg taniec wściekły...
Masy się kręcą w nieprzytomnym wirze...
Stójcie, o bracia! Czyż was już urzekły
Te gesty błędne i te ciosy chyże
Obalające innych? Świt powlekły
Chmury, świat cały stanął niby w kirze,
I rwie na strzępy wszechświata ośnowę
Rozpierające się „JA” wielogłowe.

I rzekł Dantyszek: – Ofiara się pali, –
Z pomocą na dół już runęły duchy –
Lecz ilu z pośród zbłąkanych ocali,
Któż wiedzieć może! Z potopu łąd suchy
Tak się daleko wznosi! Męką biali,
Znowuśmy hostie starli na okruchy. –
Dali niewoli wygnania, katusze –
I mało wrogom: więc struli nam dusze.

I ocięższe znowu boża ręka,
Aż z nas złe wszelkie naszą krwią wypierze,
Więc zejdzcie ku nam nowa straszna męka
Za nasze winy i upadki świeże ...
O Panie, niech już tych ciemnych nie nęka;
Otwórz błękitne Twe, świetliste dźwierze.
Wiem, jak iść w górę ciężko tym, co mali:
Mocą Twą z mętnej wyprowadź ich fali.

II

Trwał na modlitwie Dantyszek w pokorze,
Aż tu koło nas wyrzuciły fale
Polskiego ludu wielkie tłumów morze.
Patrzę: na rękach ich krew, jak korale,
Urągowisko w ustach, jako noże,
I obrożami potrzęsając w szale
Dziś zerwanymi, szukają, gdzie szyje,
Na które zemsta je kolejno wbije.

I tłum się kłębił – nikt nie szedł na przedzie,
I zapytałem: – Czemuż tak sierocy,
Któż tych bezdomnych przez ciemnie powiedzie?
Na to Dantyszek: – Narodu prorocy
U nas zmarnieli w nieszczęściu i biedzie,
Ich mocne słowo, jako kamień z procy,
Padało zawsze nie dosięgłszy mety,
Bo światłem rządzić powołano krety.

Patrz, tam rdzewieją ich harfy złociste,
Z rąk ich stęsknionych zabrane przemocą,
Milczą zakłętę melodie wieczyste,
A twórcy, groźną otoczeni nocą,
Próżno w niej zjawy wzniecają ogniste,

Bo oto sen im każdy zgniotą, zbłocą;
Przygwożdżą szydem, nienawiścią zgaszą,
I śpiewne dusze oniemia, przestraszą.

Bo miłość twoja zawsze, o narodzie,
Była do krzyża dodawanym świekiem.
Marniał Mickiewicz w nędzy, trosce, chłódzie,
Był wam Kościuszko zbyt czynnym człowiekiem,
U nas, zaprawdę, twórców chleb nie bodzie,
U nas nad żabim zwykli chuchać skrzekiem,
A zaś na wieszczów mocne pokolenie
Mamy jarzemne trudy – i kamienie.

Chodźmy tam dalej – widzisz czarne pola?
Widzisz tych białych, prowadzących pługi?
Tam ich popchnęła niechęć i niedola, Orzą ...
Dni szereg posępny i długi...
Trzyma ich duma, wzmacnia twarda wola –
O, znają dobrze miarę swej zasługi!
Orzą dozorcóm swym z twarzą opilczą ..
A harfy milczą – złote harfy milczą!

W narodzie milczą harfy! Cichy lament
Słuchać w powietrzu – to anioły płaczą –
Oto potrzeba podać pieśń – sakrament
Tym obłąkanym nędzą i rozpaczą,
Jedność trza wykuć i uciszyć zamęt,
W przepychy ducha ubrać garść żebraczą,
Co tu bezradna stoi pośród zgliszczy...
Naród, co własnych swoich twórców niszczy.

Te odebrane harfy i zamknięte
Czasami skarżą się najcichszym tonem,
Gdy wśród nich wionie tchnienie niepojęte –
Wówczas dreszcz jakiś przejdzie nad zagonem,
Gdzie ciężko orzą te postacie zgięte –
Z pod pługa wschodzą białych lilii pęki –
I mrą pod ostrzem ... I konają dźwięki...

Lecz dzień ten przyjdzie... Odemkną strażnice,
Gdzie harfy drzemią... od pługa pieśniarzy
Wwiodą... W nieb zgasły myśli - błyskawice,
Tak długo w mroku, zdała od ołtarzy
Na światło wieczne oślepyły źrenice,
Żaden już harfy tknąć się nie odważy,
Ręce zgrubiały, skrzydła ich odcięte!
Całują z strasznym łkaniem struny święte!

Nie!., moc Anteja jest w ziemi rodzinnej,
Wielka pogoda przyjdzie razem z wiosną
Na ziemi, z mąk powstałej, już niewinnej,
Ubranej w szatę kwietną i radosną,
W girlandy róż i latorośli winnej
Duch znów się zbudzi w ciele krwią ociekłym ...
Harfy zadzwonią nad narodu piekłem.

II**PTAK – FENIKS**

PTAK – FENIKS

Na skałach czerwonych z piaskowca
Bieleje stos wielki, ofiarny,
A nad nim zwiśł obłok, jak łowca,
Co mierzy z zasadzki do sarny.

Wtem skrzydeł szelesty rozdarły
Oddali błękitne opony –
Na okrąg pustym umarły
Wyływa ptak cudnie barwiony.

Ma oczy, jak dwa chryzolity,
Na piersi i szyi – pąs kalin,
Jak złoto, w ogonie lśnią kity,
Jak szafir, różowy turmalin.

Zgrzybiały ptak w groźnej wichurze
Roztrwonił swe siły, swe loty –
I w drodze wciąż pióro po piórze
Upuszcza, jak drogie klejnoty.

Odpadną zeń tęcz pióropusze.
Zostanie na szydny śmiech godzin
Li ciało potworne, ropusze...
Odrodzin dla piękna, odrodzin!

I spoczął na stosie pod chmurą...
Przywołać z niej piorun płomienny? –
Czyż nie masz dróg innych, naturo,
Prócz męki, prócz ognia gehenny?

Więc stań się! – Ptak skrzydeł trzepotem
I krzykiem pioruny przyzywa –
I chmura strzeliła w stos grzmotem –
Oplotły go ogni przedziwa

Zgasł stos całopalny na skale...
Noc czarna rzuciła chmur grzywy
I rosy przezczystej opale
Na popiół wystygły i siwy.

A kiedy grot wschodu uderzył
W tę skałę zszarzała, jak ołów,
Prąd życia się zbudził, rozszerzył –
I powstał Ptak – Feniks z popiołów.

I powstał Ptak – Feniks w potędze,
I powstał w piękności rozkwicie –
Bo w cudu wpisane jest księdze:
W płomieniach odradza się życie.

ZWYCIĘSTWO

Wielka Twa dla mnie, o Panie, pogarda,
Byłem w Twych oczach za słaby, za marny,
By zaciężyła nade mną dłoń twarda,
Byś mię na chleb Twój zmełł pomiędzy żarny.

Komu zaufasz w odwadze i mocy,
Tego odznaczasz wielkością brzemienia,
Stygmatem bólu wieńczeni prorocy
Dźwigają w górę ludzkie pokolenia.

A Tyś mną wzgardził, a Tyś mnie ominął,
Odmówił łaski ciężkiej, długiej próby,
I zawstydzony duch mój skrzydła zwinął,
Że już z męczeństwa nie odniesie chwały.

W bezbolesności nędzy – pogardzony –
Zbieram raz jeszcze niezłomność i męstwo.
Nie odmów, Panie, cierniowej korony,
W niej me ostatnie, najwyższe zwycięstwo.

SIŁA

Dokoła krwawe pobojuwisko,
Jak zżęty kosą olbrzymią łan,
Nade mną czarne kruków kolisko:
Leżą...Uchodzi krew z moich ran ...

Ból łamie kości, ziębi i piecze,
Leżę, jak zdarty, rzucony płat,
Gniecie mię ciała brzemień człowiecze
I płynie we mnie choroby jad.

Lecz, jak płonący żużel w popiele,
Co dookolny przebija mrok,
Świeci w skrwawionym, osłabłem ciele
Mój nieugięty, zwycięski wzrok.

TANTAL

I rzucono mię aż na dno piekła. ..
Pod stopami mymi wody w bród.
Popękana warga moja, wściekła –
Gdy się schylę – nikną fale wód.

Nad mą głową pacanie i dojrzewa
Bezlik winnych, przenajśłodszych gron,
Lecz gdy ściągam dłoń, znikają drzewa
I ponuro patrzy w oczy zgon.

I zstępują ku mnie władne bogi,
Wciąż niesyte moich wiecznych mąk,
Tęgie ciała, barwne na nich togi,
A jam wysechł, szerniał, jako strąk.

Z męką trzewi siła klątwy rośnie...
Oni ku mnie wiodą lekki krok
I nie wiedzą, śmiejąc się radośnie,
Że zabije ich mój straszny wzrok.

Próbowany długo i drażniony
Grot śmiertelny ma w spojrzeniu głód...
Wbiję w twarze wzrok mój wyiskrzony,
Spiorunuję mych ciemiężców ród.

ATLAS

Na moich barkach trzymam glob –
 Wyteżam moc, wyteżam moc . . .
Gdy padnę, runie nieba strop –
 I będzie śmierć i będzie noc.

Straszne omdlenie moich bark ...
 Wyteżam siły – niema sił...
Głos nie wychodzi z suchych warg...
 Dajcie ocean – będę pił.

Daleki szept, daleki huk –
 Odbiegły świeże tłumy fal...
Rozwarła paszczę otchłan – wróg –
 Szalona rozpacz, ostry żal...

Ja muszę stać! Ja muszę móc!
 Ramiona drżą, na oczach kir –
Coś rwie się... Ból... Krew bucha z płuc...
 Runąłem ... Wkoło mrok i wir ...

BRZOZA

Brzoza siłę swych soków oddała listowiu,
By dziś oto mieć cudną szatę w poniewierce.
I rzuca swój jesienny płaszcz ze złotogłowiu
Wichrom na roztarganie, ziemi na kobierce.

A gdy rozdarowała swe piękno rozrzutnie,
Zostały najeżone, jak bagnety, różgi –
Wyostrza je na długie ze śnieżycą kłótnie,
Na ciosy nawałnicy i na słoty bluzgi.

PRACA

W ręku mam szczątek oskarda
Narzędzia nędzny ostatek,
Zniszczony w długim trudzie,
Złamany o pręty klatek,
Stępiony na zmarzłej grudzie...

Przede mną opoka twarda...

I walę w skałę i walę
Narzędziem tym ułomnym,
Przybytek chcę wykuć w skale
W mym utęsknieniu bezdomnym.
Próżno! Narzędzie się ślizga
Po niewzruszonej skorupie
I długo pyłem bryzga,
Zanim kawałek odłupię...

Narzędzie ty bezsilne,
Ułomne ty narzędzie,
Męczeńsko, bezpłodnie pilne,
Nic z twojej pracy nie będzie
Wszak nigdy ołtarz nie stanie
W tej płytkiej i ważkiej wnęce.
Twa praca jest jak konanie,
Jak długie konanie w męce...

A jednak walę i walę
W wytrwaniu głuchym, zażartem,
Aż padnę bez życia na skale
Z narzędziem złamanym, startem ...

POCHODNIA

Z moją pochodnią szczerozłotą
Przed czarodziejską stanę grotą.

Smagany gradem i szarugą,
Niosłem ją długo, o, tak długo,
Łamany troską i cierpieniem,
Rozdmuchiwałem ją mym tchnieniem.
Wśród szumiącego wrogo chaszczą,
Kryłem ją w zwojach mego płaszcza,
Czując się światła grą echową,
Wysoko niosłem ją nad głową.

Z moją pochodnią szczerozłotą
Przed czarodziejską stanę grotą.

A przez tej groty czarne wnętrze.
Przez lochy niskie, coraz krętsze,
Dojdę do jasnej cudów hali,
Gdzie wieczne piękno się kryszkali.
Gdzie wśród azuru stalaktytów
Płonie sens tajny wszystkich mitów,
Gdzie nienazwane, przeolbrzymie,
Przez wieków wiek szukane Imię,
Jako melodii dłoń pieściwa,
Samo się w duszę słodko wgrywa.

Z moją pochodnią szczerozłotą
Przed czarodziejską staję grotą.

Lecz czyli trud mój był za mały
Czyli mię mroki obłąkały.
Czyli zesłało moje tchnienie,
Czyli zgasło mię cierpienie –
Dość, że stanąłem w łzach, w tęsknocie,
Z czarną pochodnią w czarnej grocie,
Zgińcie, nadzieje moje, zgińcie!
Zbłąkam się w czarnym labiryncie,
Muszę znów wracać, światło trwalić,
Pochodnię zdobyć i rozpalić.
Z nią, przez ponowne męki trudu,
Dojdę do śnionej hali cudu.

Pochodnia zgasła. Z mą tęsknotą
Przed czarodziejską staję grotą.

Muszę znów podjąć drogę żmudną
Taką męczeńską, taką trudną.
Czując w źrenicach ciężar tramu,
Znikąd cichości, ni balsamu
Nie mieć i krwawić się w tęsknocie,
O czarodziejskiej marząc grocie.
O melancholio dróg ponownych!
Agonio tęsknot niewymownych !
Nim jedna iskra się wykrzesze,
Ileż krwi spłynie na pielesze!
Idę tak długo. Deszcze płaczą
Ciężkim znużeniem i rozpaczą.

Pochodnia zgasła. Z mą tęsknotą
Przed czarodziejską staję grotą.

SŁOŃCE

Oto płonę
Ja – słońce –
Mą ognistą koronę
I te blaski me – gońce,
Jako strugi posoki,
Rzucam światu,
Bo ciemny.
Chcę przeświecić opoki,
Przepromienić labirynt podziemny.

W uciszenie mię woła
Głęb modra –
Lecz spoczywać nie zdoła
Ni na chwilę promienność ma szczodra.
Oto spalam się, spalam,
Siebie światu rozdaję,
Siły twórcze wyzwalam,
A mnie żaru już, żaru nie staje ...

Oto życie wciąż rodzę
Ja – słońce –
Odrzuciłem koronę
I promieni królewskie draperie
Patrzą gasnąc, jak tam zakwitają
Najjałowsze pustynie i prerie...
Siebie światu rozdaję,
Kres tak szybko nastaje,
Już otwiera swe wrótnie
Czarna otchłań chaosu –

Lecz na tych, co zmierschają,
Promienieją rozrzutnie,
Przewalczając mrok losu,
Rodząc życiu obrońcę,
Chociaż samo śmiertelnie strudzone...

I spalając się, płonę –
Ja – słońce.

ŻAGIEW

Giniemy w zgrozie i bezwładzie,
Zakuci w straszną obręcz lodu –
Mróz na nas dłoń zabójczą kładzie.
A ja, wybrany do przewodu,
Stanąłem z żagwią ponad głową
I z woli siłą piorunową.

Trzeba dać ujście skutym siłom,
Wywieść je z martwych oszołomień,
W lodowym murze zrobić wyłom –
Płomień w mym raku, jasny płomień!
W lód wbijam żagiew, struga żywa
Z topniejącego muru spływa.

Żar gaśnie... Muszą przebić ścianą,
Muszą ją przebić ognia ciosem!
Ja sam pochodnią żywą staną,
Jako kometa z krwawym włosem!
W płomień obwijam szaty, ręce,
Na lód niktący padam w męce.

Tą śmiercią wyjście im okupię, –
Tak w ciężkim mem konaniu marzę, –
I przejdą oto po mym trupie
Zwęglonym, niosąc na sztandarze
Żagiew płonąca, jasną w herbie...
Płonę! I płonąc mur wyszczerbię!

MÓJ ŻAGIEL

Mój żagiel pęknięty, złamane me wiosła,
a przystań daleka, daleka...
Lecz brzegu nie pragnę i chcę, by mnie niosła
burzliwa, pieniaąca się rzeka.

Niech fala drapieżna zaleje me oczy,
i czółno i żagiel zachluśnie,
niech myśl mą odurzy, niech pamięć zamroczy,
lecz serce me w burzy nie uśnie.

Luń w usta me, falo! Nie stawiam oporu
na czółnie mym wątlým, zbłąkanem ...
Przyjmuję całunek groźnego przestworu,
dziś jestem mu jeńcem i panem.

Zalewaj, o falo, me oczy – pochodnie,
co śmiało zgłębiają odmęty.
Wyniosę nad burzę zwycięsko i godnie
mój żagiel, mój żagiel pęknięty.

WCIELENIE

O jakże w piersi uderza –
O, jak uderza i buczy
Pieśń ta – jak pocisk szermierza,
Pieśń ta – jak strasznej grom tuczy.

Budzi się dusza i zbroi –
Idzie na szańce, na wyłom –
Zwycięża, jest u podwoi,
Gdzie świt urąga mogiłom.

I wchodzi do wirydarza,
Gdzie rosną cierniste palmy,
Gdzie chór wybranych powtarza:
– Ocalmy ziemią, ocalmy!

Oto sznur biały się wije! –
Ich szaty na kształt obłoku,
A w ręku wonne lilije,
A zachwycenie w ich oku.

Oto swe skrzydła rozpostrą,
Oto mą duszę otoczą:
– O duszo, o duszo sestro!
– Ofiarną krwią rany broczą!

– Ofiarną krwią broczą rany!
– W tej krwi omytaś z przewiny!
– Wejdz w nasz korowód świetlany!
– Wejdz do niebieskiej krainy! –

I otoczyły i wiodą –
Kryształna struga nas wita,
Muzycznie szemrając wodą –
Pod każdym krokiem rozkwita.

Srebrzyste i białe kwiecie –
I cudną gwiazdą rozbłyska
Dróg naszych lśniąco zamiecie –
To nowych globów kołyska.

I skrzydeł dwoje mi rośnie.
I taka lekkość w mym ciele.
Śpiewają chóry radośnie:
– Aniele, czysty aniele!

I oto jestem bez skazy –
Opadły pęta z mej woli –
O błogość, błogość ekstazy –
Błogość tak wielka, aż boli.

Szczęście, co cięży tak skroni –
Jako złocista korona –
W szafiru bezdennej toni –
Wieczność otwiera ramiona.

Wieczność do łona przygarnia
I z martwych wskrzesza potęgą –
Rozkosz, ofiarna męczarnia –
Tu w jeden akord się sprzęga.

Z nas rodzi tchnienie wieczyste
Myśli ogromne i boże,
Co jako słońca złociste
Kreślą orbity w przestworze.

W oślepiającym słońc wirze
Lecimy sami jak słońca
I w rozśpiewanym szafirze
Jesteśmy pieśnią bez końca.

Oto zniżamy swe loty
Ku ziemi – skrwawionej ziemi
I poszum ludzkiej tęsknoty
Zwiewamy skrzydły białemi...

Przemogła... Serce mi drgnęło
Szaloną żądzą ofiary...
Runąłem w dół... Spełnię dzieło...
Zapalę duchów pożary.

I będę szedł – jak anielska
Pieśń, co niebiosą przybliża –
I będę rwał szkodne zielska –
A nie poskąpią mi krzyża.

Jako wołanie rycerza,
Jako ten wiew cudotwórczy,
Co wszelką jasność rozszerza,
A mrok precz żenię i kurczy, –

Takim mój głos tutaj będzie –
I takim życie me święte –
Idę – i niosę orędzie –
Czyste – więc będzie przyjęte.

III**MATER – MATRI****MATKA ŻOŁNIERZA**

Matko, przed Tobą leżąc krzyżem,
Wznosiłam modły błagające,
I niemi, niby dzwonów spiżem,
Biłam w niebiosą Tve milczące.

I taka była moc lamentu,
I krzyk rozpacz i żałoby,
Że się zrywały z firmamentu
I w otchłań się toczyły globy.

I ziemia w swych posadach drżała
Na ten okropny krzyk matczyny!
A jednak – Tyś nie wysłuchała,
I zginął, zginął syn jedyny.

O Matko Boża, krew na twarzy
I pierś bagnetem cała zdarta ...
Litosna, próżno u ołtarzy
Czuwałam, jak bezsenna warta!..

.....

– Dłoń wyciągałam, byś się wsparła ...
Nie czułaś... Byłam w Twym pobliżu ...
Rozpacz i Moją pierś rozdarła,
I Mój Syn skonał – tam, na krzyżu ...

MATKA – NAJEMNICA

Matka – nędzarka, najemnica
Żnie cudze żyto na zagonie –
Serce obsiada żal – martwica,
W sercu, jak ogień, rana płonie.

Żnie. Cicho, cicho sierp podzwania,
A kłos się ściele i szeleści,
I ona, jak ten kłos, się słania,
Jak kłos, ugina się w boleści.

Pracują dłonie jej ofiarne...
W chałupie same tam ostały:
Dziewczynka, co ma oczy czarne
I ten najmłodszy, wątlę, biały.

Modli się z głębi: – Matko Boża,
Osłoń bezbronne małych głowy,
Stań ponad niemi, jako zorza,
Rozpostrzyj płaszcz Twój szafirowy.

Złe wkoło, jako smocza paszcza –
Odpędź złych ludzi, zakryj studnię,
Osłoń je połą Twego płaszcza...
...A niechaj posną mi w południe ...

.....

Południe rozżarzone, parne,
W chałupie śpią maleńkie, bose:
Dziewczynka, co ma oczy czarne
I chłopię wątlę, Inianowłose.

I oceniając drobne głowy,
Nad niemi stoi, jako zorza,
Rozwiawszy płaszcz swój szafirowy,
Przesłodka, cicha Matka Boża.

ZWIASTOWANIE

Na Anioł Pański dzwon uderza,
W łunach gotycka płonie wieża.

W domku ubogim, w lichej celi,
Oko czystością się weseli.

Przez okno widać kraj daleki:
Bory sinawe, wstęgę rzeki,

Co dziką górę opierścienia,
I na niej zamku pierś z kamienia.

Na Anioł Pański dzwon uderza:
Klęka Maryja do pacierza.

Przez okno w ramie z winogradu
Pieśń modlitewna wpływa sadu,

Bzy się kołyszają słodką wonią,
Na podniesienie lilie dzwonią.

Zawiewa lekkim tchem milczenie,
Trwa zachwycenie, zachwycenie . . .

I przed nią anioł biały stanie:
– Ave Maria! – Zwiastowanie...

– Bez krwi upojeń; bez krwi głodu,
Poczęty kształt twojego płodu.

-
- Wołaj usilnie, proś ofiarnie:
Zbawiciel – duch s'€ do cę garnie.
- Niech w twoim sercu, jak w świątyni
Świętysz się jego duch uczyni.
- Potężniej! Moce twe olbrzymie
Mają Nieznane oblec w imię.
- Otoś świątynią, która gości
Kształt twej tęsknoty, kształt przyszłości.
- Pójdą na marne ducha dary,
Gdy nie dotrzyma duch twój miary.
- Z niewiast wybranaś ty niewiasta:
Kształt stworzysz, który cię przerasta.
- I hojną będzie twa zapłata:
Śmierć Jego dla zbawienia świata.
- Módl się o Niego, módl ofiarnie:
Z męką go wydasz na męczarnie ...
- „Niech podług słowa mi się stanie”!
Ave Maria! Zwiastowanie .. .
- Na Anioł Pański biją z wieży ...
Piersz szczęściem bólu się rozszerzy ..

DZIECKO

W mym domu szczęście – cicho, cicho –
W mym domu gość.
Wszedł duch w stajenkę moją lichą,
By na mym łonie ożyć, rość, –
– Krew ze krwi mojej, z kości – kość –
Bytuje dziecię.

Nie płaczcie – jasno jest na świecie, –
Śmiech mego dziecka, śmiech wesela
Duszę ze wszelkich skaz wybiela.

Oto naczynie, w które zlana
Pokorna ducha mego praca –
I pieśń ma każda niedograna,
Niezagojona każda rana
W nim się rozszerza lub zatracą.

Zesłało ciało me – narzędzie – .
I odejść muszę czasu żniw –
I miało zginąć me orędzie,
Aż stał się dziw:
Nowe w łańcuchu jest ogniwo,
Co wieść podaje duchom żywą.

Oto bez troski duch mój spocznie,
Odda zdobycze swe – wyrocznie
Do nowych rąk.
Błaga żarliwa ma modlitwa:
– Niech go zwyciężcą ujrzy bitwa,
Niech się nie lęka mąk! –

Iskrami ducha ciebie rzeźbię,
Pókiś pod chronem moim – mały –
I chcę, byś w twardej kształtów krzeźbie
Miał od mojego tęższe ramię,
I potężniejsze skrzydeł wzloty –
I stanął tam, gdzie mnie nie dano
Dojść, – aż przy bramie.

A teraz jutrznię swą zorzaną
Śnij, próżen troski i tęsknoty,
Nie wiedząc nic o pięcioksięgu,
Co masz ludzkości pisać – nowy, –
W mojej miłości jasnej kręgu
Śmieć się radośnie – mój różowy...

Zszedł duch w stajenkę moją lichą,
By na mym łonie ożyć, rość.
W mym domu szczęście – cicho, cicho -
W mym domu gość ...

MODLITWA ZA DZIECI

Matko boleści, Matko litości,
Przez macierzyństwa szczęście i mękę,
Błagam, Ty, pełna bożej miłości,
Nad mymi dziećmi wyciągnij rękę.

Odpędź choroby, odpędź pociski,
Wśród walącego się ocal domu,
Nie karz mnie w dzieciach, oszczędź kotyski,
I mnie, mnie tylko nie żałuj gromu.

Niech Twoje oczy czyste, świetliste
Wkoło nich zgaszą brudną pożogę,
Daj im bezgrzeszność – a Ty, o Chryste,
Rzuć wszystkie ciernie na moją drogę.

Choć jest potrzebny ból i obiaty,
By się rozwinął duch, wyaniecił,
Lecz to są śniegu płateczki, kwiaty,
Jeszcze nie trzeba, by ból je bielił.

Niech rosną w szczęściu, niech rosną w słońcu,
Daj im bezgrzeszność, daj światła dary,
Niech nic nie wiedzą o dzieła końca:
Że mają spłonąć jako ofiary.

Później, gdy wzrosną, daj moc Twą, Chryste,
Twój uśmiech szczęścia w chwili Golgoty –
Lecz teraz, póki maleńkie, czyste –
Od tych główeczek odpędzaj groty.

IV PRZEMIANY

ŻONA BUDDY

Jaśminy kwitną...
Zapach subtelny, przenikliwy,
zmieszany z rosą, wsiąka w ciszę.
Na tafli stawu połyskliwej
kwiecie nelumbó purpurowe
majestatycznie się kołysze.
Gwiazdy ogromne, południowe,
pieszczotą drżąca, czołobitną,
muskają płatki ich cudowne.
Szemrze asoki liść powiewny,
akacja zwiesza słodkie grona.
Tam jakiś stary olbrzym drzewny
dźwiga na sobie rój motyli,
czy orchideę pasożytną.
Tęsknoty ciche, niewymowne,
w pierś się wślizgują – skroń się chyli
pragnąca, senna, odurzona. ..
Ta szalona,
ta potępieńcza noc wiosenna,
w swym rzeźwym chłodzie tak płomienna!
W obramowaniu dwa filary
na tle powietrznym, lekkim, nocnym,
ukazywały w skrach klejnotów
postać samotnej Jazodhary.

Lśniły wśród włosów jej uplotów
perły cejlońskie – łyzy, zrodzone
w długim cierpieniu bezowocnem,
A szaty ciężkie, złotolite,
tęczą kamieni drogich szyte,
na próżno w sztywne swe opony
zakuły piersi ból tajony.

Pluskała w świetle gwiazd fontanna...
I pierś tak wiecznie, wiecznie ranna,
piers tak nieludzko umęczona,
poczuła młode tętno wiosny...

I wyciągnęła w dal ramiona
z niepowstrzymanym, strasznym łkaniem:
– O mój potężny deodarze,
nie mogłam ciebie miłowaniem
Zwalić zwycięsko pod me stopy,
ani cię okuć mym uściskiem.

Twoich dalekich snów miraż
wiodły cię w puszcze, przez roztopy,
ponad piaszczystym usypiskiem.

I Ty, przezczysty, wybujały
na skrzących wirkach Himalaja,
szedłeś przez grząskie ludzkie bagno.

Moją rywalką – nędzna zgraja
tych, którzy cierpią, tych, co pragną.
Lecz przezcz-że droga ich zbawienia
i oczyszczenia brudnych sumień
przez moje serce szła rozdarte,
przez moich też gorących strumień?

Lecz przezcz-że zdjąłeś z nich ciężary,
aby je włożyć tak bezwzględnie
na słabe barki Jazodhary,
która pod nimi ginie, wędnie?

Przez-że szczęśliwość ostateczną,
balsam na żądze ich rozżarte,
kupiłeś żądry mej zarzewiem
i bólu mego krwią serdeczną?
Męki mej ogrom nieobjęty
mękę twych tłumów równoważy.
Bezwłasnowolna jam obiata,
bezosobistej złudzie świata
rzucona ręką twoją, święty!
Ja nienawidzę was, wybrance,
których litosność jego darzy.
Stoimy – Ja i Wszechistnienie,
jako dwa wrogi, jak dwa krańce!
Powstanę groźna i mocarna,
jak przeciw światłu wstają cienia,
i będę niszczyć wasze ziarna,
wasze marzenne gmachy zburzę
i takim mrokiem je zaleję,
że nic ich więcej nie rozświetli.
Zgniotę was tak, jak wyście zgnetli
mojej młodości jasne róże!
Jaśminy kwitną...
Ta szalona,
ta potępieńcza noc wiosenna!
Tęsknota wstaje niezgłębiona,
wyciąga w dale swe ramiona
i klnie ofiarność twardą, szczytną.
Ta noc szalona, noc płomienna...
Jaśminy kwitną...

* * *

Sala posępna, jak grobowiec ...
Na macie siedzi Jazodhara

i słucha pilnie, co wędrowiec
długo w skupieniu przed nią gwarzy.
W zapadłych oczach jej się żarzy
ból – wyrzeczenie, ból ofiara
i ta niesyta żądza chciwa,
która po wieści wieść zdobywa
i Jego słowo – błysk wesela –
z korną miłością w duszę wciela:
– Temu, kto słuchał Sakya – Muni,
wszelaka rozkosz się spiołuni.
On wzgardził, w prawdę zapatrzony,
bogactw i władzy czczą ułudą
i jest dziś, jako żar zgaszony,
jako błękitna, słodka cisza,
bo już przewalczył Marę – wroga.
Tę łaskę daje szata mnisza,
ośmiokolejna dobra ścieżka.
– A jakkolwiek jest świątynia,
w której on duchem czystym mieszka,
a jakkolwiek jest ta droga,
gdzie najdroższego spotkać można,
tam, pokutnicza i pobożna,
pójdę – i spotkam go – w pokłonie
obejmę stopy, chwycę dłonie,
pytając ciężkich łez strumieniem,
niemą, bezsłowną męki mową,
czemu był gorzkim mem cierpieniem
i mą tęsknotą bezechową?
Niech bezgrzesznymi powie usta,
czemu bez niego świat tak pusty?
Czemu, choć gąszczar żądy wytną,
jednak co roku razem z wiosną,
z wonią szaloną i miłosną
jaśminy kwitną? –

* * *

Jaśminy kwitną...
Dzień wiosenny,
dzień rozkochany, dzień promienny,
rozesnuł cisze cisz błękitną.
Niebo, jak złota lśni kopuła,
pod nią wieczności dech się tuła.
A w dali śnieżne Himalaje
w zasłonie mgieł ametystowej,
jak tytaniczne stoją progi,
wiodące – hen, w zaświata kraje,
gdzie skon tęsknoty bezechowej
i dokąd wchodzą tylko – bogi.
Drogą szeroką i cienistą
dziś wkraczał w gród Kapilavattu
ten, co zbawienie przyniósł światu.
Czeredą cichą, uroczystą,
szli za nim mnisi. Ogień szału,
żądź ogień dawno zgasł w ich duchu.
Pod stopy padał im w podmuchu
wiosny różowy kwiat migdału
i akacjowe słodkie kiście.
Były radosne mnichów szaty
żółte, jak żółty odbłask słońca.
Na twarzach zanikł ból utraty
i była szczęśna wiedza Końca.
I szedł ten pochód prawdy żywej;
naprzeciw w smutnym majestacie
wyszła królowa w prostej szacie.
Jeszcze nie schłonał żar ofiary
straszego buntu Jazodhary.
W Buddę wpatrzona, drżała, bladła,
a w sercu chorem i zatrutem
ból wzbierał gorzkim, złym wyrzutem,

A mnichów ciche, jasne twarze
 lśniły, jak gwiazdy, jak ołtarze,
 i ukojenia słodka siła
 z dusz wyzwolonych na nią biła,
 brała w zakłęte swe kolisko.

I zrozumiała i odgadła,
 że była dal tak blisko, blisko.

Rzekła pół śniąco, pół na jawie:
 – Twojemu Dziełu błogosławię!
Otoś nakarmił Słowem rzesze.

Przyjmuję Dzieło twe prorocze,
 z twym Dziełem sercem się jednoczę.

Dotąd cierpiąca, pokutnicza,
 nie odnalazłam twego znicza.

Teraz, jak korzeń w ziemią, wrosnę
 w sprawą zbawienia. Przeklnę wiosnę!

Wtedy, jak struga świeżej wody,
 padło na raną zaognioną
 słowo pociechy i ochłody:
 – Znam każdą boleść twą tajoną,
 znam wszystkie bunty i rozpacze.

Byłem przy tobie w długie noce,
 w twe noce łzawe i bezsenne,
 byłem przy tobie w bezpromienne
 dni oczekiwań, dni sieroce.

I chociaż kroki me tułacze
 nie poszły nigdy w twoją stronę,
 lecz piłem zdała, jak nektary
 z lotosu śnieżnej, czystej czary,
 twój pierwszy krzyk, co wieczność pyta,
 twe piękno, które z mąk wykwita,
 zwątpienie, które pcha w bezbrzeża,
 mrok, który daje poznać słońce!

Kłęsał rozłąki ciężkie brzemię,
lecz dal, jak wstęgi modrej końce,
ciągle łączyła nasze dłonie.
I wtedy rwała się ta wstęga,
kiedy bluźniercza twa potęga
deptała słowy smutną ziemię.
I oto łaska posiadania
z bólu utraty się wyłania.
Niezamącona i radosna
w zwycięskich sercach naszych wiosna.
Rygle złamane już nie zgrzytną.
Dziwnym wieczności aromatem
łącząc nas z ciszą ciszą, z zaświatem,
jaśminy kwitną...

WOLA OFIARY

[Noc męczeńska, noc bez końca
do więziennej celi wpływa,
jak do wnętrza sarkofagu,
nim przycisnie go pokrywa].

CZAS

*Monotonnie, bezustannie
biją, biją me godziny*

WIĘZIEN

*Twe wahadło się porusza,
niby żądło u gadziny,
i potwornie sterczy z paszczy
razem mglistej i kamiennej.
Z kołychnięciem każdym nikt nieś
w jakiejś dali mrocznej, sennej.
Stój! Nie zbliżaj mej godziny,
przeraźliwe, złe widziadło!
Schwytam ciebie – i zatrzymam
– i połamię twe wahadło.*

[Pięść uderza w mur więzienny...
W oddaleniu bardziej mętne
znów go widać, znowu drażni
tykotaniem swym natrętne].

WIĘZIEN

*Coś majaczy – i wstrzymuje
oszałałe moje kroki.
Pod sklepienie słup wyrasta,
taki czarny i wysoki.
Tyś jest pierwsze z ogni w męki,
tyś jest pierwszy dreszcz bojaźni...
Nienawidzę cię, przeklinam,
ty – sromotne drzewo kaźni!*

SŁUP *Nie przeklinaj – w martwych włóknach
dawno wyschły żywe soki...
Wspólnych przyczyn cios obala
ciało ludzkie, klon wysoki.
Hej, wśród szumnych, szumnych borów
stałem – młode, rośnie drzewo.
Żółtkły liście moje w skwarze,
Zieleniały pod ulewą,
Hej, okropny, niewołany
padł na korzeń cios topora...*

WIEZIEN *Jedną kosą nas rąbała
okropnica, krwawa zmora.
Do otrutej zgonem duszy
wchodzi litość miłościwa.
Dla cię, sama beznadziejna,
życia pragnie i przyzywa.
Jutro, młody pniu klonowy,
miazga trupa ciebie splami –
dziś – ogrzewam cię mem tchnieniem,
dziś – oblewam memi łzami!*

[Obumarły pień zakwita
ponad głową umęczoną
i zaszumi pieśni – cisze
jasnych liści swych koroną].

SŁUP-DRZEWO *Cicho, myśl – cierpienie,
niech już spocznie, zaśnie,
glebie bezimienne
błyskiem ci rozjaśnią.
Tam, na tle błękitnem
cisz niepokalanych
płyną chmur gromady
błędnych, poszarpanych-*

*Wicher-ból je chtoszcze,
chtoszcze i rozrywa,
otchłań oceanu
próżno je przyzywa.
Próżno je przyciąga
etryczna głębia...
Wicher-ból je chtoszcze,
pali i oziębia.
Ani im na wieki
zniknąć w oceanie,
ni się rozwiać w eter,
w bezcielesne trwanie.
Niechże wichru-bólu
groźne skrzydła złamią,
co je szarpia w strzepy,
odrębnością mamią.
Niechże znajdą w spójni
słowo, moc zaklęcia,
niechże sobie nagle
rzucą się w objęcia,
i w ocean spłyną,
jako deszcze czyste,
w błogie nieświadome
szczęście wiekuiste.
W bezmiar ból rozpostart
swoje panowanie:
skronie ma w błękitach,
stopy w oceanie.
Błękit i ocean
rozdarł na połowy,
dzieli je, zakuwszy
w mocne swe okowy.*

*Kto rozpozna w dwojgu
jedną tajemnicę,
ten bólowi wydrze
siły błyskawicę.
Kto obali wołą
jego, wielkoluda,
ten przywróci na świat
pierworodne cuda,
i dwie głąbie spłyną,
znowu spłyną w siebie.
Zbawia ten, kto łączy,
wskrzesza ten, kto grzebie.*

WIĘZIEN *Coś się czołga z cichym świstem,
coś po ziemi w kłęb się zwija –
sznur konopny,
sznur okropny, sznur ruchomy, niby zmija.*

STRYCZEK *Twoją szyję giętką, młodą,
pojmam w pętlę, mocno zdławię,
pręgą w śmierci niezatartą
kark poczernię i zakrwawię.
I rozerwę z trzaskiem stawy ..
... strasznie, strasznie kości trzeszczą
Chciwie czołgam się ku tobie,
smętnie zwoje me szeleszczą.*

WIĘZIEN *Sam zarzucam śmiałą dłońią
sznur, co dławi i zabija,
ze spokojem w pętlę wchodzi
moja giętka, młoda szyja.*

[To nie sznur już, to girlanda
róż białością i szkarłatem
aksamitnie go okala
i odurza aromatem].

WIEZIEN

*Ktoś ty? Zerwać chcesz me róże...
Twym ubraniem – szare płótno,
na Twych dłoniach – ślad obręczy,
twarz od zbrodni masz tak smutną..
kat. Ja to szyję ci obnażę,
ja skrępuję gwałtem ręce,
wór zarzucę ci na oczy,
na twarz zbladła w buncie, w męce,
Lekko na dół sznur pociągnę –
patrz – mam grube, silne mięśnie...
Obojętnie będę patrzył,
jak się ciało szarpnie, skłęśnia,
jak się ugną, zadrżą nogi,
ciało w takt się zakołysze...
Krótki, ciężki charkot krtani
zaciskając sznur – uciszę.*

WIEZIEN

*Wola kata – gwałt mej woli,
tyś granica i konieczność –
tak cię widzę w świetle chwili,
niech mym światłem będzie wieczność.
Więc uparcie i męcząco
w straszną postać twoją patrzę ...
Ty się chwiejesz i przemieniasz,
twoje kształty coraz bladsze.
Coraz głębiej wzrok mój sięga
w twoją istność, w istność kata,
już nie z głuchą nienawiścią,
lecz z miłością cichą brata.*

*Cud! W tych rysach przemienionych
widzę rysy moje własne,
już nie straszne i ponure,
ale piękne, ale jasne.*

KAT *Tyś mnie odkrył i obudził,
każdy ból nas wspólnie boli.
Tam, w najgłębszej, cichej głębi
nie masz różnic w naszej woli.*

WIĘZIEŃ *O zaiste, w chwili śmierci
twoj się twarzy nie ulęknę,
jesteś kształtem mojej woli.
Ach, masz rysy takie piękne.'*

KAT *Twojej twarzy jam zwierciadłem,
twoja piękność we mnie płonie!*

WIĘZIEŃ *Tyś jest we mnie, a jam w tobie.
Witaj, bracie, podaj dłoń!*
*[Oto dłonie ich się zwały,
kształty zbladły i zwiotczały.
Kat z ofiarą – nikłe cienie –
w jeden tylko kształt się złąły].*

WIĘZIEŃ *Ktoś jest za mną – niewidzialny,
ktoś jest za mną – przeraźliwy...
Serce mdleje, włos się jeży –
niech me ujrzą cię żywy!
Nie chcę widzieć – oczy słonie –
lecz już czuję wzrok kamienny ...
On z czerności się wynurza,
z przeraźliwej i bezdennej.*

*Uśmiech straszny, niezatarty,
 uśmiech mroźny, nieczłowieczy,
 jako klinga w serce wchodzi,
 i przesywa, i kaleczy,
 i oniemia, ścina lodem,
 i czerwonym żarem parzy ...
 Jego płaszczem – kłęby mroku.
 Gra piekielny tryumf w twarzy. ..
 Wzrok mój gwałci – stanął w ciele...
 Zgroza, zgroza...*

ON

*Oto jestem,
 najgroźniejszy i ostatni.
 Więc z szaleństwem i protestem
 rwij się – przecz mi, krzycz: „on kłamie!
 „Ja się wzdrygam i buntuję,
 „ja cię zwalczę i przetamię,
 „precz ode mnie!”*

WIĘZIEN

*Pójdź, przyjmuję,
 i wyciągam nieoporne
 przez potęgę moją dłonie
 ku ostatniej mojej męce,
 co mnie zniszczy i pochłonie.
 I do piersi mej przyciskam
 ból bez granic – niszczyciela,
 stróża tajni, który w świecie
 wszystko mnoży i rozdziela.*

*[Z głębi mroku wynikają
 dwie słoneczne, złote smugi
 i jak ręce, w sen go kładą –
 bezpamiętny, jasny, długi].*

V.

CHWILA ŁASKI

CHWILA ŁASKI

Szara droga niejeżdżona, pusta,
Wśród wierzbiny leży na uboczu –
Na niej bruzdy, jak ściśnięte usta,
I kałuże, jak zawarte oczy.

I na biednej drogi szare kurze
Wyszła zorza jasna, jak wesele,
A z jej czoła opadają róże,
A pod stopy złoty szlak się ściele...

JA WIEM O SŁOŃCU...

Ja wiem o słońcu, wiem ...

Dalekie mokną rżyska,
Smagane chłodnym dżdżem,
Pośpnie droga śliska
Ślepiami kałuż błyska. .

Ja wiem o słońcu, wiem ...

Osnuty dżdżu bisiosem,
Jak pokutniczym gżem,
Las słucha w mżeniu chorem
Jak tną go w pierś toporem ...

Ja wiem o słońcu, wiem. .

Mrze pątnik wycieńczony
Pośród dalekich ziem,
W męczarni klnąc szalonej
Swój cel nieosiągniony...
Ja wiem o słońcu, wiem...

NIEBO

Płyną obłoki, lekkie sny
Gdzieś w zatracenie, gdzieś w odnowę...
Niewyczerpane w nich są łzy,
Płacze nużące i miarowe.

Oto zajęły nieba krąg
I wysypały skądś złowieszcze
Zwoje płomiennych, grzmiących wstąg,
Szklanych paciorków całe deszcze.

Za kłębem znika czarny kłęb –
Już wyczerpały się i giną –
I znowu lśni sklepienia głąb
Swoją pogodą ciemno-siną.

Wiele jesieni, wiele zim
Mrok ciebie będzie krył w oponę,
Lecz wszystko zwieje się, jak dym,
I błysniesz znów – niewyciężone.

Niech cię obłoki kryją, mgły
I chmury groźnie – piorunowe, –
Tyś ponad niemi, zawsze ty,
Niebo wieczyście szafirowe.

W KOŚCIELE

W kościele wieje cisza modlitewna
Aż pod sklepienia wyblakłe lazury,
A we framugach stare świątki z drewna
Na tłum surowo spoglądają z góry.

A biały Chrystus na tle czarnym płótna
Ukrzyżowanym swoim ciałem świeci,
I woła jego twarz śmiertelnie smutna:
Zawszem na krzyżu !..Przez tyle stuleci!..

Błękit sklepienia, jak ten płat zszarzały,
Rzucony ziemi z niebieskich obszarów,
I świece jako iskry gwiazdnej chwały,
Jak odbłask mrący kosmicznych pożarów

Swoim spłowieniem mówią o potędze
Barwy i blasku, – tak jak niec najlichsza
Przed oczy stawia różnobarwne przędze,
Jak ton w pamięci symfonie rozwichrza.

Duszna nabożność w powietrzu się ściele
Z zapachem zboża, chatnych dymów, potu
Stroje odświętne tak pstrzą się w kościele,
Jak rój motyli chętnych do odlotu.

Wełniaki w pasy, jak zagonów smugi:
Tutaj pas żółty niby mórg rzepaku,
Tam jako owies zielony, a drugi
Jako wesola, krasna grzęda maku.

Dalej ciemnieją fiolety grochu,
Łubinu ciemno-błękitne zamiecie, –
Wszystkie tu barwy zebrane po trochu
W tęcze, jak farby na wielkiej palecie.

Jaskrawe wstęgi, korale, paciorki,
Chusty, gorsetów ciężkie adamaszki...
Hej wyroili się od czarnej orki,
Jak świetne gile i nadwodne ważki!

A kapelusze czarne i sukmany
Próżno chcą przyćmić jaskrawe zapaski,
Tak tłum swą krasę przyniósł, by nią rany
Ziemi tej przykryć, – przed twarz pełną łaski.

A błękitnawe sręczogi kadzideł
Tak rozdały sklepienia kościoła,
Ze duch się gdzieści rwie, dostaje skrzydeł,
Zda się, że bezmiar woła, woła, woła...

Cicho. Książd wyszedł... gdzieś za oknem ćwierka
Rój wróbli... Dzwonki brzękły. Msza zaczęta.
Na dół opada męka i rozterka,
Nad nią organów pieśń wylata święta.

Brzmią suplikacje rozmodlone ludu,
Duch się na nowo krwią Golgoty krwawi,
Płonie miłością w tę godzinę cudu,
Wszem ludziom, ziemi wszystkim błogostawi.

Oto z świątyni gotyckiej portalu
Pociekła ludzi roztęczona rzeka,
Aż w tych roztopach złota i koralu,
Malw i bławatów mruży się powieka.

Jakże was kocham, o wy, ludzie prości,
Motyle w ciała zaszyte poczwarki,
I nie wiedzące nic o swej piękności,
Dusze tak zgięte, jak jarzemne karki.

O, jakże droga wasza długa jeszcze,
Jak ścieżki wasze trudne i ślimacze!
Nieraz wam próżno spadną łaski deszcze,
Nieraz nad wami zbawca-duch zapłacze,

I życie wasze, jak szara łądyga,
Zdobna zaledwie w nikły kwiat cykorii –
W pieśń płaczkę, – długo ciał mozoły dźwiga,
Nim zajaśnieje w uduchowień glorii.

Wierzę, że dzień ten wielki zajaśnieje
Po przez niemocy kłębiącą się chmurę!
Otwórzcie oczy, zbudźcie się – już dnieje!
Przeobrazimy ducha i naturę!

KRZYŻ

Zwątłymi ramiony
Dźwigam krzyż
I śmiertelnie zraniony
Idę wzwyż
I uśmiecham się jasno.

Gwiazdy ćmią się i gasną
W deszczach lśnień,
Męka skarży się echu,
Lecz znów dzień
Wschodzi w jasnym uśmiechu.

Czarna noc w bólu grzechu
Czarna noc...
Wschodzi z cierpień ekstazy
Słońca moc
W mym uśmiechu bez zmazy.

NA BÓL SERCE PIEŚNIĄ ODPOWIE...

Żywioty, w ofierze na skałach
Me serce drgające wam kładę –
Ty przypłyń, o burzo, na wałach,
Beztrwożne cię czeka, nie blade,

I wbij w nie pioruny, jak noże,
Ty cudna kapłanko nawalna,
I groź mu schłonięciem, o morze,
Zmiażdżeniem opoko groź skalna.

I raż go kamieniem, wichuro,
Na rany syp piasek, jak mrowie –
Pod krwawą, niehumaną torturą
Na ból serce pieśnią odpowie.

JESTEŚ PRZY MNIE WIECZNOŚCI

Jesteś przy mnie wieczności,
Jesteś przy mnie, ogromie.
Tyś jest ciszą, co gości
W każdym kształcie widomie.

Każdy wonny kwiat w lesie,
Każda gwiazda zarania
Wieść o tobie mi niesie,
Twoją tajń mi odsłania.

Jest-że kształt dość przyziemny,
Jest-że twór dość wzgardzony,
By w nim nie tkwił tajemny
Brylant twojej korony?

Wszędzie, wszędzie odkryta
W oceanie i ziarnie,
Wieczność woła mię, wita
I ku sobie mię garnie.

Jest jej pełnią otchnięta
I lilia, i zielska,
Każda ziemską ponęta,
Każda wizja anielska.

I jest w fali zmienności
I jest w skalnym załomie...
Jesteś przy mnie wieczności,
Jesteś przy mnie ogromie!

MODLITWA ZA WYNIOSŁYCH

O jasności przedwieczna,
Spłyń, przepromień mu ducha,
Niech go wiedzie słoneczna
Przebłękitna otucha.

O miłości, zdejm bielma
Z jego źrenic, te ślepcze:
I choć górny on cel ma,
Niech maluczkich nie depcze.

O jedności, ty świata,
W duszy rozłam mu kraty –
Niechaj zna, niech pamięta
We wszechświecie wszechświaty.

O błękanie ty modry,
Daj mu miękkość bez granic,
Niech dobrocią swą szczodry
Zstąpi w niże z krzesanic.

O lilio bez zmazy,
Pośród ciężkich złych godzin
Dzwoń mu cudne wyrazy,
Dzwoń o łasce odrodzin.

O orkanie, potęga
Niech w mm twoja się spręża,
Po najwyższy czyn sięga:
Siebie, siebie zwycięża!

SZCZĘŚCIE

A kiedy cichy zmrok zapada,
Coś niewyraźnie w sercu biada,
Z mgieł się wyłania mara blada.

Hej, wy tęsknoty, bej, tęsknoty!
Daleko leży sen mój złoty,
W głębi zakłętej w górach groty.

Podejdę lekko ku granitom,
Pokłon oddając białym szczytom,
Zaklętym w bieli ich rozkwitom.

Zaklnę – odpadną tajne dźwierza,
Wejdę – uczynię znak przymierza,
Zbudzę z długiego snu rycerza.

Zbudzę to szczęście, cudne, śniące,
Wezmę to szczęście w ręce drżące
I sama w przepaść groźną strączę.

Idź-że ode mnie, szczęście moje!
Chcę na męczarnie, chcę na boje.
Chcę na nieludzkich ofiar znoje!

O szczęście, bądź mi pozdrowione.
Oto radością ofiar płonę!
Ty – z dobrowoli zatracone!

Ty – zatracone z dobrowoli!
Nie, ja nie płaczę, mnie nie boli!
Szczęśliw, kto z szczęścia się wyzwoli.

PRZYJMUJĘ SERCEM, PRZYJMUJĘ

Przyjmuję sercem, przyjmują,
Przyjmują ochoczą wola
Jasność, co duszą raduje
I ciężkie rany, co bołą.

Z wszechwolą wola ma zлана,
Jak jedna z fal w oceanie,
W szczęście jest wsniona, wetkana.
Tak nić barwista w dywanie

W cudownym gubi się wzorze.
I ja go tworzą i składam,
Twym śpiewom, morze, o morze,
Zachwytny wtór podpowiadam.

Błogosławioneś, o życie,
Lecz gdy się męka dokona
I stanę wolny na szczycie –
Bądź, śmierci, błogosławiona.

CZARA

Stanął anioł przede mną, który łyżki ludzkie liczy,
I na twarzy zasłonę miał czarną,
I podawał mi czarę pełną strasznej goryczy,
W krąg siejącą ciecz żółtą, oparną.

I przyjąłem tę czarę i spełniłem ją do dna,
Patrząc w groźną zasłonę anioła
I stawała się jasna ta zasłona, łagodna,
I rozwiała się, spadła mu z czoła.

I zabłysła przede mną w glorii pociech świetlistej
Twarz anioła, co łyżki ludzkie liczy,
A ta czara goryczy żółtej, mętnej, pianistej
Rozpłynęła się w falę słodczy.

BÓL

Ma dusza jest, jak złom granitu,
Na który wielka ręka boża
Rzuca od świtu aż do świtu
Czarne i groźne fale morza.

I biją, biją we mnie fale,
Gryzące mnie ciosają piany,
Aż w buku wichrów, w burz chorale
Wybłyśnie kształt niepokalany.

Bijcie, nawalne wód kolosy,
Bij, grzędo białych pian po grzędzie,
Bo im straszliwsze wasze ciosy,
Tern doskonalszym kształt mój będzie.

CUD

Złą pamięcią pierś się krwawi –
Radość zgasła i skonała ...
W snach się jawi Ten, co zbawi –
Cudotwórcy postać biała.

Moje wargi schną w pragnieniu,
Krzyk rozpaczy Ciebie wzywa,
W nimbu lśnieniu – na promieniu
Cudotwórcy postać spływa.

Ach, tak długo Cię czekałem,
Tak mnie gniotło brzemień krzyża!
Świecąc ciałem zmartwychwałem
On nadchodzi – On się zbliża!

Jęk nadziei skądś się zrywa –
Na schylone moje skronie
Cicho spływa łaska żywa –
Cudotwórcze Twoje dłonie.

Obręcz pękła... Ach – westchnienie –
Okrzyk ulgi... lekko, błogo...
Lecz już w cieniu – w oddaleniu
Dążysz, słońcąc się sreżogą.

Łzy wyzwolin, łzy rzęsiste ...
Wstaję – słońcu ku obronie!
Wielbię czyste – wiekuiste,
Cudotwórcze Twoje dłonie.

OBRAZ CUDOWNY

Tam, za gęstą zasłoną ukryty
Obraz cudowny ...
Próżno oko, przeczuwszy zachwyty,
Chce przeniknąć przez haft złotolity,
Barwny, kunsztowny.

Lampa rzuca swój blask przedobraźna –
Cień na zasłonie ...
Lecz nie zjawia się forma wyraźna,
Jakaś moc nieprzeparta, rozkaźna
Pęta mi dłonie,

Bo kotary uchylić nie wolno . . .
Haftów kolory
Więzą, mamią pięknnością padolną,
Lecz ja pracą cierpliwą, mozolną
Niszczę ich wzory.

Nić po nici wyciąga, wytraca
Dłoń niestrudzenie,
Oczka kanwy z barw, lśnienie огоłaca,
Szych kuszący zdejmuje, odzłaca
Wszelkie złudzenie.

Widzialności pochłonał miraże
Sen niewymowny ...
Prędko, prędko przez oczka w kotarze
Mym się oczom olśnionym ukaże
Obraz cudowny.

DZIEŃ SPOKOJU

W takiej samotni przeraźliwej,
W takiej bezbrzeżnej pustce chłodu
Życ dano duszy, duszy żywej
Wśród widzialnego dusz pochod.

Lecz jest gdzieś region niewidzialny,
Są dusze – jednie w tym regionie:
W dzień trudu mroźny, w dzień upalny
Nade mną wyciągają dłonie.

I czasem dusza otoczona
Jakiejś melodii cichej kołem
Śni, że wśród drogich stoi grona,
Ich tchnienie czuje ponad czołem.

Przyjdzie dzień śmierci, dzień spokoju,
Skończy się pracy dzień powszedni,
Odejdę po tym ciężkim boju
Do własnych dusz, do wiecznej jedni.

VI

PROTEST

PRAWDAŻ TO, POLSKO?

Prawdaż to, Polsko?.. My niewysłuchani
Twoją zwycięską stopą odepchnięci –
My krwią męczeńską dla Ciebie oblani –
Powstańcy z kresów i unicy święci?!..

Prawdaż to, Polsko?.. W moskiewskiej ciemnicy
Byłaś nam zorzą, nadzieją i wiarą!
Ty dzisiaj wolna, my – znów niewolnicy...
Zdeptałaś miłość, wzgardziłaś ofiarą!

Dość Ci zawołać – my wnet do apelu
Stajemy tłumnie w aureoli szabel...
Dziś – słyszysz – twemu wtóruje weselu
Szept przerażony: – a gdzie brat? gdzie Abel?..

Ha, ha!.. Krwi synów naszych już nie trzeba,
A kraj tak szary, za mało w nim krasy !
Ha, ha!.. Nie mamy węgla?.. Marna gleba?..
I nieponętne bagniska i lasy?..

Śniliśmy, Polsko, w długą noc niewoli
I w dni zwycięskie ofiarnego czynu,
Że razem wstaniem w chwały aureoli,
Wkładając wieńce wspólnego wawrzynu!

I próżno szliśmy do Ciebie z wykupem,
Z krwią Naczelników, z Mickiewiczów pieśnią,
Pod Twoją stopą leżymy dziś trupem ...
Lecz – Polsko! – nie wiesz, czy i trupy nie śnią!?...

GOLGOTA

Wy, wyrzuceni za Ojczyzny wrota,
Wy, krze najlichsze, zduszone przez cedry,
Ku wam się teraz rwie moja tęsknota,
Dzwon woła z jękiem, dzwon Mińskiej katedry.

Czułam się twoją, Warszawo, Warszawo,
Śnie, wymarzony w obcych ziem ostępie!
Dałam ci serce... Porwana zabawą –
Lekko się śmiejąc, darłaś strzęp po strzępie.

Sercem rozdartym przebaczyć ci muszę,
Lecz się od ciebie odwracam, Zwycięska
I rzucam płonąca, pełną bólu duszę
Tam, gdzie ruina, agonia i klęska.

I każdą kroplą mojej krwi kresowej,
Wspomnieniem mogił powstańczych pradziadów
Wspomnieniem dworu w otoczy lipowej –
Kocham cię, ziemio, coś jest łupem gadów.

Przez zdradę braci... Ziemio – Beniaminie
Jeszcze im będziesz – ostoją i tarczą,
Faraonowych siedem lat przeminie,
I sytość swoją bracia przefrymarczą.

A wtedy nowa, powstająca z ducha,
Z ciebie wykwitnie Polsce zorza złota,
Dziś jeszcze ciemno... Noc męczeńska, głucha...
Idę... Bo miejsce me tam, gdzie golgota.

**Z UTWORÓW
ROZPROSZONYCH
(1902–1939)**

ZACHÓD

Duch zmierzchu, w przejrzystym welonie,
Świat cicho, powoli owiewa.
A niebo purpurą łun płonie
I pogwar przelata przez drzewa.
Na świat schodzi cisza powoli
I idzie przez wonną otawę;
Po szarym gościńcu, po roli,
Przez sosen wierzchołki sinawe...
Zagrała fujarka z wierzbiny,
To trzoda powraca już z łąki –
Lśni rosą liść każdej rośliny,
A kwiaty stulają swe pąki.
Wszechcisza ogromnych ukojeń
Przez świat idzie wiotka, wyniosła,
Z czół ściera pot krwawych uznojeń,
Rybakom wytrąca z rąk wiosła.
Wytrąca sierp z ręki żniwiarzy,
Do gniazda ptaszyny zapędza,
Błogości skra w oku się żarzy
I sięga aż w niebo, gdzie przędza
Gaz złotych faluje w szafirze...
Nad rzeką, na brzegu urwistym,
Którego piaszczysty skraj liże
Wciąż fala o grzbiecie pienistym,
Stał człowiek, o twarzy kredowej,
Jak posąg, stał bólem zaklęty,
Co wrył się w fałd wargi surowej –
I patrzył w otchłanne odmęty...
Lśni zachód, skąpany w mórz złocie,
Tchnie niebo olbrzymią pogodą –
On niżej wciąż, w strasznej tęsknocie
Twarz bladą pochyla nad wodą.

OD WIĘŹNIÓW

O towarzysze, z naszych więzień głębi,
spoza żelaznych, grubych krat wołamy:
– Zniszczcie tyrana, który wolność gnębi,
zwycięzcie prędzej, otwórzcie nam bramy
O towarzysze, każdym serca drgnieniem
jesteśmy z wami, choć nas dzielą kraty,
żyjemy waszą walką i cierpieniem.
Gdybyż wylecieć, jak ten ptak skrzydlaty,
i czuwając straże w lot ominąć,
i znowu stanąć z wami do szeregu,
zamiast tu marnieć i powoli ginąć!
Nas zatrzymano, niby strumień w biegu
kiedy my chcemy płynąć naprzód, dalej
kajdany dłonie zżarły nam do kości.
O Rewolucjo! Zerwij się, rozszalej,
Skrusz nam kajdany! O, przyjdź dniu wolności.

(Listopad 1906 r. Pawiak)

„Robotnik” 1907, nr 216, s.3.

Z PIEŚNI O REZYGNACJI

Podepczę moje chciwe, palące pragnienie,
podepczę egotyczne, silne „ja“ człowiecze,
poryw w bezmiar – w bezruchu uspię ukojenie,
z nieskończoności marzeń mą duszę uleczę
i wszystkiemu, co we mnie dumnym snem – zaprzeczę.

Zgniotę w sobie drapieżne zagłodzenie wilcze,
postawię miast weselnych kruż – popielne urny,
krzyk szalony, nieludzki, rwący krzyk – przemilczę,
z godów słońca zapadnę w dzień mgielny i chmurny,
i włożę obojętnej wyższości koturny.

Ha flet żalny zamienię bębenki i żele,
co rwały rozszalałą radość w wir taneczny,
zapomnę w ascez kirach o królewskim ciecie,
którego świętem prawem – nasycę głód wieczny,
płatem zmierzchu upadnę z gór – ja, twór słoneczny.

Nieuprawne ogrodu mojego przepychy:
paprocie, złocień gwiezdny, głogi, asfodele,
pierzwioków puch złotawy i dzwonek kielichy,
i storczyków, obłądy – doszczętnie wypiele,
a zasadzę lekarskie i pożywne ziele.

Wyrwę, własnymi dłońmi dziki ogród zniszczę,
miast bujnych kęp roślinnych skopię równą grzędę,
źródło obramowaniem ścisnę, niech nie tryszcze
zbyt wysoko, myśl w szarość dni codziennych wprzędę...
Zdepczę moje pragnienie – i czym, czym ja będę?!

DO MEGO DZIECKA

Poczęłam ciebie w godzinę najwyższego rozkwitu mego „ja”, gdy twórcza ma pełnia zapragnęła wieczności i przedłużenia.

Poczęłam ciebie w godzinę, przywołaną wszechpotęgą mej woli, a nie w tę godzinę, którą *jego* łaska przysłała mi narzucić.

Ty, nieurodzone, zwiesz się, Wola moja. A urodzenie twe będzie tryumfem mojej pogardy nad bólem. A ochrzczę cię błyskawicami wyrzeczeń i nadam ci imię – Bunt.

Bo już w poczęciu swoim jesteś wszystkich starych wartości żywym zaprzeczeniem.

Bez sankcji i wbrew sankcji jesteś i musisz swe istnienie uczynić szczytem wobec tych, co je na dół zepchnąć zapagną.

Nie ukołyszę miękką piosenką twego dzieciennego płaczu. Lecz twardą ręką olbrzymki naznaczę cię stygmatem walki nieubłaganej.

Niech w twych narodzin godzinę rzekną bracia-burzy-ciele:

– Oto się narodził bojownik. A niech wstrząsną się ze

zgrozą zapleśnieńcy i tłumiciele, szepleniąc:

– Oto narodził się wróg.

I będziesz ty falą, płasającą po bezkresie. Nie każę ci wrosnąć w szmat ziemi, ani skamienieć przy domowym ognisku, zwolna porastając patyną nawyku.

Nie oplączę cię niemi przywiązali: raczej ukręcę z nich bicz: którym w dal gnać cię będę.

By nie czepiła się ciebie powojowość, nie dam ci podpory, która zwie się: ojciec. A iżeś cały drżącym niecierpliwie przyszłości pociskiem, niech nie stoi poza tobą mara przeszłości: ród.

Sam jesteś ze siebie, jako pierwsza mgławica, skupiająca się w gwiazdę. Los twój z niczym nieistniejącym cię nie skuwa, nie dźwigasz wspomnień, ani ekspiacji – jakże nowym mozesz świat uczynić!

Sam jesteś, jako własnym ruchem toczące się koło. Twój ojciec dla ciebie – to „człowiek, którego kochała ta, co mnie urodziła”. A matka twoja – to „ta, która mi nową drogą od siebie odbiec kazała”.

Nie będziesz łańcuchem, który mnie przykuje do tego, którego uczyniłam narzędziem twórczej mej woli. W imię twoje nie umrze żadna z dumnych mych myśli, żaden z szalonych czynów. Nie będę przy twej kołysce płaczką nad grobami, jeno radosną pieśniarką i beztroską zbieraczką w winnicy wrażeń. Będę zlewała na twą małą główkę czary upajającego wesela, będę twym chwiejnym nożynom wskazywała same szerokie drogi i uczyła, iż nie ma przepaści i przeszkód, albowiem wszystkie można przeskoczyć. Byle w mięśniach była siła rozmachu!

Nie każę ci naginać się do mnie, ani sama do ciebie się nagnę. Rośnij, jak pęd młodociany – swobodnie, lecz i bez podpór. Z chwilą, gdy pierwszy błysk świadomości odkryje ci twoje „ja”, jesteś dla mnie oderwanym, odrębnym ode mnie bytem. Biegnij w obszary świata! Moje ramiona – to nie słodkie pnące, które grobem tym straszniejszym, iż są słodkie! Moje ramiona – to raczej wiosła, które cię od brzegu odepchną.

Marnuj lub podwyższaj nieskończenie tve życie: nie jestem twym sędzią. Trud i męka dla ciebie poniesiona nie padnie ci pod nogi podłym wyrzutem, nie będą kamieniem, który odważnego pływaka obciąża! Albowiem godzina twego poczęcia zwała się „chcę”, a nie „muszę”. I próżno przez tyle wieków „rodzice frymarczyli owym „muszę”, targując się za jego cenę o poświęcenie dzieci.

Wydałam cię z mego nadmiaru – cóż mnie mój odrzucony nadmiar obchodzi? Chwilową ulgą dla mnie było to, co się stało przeznaczeniem dla ciebie.

Miłość moja będzie kwiatem, który możesz zerwać lub nie,
zależnie od tego, czy nie zamąci harmonii barw w twej girlandzie.
Jeżeli zechcesz i potrafisz, umieszczę twoją miłość
w szeregu wielu, wielu miłości ludzkich, oplatających się koło mnie.

Lecz teraz, póki cię noszę pod sercem i ruch twój, śmieszny
ruch bezświadości czuję, teraz Kocham cię i mam dla
cię miękką, zamarzoną uśmiech, boś ty ucieleśnioną godziną
najwyższej rozkoszy i zachwytu, boś akordem potężnego dwugłosu
chwili, w której oczom szeroko otwartym objawiło się
nieśmiertelne piękno życia.

„Ster” 1907, nr 6, s. 235-237.

SOSNA

Błade niebo zimowe, cicha, śnieżna równina,
niezmierzona, brzemienna odrodzeniem i zgonem...
Na pagórku się wznosi sosna wiecznie-zielona,
sztywne igły zjeżyła, operliła je szronem,

Operliła je szronem, w puch łabędzi spowiała
i gałęzie kosmate smutnie zwiesza i marzy:
– Zaszleszczą traw kiście, kwiatów biel i karminy,
i zaszepczą strumienie, gaj brzoźowy zagwarzy...

Ale sosna, zaklęta w szmaragdowe milczenie,
złotej baśni nie powie i nie wcieli w jaw mitu,
mitu słońca o łasce cudotwórczej odrodzeń,
bo choć nie zna uwiądu, nie zna także rozkwitu.

„Sfinks” 1908, t.2, s. 278-279.

PRZED ŚWITEM

Nagle ze snu się budzę...
Moje szczęście jest ze mną
moje szczęście tak blisko...

Schodzi w świat w ołowianej szarudze,
drzewa szepczą za oknem wieść zamarłą, tajemną...
Coś nade mną tu krąży, coraz zwięża kolisko,
coś podstępnie się skrada i czyha...

Moje szczęście jest ze mną, tak blisko,
tak spokojnie, tak lekko oddycha.

Drzewa szepczą, wciąż szepczą:
ktoś w męczarni i we łzach czekał cudu przed laty,
a gdy zszedł, już go nie mógł ujrzeć swoją źrenicą,
wyłakaną i ślepczą.

Ktoś w rozpacznej udręce rozbił głowę o kraty,
skonął, klnąc wielkie myśli, że mu duszy nie sycą.
Było życie tak czarne, jak studnia,
a ja mogłem w nie rzucić blask promienny południa,
lecz nie chciałem zejść w mroki.
Słyszę jeszcze w oddali błakające się kroki,
takie chwiejne, bezsilne
dłoń ich moja nie wsparła.
Olbrzym deptał z szyderstwem smętne głązy mogilne
i niebacznie wśród nich zdeptał karła...

Drzewa szepczą za oknem wieść zamarłą, tajemną
szumią długie melodie jęśliwe...
Moje szczęście jest ze mną,
moje szczęście nieżywe...

CHORE GODZINY

Leżę... (o, chore dni monotonne!)
a przy mnie więdną
hiacyny białe, ciche, bezbronne,
z wonią tęskliwą, z wonią obłądną...

Leżę... (o, długi ból nieustanny!)
a kroki dzwonią...
Wdziera się promień nadzieją ranny,
drzę oczekiwań głuchą agonią...

Ktoś idzie... (stąpa po sercu mojem...)
coraz się zbliża...
Coś rwie mi tętna, krwi nieukojem...
Chwila, jak noża błysnięcie, chyża...

Przeszedł... (znów sama z męką daremną!)
W tęsknot obłądzie
płaczę, że zawsze będzie tak ciemno,
że już przenigdy słońca nie będzie...

POWRÓT

(Świt buchnął mnóstwem złotych strug)
Szalone szczęście – pieśń bez słów!
Wróciłeś tu – i jesteś znów,
zasuty kurzem długich dróg...
(Kłomb we łzach ros). Mów, prędzej, mów!
Czy ty masz dla mnie krasę róż,
Czy wyostrzony, straszny nóż?
Okrzyk radości – jęk bez słów...

(W poszumie drzew – agonia snów...)
Wtem mnie ujmuje w światła krąg
dwoje stęsknionych, silnych rąk...
Szalone szczęście, pieśń bez słów...

„Krytyka” 1909, t. 2, s. 334-335

MELANCHOLIA

Wszystko umarło – i nie wstanie...

Ktoś się podstępnie ku mnie skrada,
by nagle krzyknąć: biada, biada!

Twarze poźółkłe wciąż się snują,
poza mną szepczą cos i knują.
Kruk kuje dziobem w dawnej ranie.

Nieszczęście głuche, nieodwrotne
spadło na serce me samotne,
zasnuwa oczy krepy smugą,
taka posępną, taką długą...

Ciche, powolne snów konanie.

Słucham bez końca mętnej wieści,
którą upiorny las szeleści,
że przyjdzie dzień – i w krwawej łunie
na me struchlałe serce runie.

Zachrypi zgroza w huraganie.

On wstanie skądś, za gardło chwyci,
przedśmiertnym skurczem się nasyci,
szaleństwem oczu w dzikiej walce,
gdy szyję dławią śliskie palce,

Znikąd ratunku na wołanie.

Ja jeden z ludzi wiem: on idzie
w chłodnej, katowskiej swej ohydzie,
ciężko, męcząco serce bije,
ręką osłaniam przed nim szyję...

W rozpacz kołysze wichru łkanie.

Ciągle nade mną wisi groza,
wciąż słyszę cichy świst powroza –
milczę, w ten straszny świst wsłuchany...
czymś nieodwrotnym zdruzgotany...

Ciche, powolne umieranie...

„Sfinks” 1909, t. 6, s. 316-317.

TANCERKA

Pod możne wasze zamki
w łachmanach przyszłam bosa,
i płąsam wam, i śpiewam,
tancerka ciemnowłosa.

Wśród uczyty waszej tańczę
zalotnie i wesoło,
a serce mi się krwawi,
a pot mi rosi czoło.

Hej, dzwonią moje żele,
tak dzwonią, jak kajdany...
Hej, dana! Tam się dręczy
za kratą ukochany.

O! zdejmcie mu kajdany
za tan mój lekki, zwinny...
za kratą leży chory
Mój miły, ciężko winny -

Mój miły, ciężko winny:
ku gwiazdom wznosił głowę,
miał burzę jasną w piersi
i skrzydła miał orłowe.

Miał siłę, której małość
przenigdy nie przebacza...
Pod zamki wasze przyszłam,
tancerka ja tułacza.

Znudzonych wśród biesiady
ubawię, rozweselę!
O! zdejmcie mu kajdany,
Hej! Dźwońcie moje żele!

Nie słyszy wasze ucho,
jak wsączam w pieśń godową
okropnej zemsty groźbę,
okropne sądu słowo!

Za kratą ukochany...
W łachmanach przyszłam, bosa,
i płąsam wam, i śpiewam,
tancerka ciemnowłosa.

„Świat” 1909, nr 45, s. 3.

POJEDNANIE

Przyszłaś dziś do mnie we śnie – żywa –
jako melodii dawnej smuga,
jako tęsknoty powieść długa,
jak ból, co rany swe odkrywa.

Przyszłaś dziś do mnie we śnie – żywa –
dłonie matczyne, przenajśłodsze,
przejrzysto-żółte, jakieś wiotsze
poczuła skroń ma nieszczęśliwa.

Przyszłaś dziś do mnie we śnie – żywa –
sercem zgadnięta – wizja zwiewna,
już pojednana, już nie gniewna,
bośmy, jak niegdyś, dwa ogniwa.

Przyszłaś dziś do mnie we śnie – żywa –
wśród cichej łaski wniebowzięcia
wykwita uśmiech wszechpojęcia
i łza pamięci chorej spływa.

Przyszłaś dziś do mnie we śnie – żywa. –
Budzę się, słyszę w mgłach przedświtu,
Jak wstrząsa śmierć łańcuchem bytu,
Ogniwa kruszy i odrywa.

NA WSI

Jeszcze nie zszedł księżyc srebrnorogi,
a już słońce wstaje z drugiej strony.
Kłomby, trawnik, ciche ścieżki, drogi,
pobielify wczesnym rankiem szrony.

Zesztywniały w chłodzie i milczeniu
stoją drzewa żółte, purpurowe.
W dwóch topoli smukłych obramieniu
widać oddal, mknącą w kraje nowe.

Oszronione, niejeżdżone ścieżki...
Stąd do ludzi w światy – tak daleko!
Tu nieznane krzywdy i zamieszki,
tu złym okiem serca nie urzeką.

Nad szronami jasnej zorzy smugi
Mgłę niebieską piją znad rozłogi.
Odpoczynek na wsi zbawczy, długi...
Oszronione, niejeżdżone drogi...

„Świat” 1910, nr 1, s. 6.

W OBRĘCZY

Nad nami wielka cisza lazurowa,
Nad nami cudu rozkwitają tęcze,
A my bez ruchu trwamy i bez słowa –
Dusze zakute w żelazne obręcze.

Nad otchłaniami słychać szept najcichszy –
Lekko rozsnuty, jak przędze pajęczę,
Głos go nie porwie i w grom nie rozwichrzy...
Dusze zakute w żelazne obręcze.

Jest nad otchłanią pewno arka mostu,
Lecz nie widzimy, gdzie wejście, poręcze
I karlejemy, sennie pragnąc wzrostu –
Dusze zakute w żelazne obręcze.

„Odrodzenie” 1910, nr 7, s. 101.

MORD

Ja zabiłem ją dłońmi własnymi,
ja zabiłem me słodkie kochanie...
Niechże śmierć dumne usta oniemi,
urągliwe z nich zetrze wyzwanie.

Mordowałem ją krótko, litośnie,
konając porwałem w ramiona
i zabrzmiała nad trupem rozgłośnie
pieśń, jak wicher, wyjąca, szalona.

Ja ją dłońmi własnymi zabiłem
i słuchałem, jak krew, szemrząc spływa,
i z jej ust martwych rozkosz wypilem,
której zawsze broniła mi żywa.

Pochowałem ja w krwawej odzieży,
sam spełniłem bluźnierczy mord słońca
i oślepiłem. Na grób siadłem świeży,
śpiewam dziko, szalenie, bez końca...

„Odrodzenie” 1910, nr 9, s. 132.

BLADY SEN

Gwiazdy zgasną o północy,
gdy się iszczą senne baśnie,
a powietrze pełne czaru...
Twoja lampa niechaj zgaśnie...
W gęstym mroku, w tajemnicy
zejdę, pieszczot twoich głodna.
W jednym mgnieniu piorunowym
wypijemy czarę do dna.

„Odrodzenie” 1910, nr 10, s. 155.

PIEŚŃ MIŁOŚCI, PIEŚŃ TĘSKNOTY...

Wpływa noc cicha srebrnymi wroty,
Płynie melodia gwiazdzistym szlakiem...

Chcę być błyskawic krwawym zygzakiem –
Chcę skroń twą ubrać w szkarłatne sploty –

Pieśni miłości, pieśni tęsknoty...

Chcę wichrem halnym być, chcę być ptakiem –
I chcę pod srebrnym gwiazd migotaniem

Lecieć ku tobie świstem i graniem –
Ze snów potężnych, z wizji orszakiem –

Chcę z wojsk uśpionych zrywać namioty,
I rzucać ziarno piargom jałowym –

I burzyć lasy tchem piorunowym –
I w dal odlatać ponad wykroty.

Pieśni miłości, pieśni tęsknoty...

I wszystkie skarby zakłętej groty,
I wszystkie czary, i wszystkie cuda –

Piękno bezbrzeżne, moc wielkoluda –
Chcę rzucić tobie, o śnie mój złoty...

Pieśni miłości, pieśni tęsknoty...

W ROCZNICĘ GRUNWALDU

Naród mój cudny, jak skrzydlata lwica,
Leży pod cielskiem potwornego płaza,
Niech raz już tryśnie wielka błyskawica,
Niech hańbę zmyje jasny szczęk żelaza.

Pókiż ucisku, pókiż urągowisk!
W piersiach nam wzbiera twardy piorun gniewu...
Hej! raz ciąc mieczem w kłęby tych wężowisk,
Raz dźwignąć czoło z wrażego zalewu!

Niech w mym narodzie, jako mur niezłomny
Stanie jedyna, niewzruszona wola
I naród nagle zbudzi się – ogromny
I znów pociągnie na Grunwaldzkie pola.

Póki krwi w żyłach i póki w nas tchnienia
Ślubujmy: walka! Za pacierz zniemczały,
Za wyzuwanie z ziemicy i mienia!
Hasłem niech będzie: Września – Wóz Drzymały!

Nam wobec gwałtu oniemiały usta,
Na widok zbrodni nam źrenica ślepła!
Niech buchnie protest – i jak krwawa chusta
Wieje w dzień święta – od krzywd jeszcze ciepła.

A niechaj pomną zdzierce i szalbierze,
Że ma potęgę nimb męczeńskiej skroni,
Że pod Giewontem jeszcze śpią rycerze,
Że jeszcze kiedyś złoty róg zadzwoni!

I znów dziejowa wzbije się kurzawa
I znów przerażą was chrzęsty pancerne.
Wić się będziecie, gwałciciele prawa,
I próżno w spiece wołać o cysterne!

Cóż uczynicie, dzieci naszych katy,
Kiedy się naród przeciw wam sprzysięże,
Gdy do rozprawy z wami i zapłaty
Już nie dziateczki się stawia, lecz męże?

Każda piędź ziemi oszustwem wydarta
Wzdryga się strasznie, dźwiga was ze wstrętem,
Gdy zginie kraj wasz, to dziedzictwo czarta,
Dzień ten dla ludów wolnych będzie świętem.

Przyjdzie sąd na was, wy, co się imacie
Nie miecza mężnych, lecz opryszków świdra,
Zejdzie Nemezys w groźnym majestacie,
I znowu runie w proch krzyżacka hydra.

A w dzień wielkiego jej porażki święta
Niech się wyteżą nasza wola mężna,
Jako obręczą, jedną myślą spięta
Niech stanie Polska twarda i orężna.

A sprzysiężonej sprawy kto odstąpi,
A kto, choć możny, zdradą wroga cieszy,
Temu niech naród wzgardy ślin nie skąpi,
Tego niech żadna litość nie rozgrzeszy!

Własne czyść gniazdo z żmijowego jadu,
Zanim na zbrodni wyprawisz się gniazda,
I depcząc brudny łeb teutoński gadu,
Bacz, by nad tobą czysta lśniła gwiazda.

Sercem twym własnym, jak płomiennym lontem
Zapalaj rzesze, wzbudzaj w nich szermierzy...
O, śpią rycerze jeszcze pod Giewontem,
Jeszcze do boju złoty róg uderzy!

„Naprzód” 1910, nr 161, s.1.

PRZESZŁOŚĆ

Na szlakach zapomnień chwilowych,
Na dusz ongi bliskich gościńcach
Proch został szkieletów grobowych.

Wcieliłem w te bliskie mi dusze
Wynurzeń płomiennych stygmaty,
Zwierzyłem im moje katusze.

A oto mi nagle zaświecą
Swym próchnem grobowym i pleśnią,
I zgrzytną mi szczęką szkielecą.

Niestraszne, niestraszne mi mary,
Na dawnych zgubione gościńcach;
Ja rosnę – z nich leci puch szary.

Żegnajcie mi, dawne me drogi.
Wy, ciche przeszłości kurhany;
Ja waszym szkieletom nie wróg.

Ukułem z nich mocne ogniwa
Na łańcuch dokonań dla ducha,
A myśl ma trwająca i żywa

Poza was, ponad was już bucha!

MILCZENIE

Cichym całunem osłoń mnie, milczenie!

Ukryj mej woli płomienne modlitwy
I strun harfianych, roztęsknionych drżenie,
I nieugiętą odwagę wśród bitwy.

Cichym całunem osłoń mnie, milczenie!

Ukryj ból krzywdy straszny, bezlitosny
I łez rozpacznych, ciężkich łez strumienie,
I zwiędłe pąki mej umarłej wiary.

Cichym całunem osłoń mnie, milczenie!

Ukryj ofiary czarne, wielkie krzyże
I niehumanitarnego wysiłku rzeźnienie,
I czynów moich czarne, nieme śpiże!

Cichym całunem osłoń mnie, milczenie!

„Kurier Warszawski” 1910, nr 209, s. 3.

LĄD

Jam ląd samotny, zarzucony
Na obojętne oceany.
Szarpie me brzegi bezmiar słony,
W całunne mię spowija piany.

I, umniejszany bardziej co dnia,
Zapadam z wolna w toń huczącą,
Nie wzrusza głębi cicha zbrodnia,
Agonie rytmu jej nie mąca.

I może nie wie sam ocean,
Że zawarł, jak w całunnej chuście,
Ten byt, którego kres wyśpiewan,
Że ląd samotny pchnął w czeluście.

„Kurier Warszawski” 1910, nr 237, s. 4.

NIENAWIŚĆ

Ciężka ma dusza,
ciężka jak ołów,
jak iza człowieka.

W moją duszę głęboką, jak w studnię,
wyście zniewag rzucali kamienie.
Rozcinając bez plusku powierzchnię,
opadały gdzieś na dno, w milczeniu.

Dzień mój się wlecze,
jak szara rzeka pośród rozdołów.

Kamieniami okrutnej zniewagi
zawaliliście duszę mą – studnię –
i już niema czystego zwierciadła,
by w nim przejrzeć się mogło południe.

O, tak ucieka
szelest skrzydlaty
jasnych aniołów.

Z tych kamieni we wnętrzu mej studni
nienawiści stanęła kolumna,
taka ciężka, jak wieki, niezłomna,
jako piorun, grożąca i dumna.

Z morzam wyłowił
trumnę bez wieka...
Bogaty połów!

Wymowałem kamienie z mej duszy
i, ze śmiechem szczęśliwym szaleństwa,
w twarz rzucałem wam kamień zniewagi,
w twarz rzucałem wam kamień przekleństwa.

Ciężka ma dusza,
ciężka, jak ołów,
jak iza człowieka...

BRZEMIE

Ukrzyżowany moją męką
Idę przez przez czarne pola,
I nikt litosną, dobrą rękę
Krwawego znoju mi nie otrze.
Żrenica jasna i sokola
Nie widzi skroś opony mgielnej,
I coraz słabsze, coraz wiotsze
Ciało wśród pustych dróg się słania,
A dusza w trwodze mrze śmiertelnej
I nie masz końca jej konania.
I od bieguna do bieguna
Czarny, bolesny krzyż mój sięga
Na moim czole – wieków łuna,
W mych ustach – zmarłych ust przysięga.
Żywych i zmarłych ludów bóle
Moja cierpiąca pierś ogarnia,
Na moich barkach – ich pokuta,
Więc ku błękitnych cisz kopule
Nie śmie się unieść radość skuta
I trwa we wieczność ta męczarnia.

„Tygodnik Ilustrowany” 1910, nr 22, s. 437.

W DZIEŃ ŚWIĘTA

Biją dzwony, biją dzwony
Jasnoświątne, zmartwychwstanne.

Tak szalenie stargany, tak szalenie strudzony
Duchu, ty sobie czy słyszysz Hosannę?
Zapomniane, zamarłe zadzwoniło nareszcie,
Wróć na usta, przysięgi mej roto!
Sny rozwiane, rozdane, powracajcie, pospieszcie!
Wskrzesicielko, tęsknoto, tęsknoto!

Biją dzwony, biją dzwony
Jasnoświątne, zmartwychwstanne.

Cóż, czy zgasłeś na zawsze pod twoimi brzemiony?
Dłoń niewidna sypała wciąż manną,
Lecz me oczy, oślepię od wysień bez miary
Nie widziały ożywczej tej łaski
I bez końca spadały, łomotały ciężary,
A zaranne wstawały z wód blaski.

Biją dzwony, biją dzwony
Jasnoświątne, zmartwychwstanne.

„Romans i Powieść” (dod. „Świata”) 1910, nr 37, s. 318.

DZWON ZATOPIONY

I zerwano mnie z mojej dzwonnicy,
Gdym zadzwonił w poranny ten czas
Tylko raz –
tylko raz.

I rzucili mię źli niewolnicy,
Głuszac dźwięk mój, mój jęk wrzaskiem trąb
W morza głąb –
w morza głąb.

Zapadłem w bezdźwięczność, w odmęty
I bawiły się wiry fal morza,
Rwąc na dno –
rwąc na dno.

Ale serce me pomni ton wszczęty
I próbuje uderzyć w ten ton
W toni dzwon –
w toni dzwon.

Próżno serce się sili i tłucze,
Bo zagłusza wołanie o cud
Ciężar wód –
ciężar wód.

O, potężniej, potężniej zahuczę,
Niech się przedrze przez głębin tych mur
Jęków chór–
jęków chór

I poruszy mój głos, o, ty, morze,
Przez koryta podziemnych twych rzek
Senny brzeg –
senny brzeg.

I w rozgłośnym twych fal rozhworze,
Dźwięk podchwyci, mój dźwięk, tężąc słuch,
Czujny duch –
czujny duch,

Lecz czy z głębi mię słyszą, ja nie wiem,
Zagrzebuje mię proch kropel-szczypt
Na dnie krypt –
na dnie krypt.

Huczę, huczą potęgi zarzewiem.
Czyż upada ten głos ze dna mórz
W otchłań głusz –
w otchłań głusz.

Czyż me serce strudzone i rdzawe
Nie przebije już wodnych tych mas
Choćby raz –
choćby raz?

Dzwonię, dzwonię na straszną zabawę,
W morzu - trumnie, gdzie tłoczy wód stek
Mnóstwem wiek –
Mnóstwem wiek.

I nie słyszy mię nikt. O, szaleństwo!
Nikt nie widzi nadludzkich mych prób,
Wkoło grób –
wkoło grób.

Więc wydzwaniam głębinom przekleństwo,
Zrywam z sercem ostatni mój ton –
Martwy dzwon –
martwy dzwon.

„Romans i Powieść” (dod. „Świata”) 1910, nr 53, s. 447.

POGRZEB

A gdy zakończy się już życie,
Jak wykonanie słów przysięgi,
Gdy się rozrzucą na granicę
Żałobne, z czarnej mory wstęgi,
Wtedy, choć ucho ich nie słyszy,
Grają melodie wniebowstępane
I świeci szafir słodkiej ciszy
Przez chmury czarne i posępne.
I są tajemnic pełne groby
Oknem na wieczność szafirową,
I jest zawodny śpiew żałoby
Psalmodia jasna i godową
I gdy wsłuchane w smutne dzwony
Krwawią się serca poszarpane
Czyjś głos kochany, oddalony
Szepcze cichutko: zmartwychwstanę!

„Świat” 1910, nr 47, s. 3.

W STEPIE

Dajcie mi wielkie stepów obszary,
Dajcie czarnego, jak noc, rumaka.
Wskoczę, zawołam – i rumak kary
Pomnie wraz ze mną w dal lotem ptaka.

A wicher wojny, wicher stepowy
Niechaj mię tchnieniem swoim owionie,
Niechaj rozrzuci włos z mojej głowy
I pałające ochłodzi skronie.

Z dala od gwaru, z dala od szumu
Będę leciała przez step bez końca,
Słuchając wichrów stepowych szumu
I nic nie widząc, nad blaski słońca.

I nic nie widząc, nad traw zieloność,
Nad błękit nieba i nieskończoność.

„Kurier Warszawski” 1911, nr 159, s.5.

SEN

Rozkujcie moją duszę z bolesnej martwicy,
Obudźcie moją duszę, bo śpi – nie umarła.
Porwał ją w mrok podziemi smutek bladolicy,
Uśpiło ją zakłęcie złego starca-kała.

Niech bohater-królewicz zejdzie w noc trumienną,
I z ciężkiego grobowca pokrywą odrzuci,
Moją duszę zobaczy tam – królową senną –
I słonecznym uśmiechem do życia powróci.

Obudźcie moją duszę, bo śpi, nie umarła,
A wszakże i umarłe w promieniach odżywa ...
Jasnego królewicza rozsiekął miecz kała,
Przytoczyła grobowiec kamienna pokrywa.

„Kurier Warszawski” 1911, nr 159, s. 5.

NA POŁUDNIE

W naszej chłodnej siedzimy izdebce,
Kaszel targa krwawe resztki płuc,
Dni mijają szare, dni, jak ślepce...
Przyjdzie wiosna, jak zwycięski wódz.

Pojedziemy wtedy na południe,
Do zielonych, do kwitnących drzew,
Róże będą się uśmiechać cudnie,
Morze cudny swój zawiedzie śpiew.

Miłość w chorych obumarła ciałach
Zmartwychwstanie, błysnie tęczę z wód,
Wykołysze morze na swych wałach,
Wykołysze wielokrotny cud.

Pojedziemy wtedy na południe...
Poza nami stoi, czuwa mrok
I powoli spycha w czarną studnię
Po iskierce, zwolna gasi wzrok.

„Świat 1911, nr 10, s. 8.

TRZEBA IŚĆ

Trzeba wciąż naprzód, w górę iść,
Choć męczy życie.
A jeśli przyjdzie w boju paść,
To paść – na szczycie!

„Romans i Powieść” 1911, nr 16, s. 135.

O ZMROKU

O zmroku..!
O cichym, szarym zmroku,
Tęsknota, żalność wielka
Opanowuje duszę –
Życie się duszy zdaje
Dalekie, obce, wrogie...
Coś błaga w niej: –ach, nie żyć!..
I płacze coś:–żyć muszę... –

O zmroku...
O pełnym widzeń zmroku –
W drzemiącej ciszy domu,
W rodzinnym bliskim kole
Samotnie bywa duszy...
Pragnie, by ktoś mógł z ludzi
Z nią razem płakać... nad nią..
Lecz wnet łka:–Sama wolę!..

O zmroku...
O zmroku dnia, gdy nie ma
Ni światła ni ciemności –
Nad lotów swych otchłanią
Zwisa przerażona,
Nieznane –tajemnicze – wieczyste
Patrzy na nią...

„Romans i Powieść 1911, nr 16, s. 135.

CHWILA

Wieczne dzwony dzwonią, dzwonią,
Wieczne kwiaty dyszą wonią,
Wieczne ptactwo sennie gada,
Wieczorna rosa srebrna pada...
Wieczorna mgła się wznosi z wolna,
Wieczorna wilgoć pachnie polna,
Wieczne dymy w przestwór płyną...
Och, marzeń, pieśni, snów godzino!

„Romans i Powieść” 1911, nr 16, s. 135.

TĘSKNOTA

Jeszcze blaskiem gra słońce... Już kona.
Wstanę pójdę, najmiłszy, do ciebie!
Jak ten wieczór jam dziś uciszona,
Jak to słońce, co gaśnie na niebie ..
Dłonie oprę o twoje ramiona,
Pójdę duszą w twe oczy.. daleko ..
Jako głębie przepastne twe oczy!
Pod ich czujną chcę zostać opieką
i niech wieczór nas jasny otoczy
Skrzydłem ciszy...

Patrz na suknię mą białą: jam biała,
Jak lilie, jak święci anieli...
Chcesz, bym zawsze już taka została?
Może wzrok twój się mną rozweseli...
Wzrok twój dziwnie goreje i pała...
Może trzeba, bym oczy ci dłonią
Przysłoniła.. Ty drogi i miły!
Twoje oczy miłości łyż ronią!
Teraz będą nam raje się śniły
Gdyśmy razem...

Jakże smutno mi było! Te lata
Bez miłości – jak ziemia bez słońca,
Jakby grobu zapadła się krata!
Już myślałam: tak będzie do końca...
Teraz drzwi się otwarły do świata,
Teraz żyję znów! Wiesz ty, że żyję,
Wiesz, co czuje podróżny, gdy w drodze
Znajdzie źródło – i pije – i pije!!...
Daj – niech serce me spiekłe ochłodzę
W źródle życia!..

U CELU

Na stolicy siedziałeś wysoki,
Niedostępny, jak gór wieczne śniegi.
W szat czerwieni, jak w strugach posoki
Stały długie siepaczy szeregi,
Jak dwie żmije, rzucone pod stopnie
Twego tronu – milczały okropnie.

A szerokość tej żywej ulicy,
Jako dywan, słał ostry brukowiec...
Tyś zawołał z wyniosłej stolicy,
Wzrok w me serce wbłysnąwszy: – Odpowiedz,
Gdy pytanie z mych oczu wyczytasz! –
Więc wstąpiłam w potworny korytarz.

Na spojrzeniu twym, niby na nici,
Aż pod stopnie złożone wiedziona.
Na mój grzbiet spadły sznury i wici,
Po kamieniach ma stopa czerwona
Niosła ciało, co w męce omdlewa...
Głucho razów szemrała ulewa...

Tłum, co huczał za murem siepaczy,
Miotał we mnie ze śmiechem pecyny...
Gdy ścieżyna krwi pochod mój znaczy,
Tyś mi uśmiech słał z twojej wyżyny
I źrenica twa, w moją wtopiona,
Nie widziała, że ciało me kona.

Zachwycenie we mroku mym było,
Które męce najgorszej urąga...
Słałam, jak we śnie, i wciąż mi się śniło,

Że się dłoń twa nade mną wyciąga,
I wszechwładnie siepacze powstrzyma...
Szłam, bez słowa błagając oczyma.

Tyś nie skrócił mej drogi – pogodnie
Oczekując, aż ból mety dopnie,
I gdym padła, jak ścięte pochodnie,
Lejąc płomień mej krwi na twe stopnie,
Wyciągnąłeś królewski i władzy
Rękę z berłem po zewłok mój biały.

I mówiłeś: – Przy sobie posadzę,
I otoczę cię szczęściem dostatniem,
Z tobą skarby podzielę i władzę! –
Wtedy ja, z wysileniem ostatniem,
Odrącałam miłosne twe dłonie,
Krwia plunęłam w twe czoło w koronie.

„Literatura i Sztuka” 1911, nr 12, s. 2.

BŁOGOSŁAWIENSTWO

Błogosławionyś, męczeński stygmacie,
Błogosławionaś, twarda ma pościeli,
Błogosławionaś, plamo na mej szacie
I bólu, którym moc ma się weseli,
I ty, przemierze jarzmo, ty, poddańcze,
Musie bezsłownej, gniołcej przysięgi,
Ślepych wydarzeń żarłoczne szarańcze!
Za to, że przez was złoty łan wyżarty,
Że się perłowa moja białość sroma,
Że omyłone czujne moje warty,
Że zmierzchła w wiedzę szczęśność nieświadoma,
Że nogi tłumu o mą pierś się wsparły,
Że chciwie spałem wszystkich złud haszysze,
Że poszarpały płaszcz tytana karły,
Że krzyk mój wsiąkł w nieprzerwaną ciszę –
Za to, że wszystkie zamkowe krużganki
W grodzie przywiązań dla mnie się zawarły,
Za to, że truły wonią wasze wianki,
Za to, że moje dumne sny – umarły –
Za to, że wyście byli tacy mali,
Żeście mię chcieli nagiąć do poziomu,
Żeście w przeczyste me krynice plwali
I nie zadrżeli na huk mego gromu,
Że zapoznaliście wirchów orędzie,
Żeście wygnali przewspaniałe pawie,
Waszą ironią zabili łabędzie
Te moje białe – ja wam błogosławię!
Bo oto w mięśniach moich hart stalowy,
A oto nimb się złości w krąg mej skroni,
Bo oto ból mój tępy, bezcelowy
Moc nieskończoną nowych form wyłoni.

Że blask łśni we mnie nie winien dzień słotny,
Skapcy, nie winni, żem jest tak rozrzutny.
Otom wam dzięki, silny i samotny
I tak bezdennie, nieskończenie smutny.

„Bluszcz” 1911, nr 18, s. 183.

TANNHÄUSER W GRODZIE WENUS

Sennie drzemie grota niebieskwa,
A błękitne morze szemrze z cicha...
Służki Wenus: Dosyt i Zabawa
Winogradu sączą krew z kielicha.

Goście Wenus huczni i biesiadni
Ku dziewczynom rudowłosym rwą się,
Aż ich winna tęgość obezwładni,
Aż sen zejdzie – słodka przerwa w płąsie.

Na różanym, na upojnym łożu
Pani Wenus leży pokaźliwa,
Jako fale pienne wzięte morzu,
Tak jej piersi dwoje z szat wypływa.

Pani Wenus w lirne struny trąca,
Pani Wenus trąca w tan lubieży –
Taka cała prężna i gorąca
Taka cała prężna i gorąca
Na szkarłatnych różach biała leży.

U jej stóp Tannhäuser zamyślony
Hen, na morzu złote blaski ściga...
Te rozbieżne, te lubieżne tony,
Ta użycia sprzysiężona liga...

U jej stóp Tannhäuser śni w udreće
– Upojone, syte moje zmysły.
Upieszczone ciało przez jej ręce –
Dni, jak bańki, co w powietrzu prysły...

Upojone zmysły moje, syte,
Życie moje równe, życie pewne –
Stoły co dnia suto są nakryte,
Wnętrze groty wonne i przewiewne...

Pani Wenus czujna się odzywa:
Mój rycerzu, miły Tannhäuserze,
Otom marzeń twoich zjawą żywa,
Czemuż gonisz myślą gdzieś w bezbrzeże?

– Otom szczęścia ludzi kształt niezwodny,
Przyszłość jestem przez was upragniona.
Czy pamiętasz, jak zziębnięty, głodny
Wyciągałeś ku mnie w dal ramiona?

– O błękitnej mojej śniłeś grocie,
O rozkoszach wciąż pełnego stołu –
Bojowałeś o mnie w krwi i pocie,
Długo szedłeś do mnie wśród mozołu.

– Twoje łono w spazmie żądzы dzikiej
Przyzywało próżno me uściski –
Uciszyły burzy twej poryki
Mojej groty niebieskawe błyski.

– Moja cudna, niebieskawa grota –
Tu przyjąłam twoje głodne bandy –
W dłoń ci dałem lirę miast brzeszczota,
A na skroń miast hełmu – róż girlandy.

– Twoje ciało syte, upieszczone,
Słuch czaruje ci melodia cicha.
Czemuż biegiesz myślą w nieskończone,
Czemuż pierś twa z udręczeniem wzdycha? –

Pani Wenus, żywy marzeń kształcie,
W sytym ciele tęskni moja dusza,
Rycerz coraz ozwie się w rybałcie –
Mam na skroni wian miast pióropusza.

– Pani Wenus, oplot twój tak słodki,
Lecz w nim wizja nieskończona zgasła,
Słuch osnułaś mój w jedwabne motki,
Jak usłyszę grzmiące z dali hasła?

– Pani Wenus, twa świątynia skalna
Tak bogata w czary i uroki,
Lecz jest inna sfera – niewidzialna,
Lecz jest inny strop – do gwiazd wysoki.

– Pani Wenus, gościsz mię w swej grocie
I na niczym tutaj mi nie zbywa –
Lecz się dusza w bezkres rwie w tęsknocie –
Ciało szczęsne, dusza nieszczęśliwa.

– Pani Wenus, zniszcz pienne morze,
Zniszcz wieczności oceany we mnie,
Wtedy u stóp twoich się położy,
Życ beztrosko będę i przyjemnie.

– Ale póki, pani białoręka,
Wieczność we mnie huczy jak organy,
Chociaż ciało syci rozkosz miękka,
W niewidzialność rwę się zbuntowany.

– Od płomiennych świata hieroglifów
Nie odwróci wzroku żadne szczęście –
Oceniwszy hełm skrzydłami gryfów,
Wybijuję klucze w bitwy chrześcicie...

– I już nie wiem, czemu moja litość
Umieściła głodnym na chorągwi
Ukojenie wszelkich żądz – Wszechsytość,
Nie napoi woda z twoich stągwi!

– Wiodłem walkę długa i upartą,
Oszukaną teraz pytam duszę:
Czy to było warto, ach, czy warto?
Pani Wenus, żegnaj, odejść muszę!

Chce na szczyty trudne iść, urwiste,
Morze stamtąd ujrzę szlak bez końca,
Którym dążą przez ofiary czyste
Wyzwolone duchy w wieczność słońca. –

„Kurier Warszawski” 1911, nr 126, s. 3-4.

CZARNY KSIĄŻĘ

Powieść poetycka

I

W kraju, gdzie szumią ciemnych sosen bory,
gdzie w złotym zbożu modre chabry kwitną,
gdzie łąk się ściele dywan różnowzory
poprzerzynany wstęgą rzek błękitną –
w kraju, co leży, jak ciało olbrzyma,
stopą o góry granitowe wsparty,
a skroń na morskim aż wybrzeżu trzyma –
w tym kraju z dawna kipiał bój zażarty.
Naród się rozdarł na połowy wraże:
lud obudzony, jak piorun, się ciska
druzgocząc pany, dawne gospodarze,
co, zwłókłszy skarby w swoje legowiska,
warczą przed niemi, jak psy chciwe żeru.
Nie pragnie jutrzni dumna ich ślepotą,
toną, a jednak nie puszczaają steru,
władzy swej jeszcze chciwsi, niżli złota.
Lecz prawda duchy zgina i zniewala,
nawet wśród wrogów ludu robi wyłom
i niejednego porwie dziejów fala,
niosąc ku lepszym, ku jaśniejszym siłom.
Złoto i władzę porzuca niejeden
jako szych marny – wita prawo nowe,
tworząc ofiarą przyszłych czasów eden,
tkając ich jasną, odmienną osnowę.
Syn dawnych książąt, duch wyżynny, silny,
(za włos i ubiór Czarnym go nazwano)
Stracił swą przeszłość, jako gład mogilny

I zmartwychwstając w rzeźwe dziejów rano,
stanął do walki, w obóz swych praszczurów
coraz to straszniej waląc grom po gromie,
by na zmurszałych, starych gruzach murów,
mogła się prawda objawić widomie.
Za pewność rzutu i za hart niezłomny
Był naczelnikiem przez lud obwołany,
Przez bój zwycięski szedł z nim w dzień ogromny,
Gdy z krzykiem „równość” dłoń podadzą pany...

II.

Szeroko brama otwarta stolicy,
Wieczne słońce ciche stoi w bramie-
Powoli wjeżdża Księżę bladolicy,
A nad nim sztandar, jak olbrzyma ramię,
Zwycięzca-księżę wjeżdża w gród po bitwie,
Przeciągle, głucho dzwony biją z dzwonnicy,
Miasto zaciszone w zachodu modlitwie
Wciąga do wnętrza sznury ciemnych konnic,
Przejeżdża Księżę. Tłum bezmowny stoi –
Gwarliwe słowo dziwny urok wiąże –
każdy widokiem jego oczy poi –
gdzieniegdzie szepną zbożnie: Czarny Księżę...
Błogosławiona cześć dla bohatera!
Nad nim połyska szkarłat słońca sławy,
i ku wielkości bramy on otwiera
i dzwon nieszczęścia bije nad nim łzawy!
Bohater ludu! Symbol zjednoczenia
w niewiadomości rozproszonej woli,
ten, co przewyższa swoje pokolenia
o całą wyższość męczeństw aureoli,

I w oczach Księcia wielka wiedza płonie,
wiedza, jak wszechświat, bezkresna, tajemna,
w nim krzyk milczący, jak w ogromnym dzwonie,
w którym się tai wklęta pieśń nadziejna,
Tą dziwną władzą swój lud przewycięża,
Nie płochą żądzą ich czci czołobitnej,
i pasując w jasny blask oręża,
wiedzie ku prawdzie nieznannej a szczytnej.
Książę rumaka wstrzymał przed portalem
Wielkiej katedry, z pochwy miecz dobywa,
ślubując: „W imię nowej Jeruzalem,
śmierć z mojej ręki prędką i straszliwą
nieubłaganie każdego dosiężą
kto na me dzieło wzniesie dłoń nieprawą,
choćby me serce miały skąsać węże,
choćbym me szczęście zabił kaźnią krwawą!”
I ku tłumowi wzrok zniżając czysty,
drgnął... Dwie źrenice, jak pochodnie żywe,
jak dwa mieniste, ciemne ametysty,
wbiły się w niego, dumą urągliwe.
Drgnął... Ściągnął cugle i w zadumie jedzie
przez stary zamek o wieżycach wielu.
Młody powiernik spotkał go i wiedzie
po marmurowych schodach w głąb kastelu.
Rzucił się Książę w krzesło.
Zmierzchy lot krążyły lekko, jak szare woale,
muskając czoło silne i samotne,
złudą postaci wypełniając salę.
Cichy spoczynek przerywają kroki.
Ocknął się Książę. „No, i cóż, Gwidonie?”
– „Skruszyłeś, Książę, najtwardsze opoki,
Borzywój przyszedł, by ci ścisnąć dłonie”. –

„Niechże tu wejdzie”. I wysmukły, wzniosły
powstał z siedzenia i przybysza wita.
Mąż to był w sile wieku, krzepki, rostry,
pod brwią krzaczastą błyska myśl ukryta,
jak sztylet z pochwy. „Książę”, – chmurnie rzecze:
„dość walczyć, ziemię obracając w zgliszcze.
Wyście silniejsi, nam rdzewieją miecze.
Kto straci władzę już jej nie odzyszcze.
Więc chcemy skończyć długi spór w narodzie,
uznać za braci nasze dawne sługi,
i razem z wami podjąć pracę w zgodzie.
Zaś rozdzieloną krew we wspólne strugi
chcąc złączyć znowu, dziew dajemy tysiąc
waszym w małżeństwo, tyleż biorąc sobie.
Tobie Rogneda chce na wierność przysiąc
i być domowi twemu ku ozdobie”.
– „O Borzywoju, chętnie dłoń twą biorę,
byłeś ją podał równie, jak ja, szczerze.
Serce me, smętne i od tęsknot chore,
łącno Rognedzie zapłonie w ofierze”.
Odszedł Borzywój. Książę w niebo patrzy,
piers coś rozpiera, co się wyrzec nie da.
Jeszcze smutniejszy, niż zwykle, i bladzy
Ciszej od myśli swych szepcze: Rogneda...

III.

Dziś rozzwoniły się weselnie dzwony,
W rynku kobierce ścielą, wnoszą stoły,
Girland bez końca – cały las zielony.
Dziś dzień godowy, o, dziś dzień wesoly!
Dwie rozszarpane narodu połowy
znów się jednoczą – i na znak przymierza
zawiera śluby orszak wielogłowy
i tryumfalna czeka je wieczerza.

Sznur kasztelaniek-oblubienic sunie,
lecz choć na głowach ich wieńce mirtowe,
jak nie w welonie idą, lecz w całunie,
jakby nie w łożu, lecz w cieniu grobowe,
Gdy narzeczeni rażni, z twarzą czerstwą
dłonie podają im szorstkie od pługa,
to słowo „miłość” brzmi im, jak „morderstwo”,
a słowo „mąż twój” brzmi wzdorliwie „sługa”.
I sznur żniwiarek-oblubienic sunie,
a na ich twarzach promienna pogoda.
Oto mur starej nienawiści runie
i ciemżony dłoń ciemżycy poda.
Słodkie jagnięta, porzucając błonie,
idą z ufnością, z szczęściem ofiarniczem.
Ich oblubieńcom wzrok lubieżą płonie,
mieniając się światłem złem i tajemniczem.
Sznur nowożeńców gnie się w korowodzie,
a Czarny Książę z Rognedą na czele,
Wśród dźwięków orkiestr światła skrzą powodzie,
idą, jak senni. Wesele, wesele...
Na rozpalonych skroniach zwiędły wieńce,
Zmilkła muzyka. Lamy zwolna gasną.
Do swoich domów idą nowożeńce.
Za chwilę mocnym snem szczęśliwych zasną.
Książę Rognedę na zamek prowadzi.
Oto już sami... Lśni się haft kotary.
Błyszczącym wzrokiem patrzą w siebie błądzi.
Jeszcze nie śmieją wypić do dna czary.
Z żądzą śmiertelną w oczach wyiskrzoną
długo ze sobą łamali się duchem.
„Rognedo”, szepnął, kocham cię wyśnioną”...

Lecz odtrąciła go gwałtownym ruchem
i wybuchnęła z szałem: „Nienawidzę!
nie ciebie, Czarny Książę; ty – wysoki,
ty – sama miłość i ty – samo męstwo,
lecz ciebie, który łamiesz me wyroki.
Bo moją zgubą każde tve zwycięstwo!
Czy wiesz, co z nami ginie w naszej klęsce?
Rozkosz władania, samotności piękno!
Myśmy, jak bogi byli, my, ciemieżcę,
a wznieść się ku nam mogą ci, co klękną!
Ty, który czytasz runy tajemnicze,
czyż nie wiesz, iżeśmy tę moc posiadli,
by ludzkość chłostać, jako boże bicze?
Przez mękę myśmy ją w zbawienie wiedli!
Gdy pod mą stopą niewolnika gniotę,
wtedy się śmieje we mnie sto szatanów!
Dla mnie łzy ludzkie są jak deszcz w spiekotę,
a jęki nędznych są jak śpiew organów.
Poznaj tę twórczą tajemnicę: władza...
Wlokę tłum ludzki po przez topiel krwawą;
słaby w niej ginie, silny się odradza.
Chcę zostać dębem, nie każ mi być trawą!
Wieczysta inność dumne szczyty stwarza,
li fundamentem dla nich ludy całe.
Mnie pod szczytami otchłań nie przeraża,
szczyty niech pną się ku górze, zuchwałę!
– „Ponad szczytami jest niebo błękitne.
Na gruncie, w który krwawe poty wsięgną,
chcesz wzrastać, kwiecie złe i pasożytne.
Fosforescencją zgnilizny tve piękno!
W godzinę cudu aniołowie biali,
ku światu jasne obróciwszy twarze,
jedno tajemne słowo wyszeptali,
rozumiejącym rzucając je w darze.

Tym słowem „Jedność”. – „Nigdy nie powtórzę
słowa słabości. Odrębna, jedyna
na piorunowej, wielkiej stanę chmurze,
spoię wszystko, co karku nie zgina.
I tobą gardzę. Jasna twa potęga
tłumem nie włada, lecz tłumowi służy,
stając nad ziemią, jako tęczy wstęga,
a ja chcę groźnej niszczycielki-burzy!
Ktoś inny posiadał tajemnicę twórczą
i wszelkie życie zawarł w swoim łonie,
więc ja z nim walczę mocą światoburczą
i odpowiedzi szukam w każdym zgonie,
Wiem to i czuję: tyś J e g o wysłaniec,
więc lud twój zduszę pod stopą, jak gada,
zburzę przez ciebie usypany szaniec!
Broń w rękę chwyta, do okna przypada
i strzał alarmu padł wśród nocnej ciszy.
„Patrz” woła: „setki twoich dziś poleże!
Dziś każdy z moich, kto ten strzał usłyszy,
Rzezać ma wasze niewiasty i mężę!”
Nagle ożyła senna cisza nocy
i przez powietrze popłynęły drżące
jęki agonii, wołania pomocy,
jakby konały tysiące, tysiące...
„Sąd straszny złożę!” Czarny Książę krzyknie
i bierzy w miasto, i zwołuje hufy.
Rogneda szepcząc: „Zniknie, wszystko zniknie!”
Ścigała wzrokiem błyskające lufy
i męka myśli biła jej od czoła.
Wtem wpadł Borzywój. „Uciekajmy, pani!
Prędej dosiadaj rumaka-sokoła,
śmierć ciebie czeka. Nasi już zebrani
przy bramach miasta – zaczynamy wojnę!”

Dosiadła konia. Ciężkie biły dzwony,
biły w jej serce zdrętwiałe, spokojne.
Pożar nad miastem zapłonął czerwony,
koń rżał żałośnie i rozdymał chrapy.
W rynku bez girland stały nagie słupy,
w ulicach mroki, jak żałobne kapy
kryły rzeżące lub ostygłe trupy.
Jadąc wśród rzezi, w dusznym krwi oparze
Rogneda marzy sennie, ociężale
o niespełnionej, o piennej czarze,
o rozwichrzonym w złotych pyłach szale.

IV.

W polach dalekich, w polach jasnorunnych
Czarnego Księcia rozłożył się obóz.
Śpiew nad nim słyhać skowronków zwiastunnych,
czasem ponuro nad nim skwirczy kobus.
Jako śnieżystych gęsi klucz wędrowny,
tak na traw kitach bieleją namioty...
O hej! wiosenny smutku niewymowny!
O hej! wiosenne bezsenne tęsknoty!
Namiot rozwany. Książę odpoczywa;
głęboka bruzda jego czoło ryje:
dawno trwa wojna mordercza, straszliwa,
tyle głów spadło – hydra jeszcze żyje!
Jego źrenice ogromne i czarne
patrzają zamglone na wschodzącą zieleń
i wążąc w sobie „nigdy już” cmentarne,
czekają wizji nowych, lepszych wcieleń.
Wiatr, jak miłosna, miłosierna ręka
czarny włos jego muska i rozwiewa.
I usnął cicho. Z nim usnęła męka.
Lecz przez sen słyszy, jak ktoś nad nim śpiewa.

ŚPIEW NIEZNAJOMEJ

I

Rzekę jasną, kryształową
rozdwoiły ręce boże
wielką skałą granitową,
że samotnie płyną w morze
dwa strumienie, ongi bratnie.
Lecz gdy w cudu dzień nastanie,
wyzwolenie ich ostatnie –
znów się złączą w oceanie.

Z tęsknym szumem płyną rzeki
rozłączone lądów miedzą,
Im nieznany kres daleki
I o źródłach swych nie wiedzą.

II

Rosła brzoza nad potokiem
rozkochana w jego srebrze,
Ona chyli się ku niemu,
on u stóp miłości żebrze,
Ona gęstą swą koronę
nurza w wodę, bieg tamuje,
on korzenie jej obnaża,
kradnie życie, gdy całuje.
Kiedy uścisk ostateczny
drogie łono poda łonu,
taka chwila upragniona
będzie dla nich chwilą zgonu.

III.

Dwa płomienne meteory
na odległych krańcach świata
tęskniąc, błędząc, mkną ku sobie
całe wieki, całe lata.
A gdy znajdą się i zderzą –
błyskawica wielka tryśnie
i z ich śmierci, z ich pożaru
tysiąc nowych słońc wybłyśnie.

IV.

Gwiazdy zgasną o północy,
gdy się iszczą senne baśnią
a w powietrzu pełno czaru.
Twoja lampa niechaj zgaśnie...
W gęstym mroku, w tajemnicy
zejdę, pieszczot twoich głodna.
W jednym mgnieniu piorunowym
wypijemy czarę do dna...
Zerwał się książę, lecz śpiewaczki niema.
Woła Gwidona, rozpytuje czaty.
Próżno. Jak dziwna pali anatema
głos zasłyszany, odurza jak kwiaty.
Książę obchodzi obóz w zamyśleniu,
bacząc na wszystko, wydając rozkazy.
Lecz czasem przymknie oczy, jak w olśnieniu,
wzbudza w pamięci obietnic wyrazy.
Noc już. Ucichły wszystkie gwaryienne.
Muzyka świerszczy w marzenie kołysze.
Książę w mrok wbija oczy swe bezsenne,
czujnie, z gorączką podstuchuje ciszę.

Żołnierskie łożę zaścielił kobiercem,
zagasił lampę. Szelest za namiotem...
Wyciągnął ręce i z bijącym sercem
objął nieznaną chciwych rąk oplotem.
I była chwila zadyszana, parna...
Potem na oczy padła jasna chusta...
A noc milczała niezgłębiona, czarna,
Lecz ust szukając, nie błądziły usta...
„Kocham Rognedę bólem i żałobą,
odkąd odeszła, samotne me łożę,
a jednak czuję, że mi wolno z tobą...
Że tutaj zdrady żadnej być nie może...
O powiedz, powiedz!... Może duch jej we śnie
przychodzi do mnie? A może bezwiednie
wroga, oddarta od serca boleśnie,
miłuje w nocy, nienawidząc we dnie?”
Lecz wątpliwości znikły w upojeniu...
Usłyszał „kocham” jakby śpiew wśród burzy
i wkrótce zasnął w słodkim przemęczeniu
Z rana na piersi swej znalazł kwiat róży,
a na swym palcu odkrył brak pierścienia.
Więc myślał odtąd, że anioł litosny
przyszedł ugasić ciężki żar pragnienia
w cichą, bezgwiezdną tajemną noc wiosny.

V.

Tymczasem Czarny Książę coraz nowe
bitwy wygrywa i wroga przyciska,
a ból mu bruździ twarz, osiwią głowę;
chwila jej zguby tak bliska, tak bliska.
Ona nie kocha – jak ciemna kometa
leci nieznaną swoją parabolą...

A może... może jest słoneczna meta,
gdzie nie ma różnic między dwojga wołą?
Dwie różne prawdy – straszne dwie otchłanie
pomiędzy nimi bezdennością zieją
i jak zatruty grot w śmiertelnej ranie,
tkwią w nich te słowa: „Żegnaj się z nadzieją!”
Wie, że jej prawda – igraszką szatana,
pomni, że ręk jej szła najsrozsza męka,
a jednak – ona w taki blask ubrana,
taka wysoka, że duch przed nią klęka.
I nieraz wsącza weń pokusa rady:
niech kształt cudowny swoim pięknem świeci,
choć pełen okrucieństw i zdrady –
czyliż nie piękno jest prawdą stuleci?
W tej rozpaczliwej i ciągłej rozterce
wśród szczęku bitwy próżno szuka zgonu...
I wielokrotnie oszalałe serce
Na szafot miłość swoją wlecze z tronu.
Aż przyszła chwila, kiedy wróg złamany
pod nowe prawo ugiął szyję butną.
Lecz gdzież są sprawcy, którzy w swe kajdany
lud chcieli zakuć, niecąc waśń okrutną?
Borzywój zginął, postrzelony w płuca.
Rogneda wzięta do niewoli. Harda
idzie przez obóz, urodą zasmuca,
Zawsze z niej bije bezmiłosna wzgarda,
Tu się spotkali. Pełne urągowisk
były jej oczy, jako wonczas, w tłumie,
Jemu się dusza wlokła wśród węzowisk,
klnąc wiew zwycięstwa w chorągwanym szumie,
Czując, że w koło rozkwitają raje,
jak jej obecność w róże krew zamienia,
głosem, co jako ostra klinga kraje,
wydał żołnierzom rozkaz: „Do więzienia!”

A gdy nazajutrz zasiadł w trybunale,
gdy uderzyły weń bolesne skargi,
gdy uderzyły gorzkie ludu żale –
rzekł: „winna śmierci zbiełałemi wargi.

VI.

Po sali zamku Czarny Książę kroczy.
Chód jego chwiejny, w oczach obłąkanie.
Przeżywa jutro... „Pierś jej krwią się zboczy
pocisk mej woli będzie w każdej ranie...
Umiłowana nie śpi w swojej celi,
umiłowana teraz z śmiercią gada,
zapuszcza duszę w mroki, w głąb topieli...
Umiłowana liczy chwile błada...
Wyteżam ducha... Tę odpowiedź jasną,
tobie nieznaną muszę dać ci, muszę...
Umiłowana, nim twe oczy zgasną,
w górę, jak hostię, podnieś swoją duszę!
O... twoje oczy, twoje oczy dumne
już mnie swym chłodem przenigdy nie zranią!
Ofiarę Słońcu – kładę ciebie w trumnę...
Rognedo, usłysz szept mój nad otchłaniają!
O czemuś, Panie, mnie, jak archanioła
postawił z mieczem prawdzie twej na straży,
twej strasznej prawdzie, co ofiary woła,
co się piekielnym ogniem w sercu żarzy?
Chcę kląć cię, prawdo – i niemieją usta...
W oczach się jawią twoi groźni gońce...
Lecz bez niej ziemia pusta, taka pusta...
Wschód... Już.. Przeklinam cię, przeklinam,
Wszedł Gwido. „Książę, zostań!” – „Odstąp, idę –
do końca wezmę w siebie i wypiję
całą okropność i całą ohydę
mego wyroku. Niech się we mnie wryje!

Razem z nią idę przeżyć jej Golgotę!”
Szedł, jak trup żywy. Przed nim słońce ranne
rzucało światła snopy hojne, złote,
rozpryskując się w ogni fontannę
dokoła słupa, co już stał wkopany...
Pluton żołnierzy rażno wszedł w podwórze,
szczękają cyngle... Trup jej poszarpany
deszczem ołowiu zniknie w szarej chmurze...
Oto prowadzą. Idzie taka cicha,
taka odmienna w czarnej, prostej szacie.
Jak lichy łachman, z niej opadła pycha,
jak w płaszczu, stąpa w śmierci majestacie.
Wiążą do słupa. Głucho bęben warczy...
Wtedy na twarz jej wyszło gdzieś z ukrycia
tyle jasności, co w słonecznej tarczy –
niepokonana miłość, okrzyk życia
ostatni – w oczy Księcia się wpromienił...
Jak w pocałunku, oczy ich się zwarły...
Nagle strzał gruchnął i jej twarz skamienił...
Książę się zachwiał i padł, jak umarły.
A gdy w zamkowej ocknął się komnacie,
kazał, by wzniesli w szklanej trumnie ciało
i krew ocierał na jej czarnej szacie,
i pieścotami budził ją, zbielałą,
Twarz miała w śmierci słodką i promienną,
na palcu sztywnym błyszczał pierścień znany.
Ona to była wtedy, w noc wiosenną...
Szeptał w zadumie: „Byłem więc kochany...”
I odtąd Czarny Książę już nie patrzy
w słońce i nigdy nie rozchmurza czoła,
co dzień jest cichszy i co dzień jest bladejszy,
lecz coraz głośniejsze w nim milczenie woła.

Mówią, że salę czarną ma na wieży,
tam elegijna muzyka przygrywa,
długie godziny tam, jak w trumnie, leży
i stara boleść co dzień w nim odżywa,
A w jego oczach taka tajń straszliwa
płonie bezdennie, męką mąk zdobyta,
że straszy ludzi, bo w nich prawda żywa
w szale miłości na krzyż ofiar wbita.

VII.

I cóż, czy ludzką przekroczywszy miarę
cofnął się księżę w smutek już na wieki?
Czy przeklął siłę własną i ofiarę,
odtąd na sercu chory i kaleki?
Czy odtąd tylko w tęsknej bezczynności
ku ukochanej wizji, bezpowrotnej
wyciąga dłonie, śmierci jej zazdrości
i trwa w boleści sennej i samotnej?
Nie, swej miłości płacąc dań boleści,
nie, oplakując swe zabite szczęście,
zakon potęgi narodowi wieści
w twardym milczeniu, w swego miecza chrzęście.
I pokazuje trwaniem swym niezłomnem,
że krzyż go przygniótł, lecz nie krzyż nad siły,
że pod brzemieniem można iść ogromnem
i że się mierzy moc – ciężarem bryły –
że żadne smutki i rozpacze własne
w mężu walecznym wiary nie wygaszą,
w dzieło dni nowych dobroczynne, jasne.
Wie, że zastępy dzielne go opaszą,
zrodzone z ofiar jego i wszechmocy
i że nad jego umęczoną skronią
zwycięskie gwiazdy błyszczą pośród nocy,
które mu ustać w środku drogi bronią.

Więc Czarny Książę niezachwiany, mężny
ciągle szlakami oddali błękitnej
wiedzie swój hufiec nadzieją orężny
ku jakiejś prawdzie nieznannej a szczytnej.

„Krytyka” 1911, t. 32, s.1-12.

MORZE JESIENNE

Szara płaszczyno, morze jesienne,
pod szarym niebem leżysz bezszumne,
jako olbrzymie wieko kamienne,
jako tytanom wieko na trumnę.

Gdzie twoich głębin huczne pogniemy,
w łód miotające muszle, morszczyzny?
Patrz, białym wieńcem obsiadły mewy
wśród wód leniwych twoje mielizny.

Gdzie jest twój wicher, gdzie twój kochanek,
który ci rzucał wołanie: wskrześnij!
Na widnokręgu chmur zrywał wianek
i budził w tobie szumy i pieśni?

Gdzie jest twa groźna siostrzyca – burza,
czemu zabrała czar twojej krasy?
Gdzie są twe wały – mocy przedmurze?
Gdzie pian grzebienie, błyskawic pasy?

Morze bezszumne, morze zastygłe,
leżysz ty, szare, pod niebem szarem,
i mewy próżno wołają śmigłe,
żeś jest potęgą, żeś jest bezmiarem!

BRAMA

Nurt czarnej rzeki płynie w dale,
Nie śpiewa toń, nie pluszcze piana –
Płynie bezszumnie, ociężale,
Jak senne cielsko lewiatana.

I dwie z bazaltu czarne skały,
Dławiące rzekę, jak dwie pięście,
Tworzą łuk bramy okazały,
Bramy, za którą leży szczęście.

I straszne bramy tej cheruby –
Na skałach smoki czarne leżą
I chwieją długich szyj przeguby,
Wciąż wężąc, wężąc zdobycz świeżą.

Wsparte na łapy swe jaszczurcze,
Strzegą, by nikt się nie wdarł w tajnie,
I patrząc w wód ściśniętych kurze,
Chwieją łby małe jednostajne.

Za bramą skalną – wyspa złota,
Na wyspie – zamku złote hale,
Wszystko tam płonie i migota,
Jako diamenty i opale.

Tam kwiat ze siebie wypłomienia
Gwiazdę złocistą zamiast serca,
Tam płynie woda odrodzenia,
Co ból uśmierza, grzech uśmierca.

Aż do posępnych bram strażnicy
Nieraz rycerzy niosą łodzie –
Lecz trup po trupie bladolicy
Odpływa, chwiejąc się na wodzie...

Głowy zmiążdżone straszną paszczą
I powgniatane w pierś pancerze...
A czarne wody niosą, głaszczą
Trupy wciąż krwawsze, trupy świeże.

Bram strzeże moc nieprzyjacielska...
Na skałach tajni i zaguby
Leżą dwa czarne, smocze cielska,
Chwiejąc swych długich szyj przeguby.

„Świat” 1911, nr 10, s. 6.

BUDOWA

Krzewy bzów lila i śnieżyste
Zaokrągliły się na klombie,
Jako wachlarze rozłożyły..
Na aromatów bzowych smudze
Wlatują dźwięki cudze –
Rach-ciach – ktoś rabie –

Rach-ciach – tak ostro tną siekiery.

Czy to zbijają deski cztery,
Deski sosnowe na mą trumnę?
Kto w niej sny moje bezrozumne
Na wieków wiek pochowa?
Kto wbije w wieko ostre ćwieki,
By już tęsknota bezechowa
Nie wytryskała spod powieki?

Stuk-stuk – tak głucho biją młoty...

Ten monotony rytm tęsknoty
W serce me krwawe wręby wbija...
Czyż to śmierć się wróży, czyja?
Czy to się wznosi zrąb szafotu,
Na który wstąpię
I oczy rwące się do lotu
W krwi skapię?
Czy szafot to, gdzie spadnie głowa?

Zgrzyt... Zgrzyt... tak strasznie jęczą piły.

Płyną łzy męki i bezsiły...
Nie, to nie trumna, nie sosnowa,
Nie, to nie szafot dla mej głowy,
Lecz dwór to nowy,
W którym mię zamknie mój niemiły.

„Świat” 1912, nr 27, s. 7.

* * *

Wy pola, rozłogi ojczyste,
Chcę oddać wam ból mój i pracę,
I serce ogromne i czyste,
I wszystko, czym przyszłość wzbogacę!

* * *

Kominy fabryczne, ponure
Horyzont dymami objęły,
Lecz słońce przegląda przez chmurę
Te wszystkie, co w pocie łan zęły,
Do cichej powrócą przystani
W wieńcu przodownic na głowie!
Więc witam to wszystko, co rani...
Na ból – serce pieśnią odpowie.

* * *

Ich bólu, mój bólu rozpaczny.
Przyjmuję cię w ciche me serce
I niosę trud długi, nieznacznym.
Jak w twardej, surowej żołnierce.
A kiedyś zaszumią sztandary,
I będzie Duchowe Zwycięstwo!
Więc czekam, dniu dżdżysty i szary,
Więc czekam, wyteżam swe męstwo.
Zagłębie Dąbrowskie, maj 1912.

„Przegląd Wileński” 1912, nr 37, s. 9.

DESZCZE POSEPNE...

Deszcze posepne, płacze żałości...
Dzień bez pociechy, dzień bez radości,
Jak czarne zgliszcza, jak dom w ruinie,
Jako mogilny dół w szarej glinie.

Życie w agonii, życie kalekie
Nad moją duszą requiem dalekie
Z dzwonic samotnych, jak rozpacz, bije...
Cicho... Nie zbawią już lzy niczyje...

„Świat” 1913, nr 31, s.2.

MORZE

Niech zaszumi szerokie, niech zaszumi bezbrzeżne
Jasne morze radości, radości –
To się w szczyty sfaluje, szczyty pienne i śnieżne,
To się w równię błękitną uprości.

Śmieję się szumem, o morze, krzycz potężnie, zwycięsko,
Przez szeptanie się nie zdradź najcichsze,
Żeś zdrzało niedawno przerażeniem i klęską
I o skały się tłukło na wicherze.

Ale niech się twa fala zbyt wysoko nie spiętrza,
Bo gdy głąb się ku światłu rozchyli
I gdy oko błękitu zajrzy chciwie do wnętrza –
Ujrzy szczątki rozbite flotylli.

Nie pamiętaj, o morze, o twej głębi bezdennej –
Niechaj zżera swe próchno i kości,
I nie budząc legendy twojej krwawej i sennej,
Szum, o morze radości, radości...

„Tygodnik Ilustrowany” 1913, nr 3, s. 45.

ROZSTANIE

Daleka legenda, żeś był, żeś był...

Majaczysz we mgłach – marzenny zwid:
Hełm twój pod chmurą strusich kit,
Pod hełmem dwoje źrenic, jak grzmot,
W dłoni twej lutnia, a w drugiej grot...

Skrzydła me we krwi, na szatach pył...
To było dawno, to było w śnie -
Noce szalone, promienne dnie,
Twych źrenic do dna szczęśliwych cud,
Ręce we włosach, jak w falach wód...

Dokoła mrok, już nie mam sił...

Lałyż się słowa, jak zdroje łask?
Okalał-że mię uścisk, jak blask?
Stapiając dusze w anielski głos!
Wspomnienie ust twych, jak nagły cios...

Daleka legenda, żeś był, żeś był...

„Tygodnik Ilustrowany” 1913, nr 28, s. 548.

ŻAGIEW

Giniemy w zgrozie i bezwładzie,
Zakuci w straszną obręcz lodu...
Mróz na nas dłoń zabójczą kładzie,
A ja, wybrany do przewodu,
Stanąłem z żagwią ponad głową
I z woli mocą piorunową.

Trzeba dać ujście skutym siłom,
Wywieźć je z martwych oszołomień,
W lodowym murze zrobić wyłom
Płomień w mym ręku – jasny płomień
W lód wbijam żagiew, struga żywa
Z topniejącego muru spływa.

Zar gaśnie... Muszę przebić ścianę,
Muszę ją przebić ognia ciosem
Ja sam pochodnią żywą stanę,
Jako kometa z krwawym włosem
W płomień obwijam szaty, ręce

Tą śmiercią wyjście im odkupię –
Tak w ciężkim mym konaniu marzę –
I przejdą oto po mym trupie
Zwęglonym, niosąc na sztandarze
Żagiew płonąca, jasną w herbie.
Płonie i płonąć, mur wyszczerbię.

O JAGNIĘCIU I O NIEPRZYJACIELU ZEWNĘTRZNYM

Gotował się wilk, by jagnię skosztować smacznie.
Ono w lament i tak go molestować zacznie:
Gdzie kultura etyczna?! Prawda, że użyjesz,
Ale jakąż się hańbą i sromem okryjesz?!
Bądź sprawiedliwym! Porzuć apetyt niegodny!
Rzecz wilk: Dobryś sobie! Kiedym ja jest – głodny.

Jagnię polskie przed kłami jego wilczej mości
Z ogromną swadą beczy – o sprawiedliwości.

O JAGNIĘCIU I O NIEPRZYJACIELU WEWNĘTRZNYM

Wielką kupą opadłszy raz wilka jagnięta,
Powaliły go o ziem. Gdy go biorą w pęta
I nie bacząc na wilcze lamentsy i jęki
Chcą mu kły raz na zawsze wybić z złej paszczyki,
Czekajcie – woła jedno – miejmy to na względzie:
Gdy go kłów pozbawimy, to czym on jeść będzie?!

Jagnię polskie zasady tej przestrzega karnie:
Gdy się bronić przed kłami – to humanitarnie.

„Kurier Lwowski” 1914 nr 158, s. 2.

JAK TE KWIATY...

Idę w nasz stary ogród. Tam najdziksz
Zakątek kwieciem sam obsiałem wiosną,
Idę tam marzyć, gdy gwar mi się sprzykrzy.
Życia, a sny me, jak te kwiaty, rosną,
Klomb jest stokrocią różową obszyty,
Niby szeroką taśmą u zapaski,
Dalej lśnią bratków cudne aksamity:
Jaskrawe złoto, jak słoneczne blaski,
Fiolet jak pazia marzącego beret,
Tu czerń, tu białość migota, –
Tak tkliwie miękkie są wśród kwietnych czered,
Jak niewymowna najśłodsza pieszczota.
Pośrodku róża – niby dumna księżna
W ciemnopąsowym kwieciu, jak w atlasie,
A za nią skromnych rezed brać siermiężna,
Krzaki georgiń w jaskrawej swej krasie,
Ostrych nasturcji ogniste kieliszki,
Gwoździków krwawych i śnieżystych pęki.
Splątane kwiaty, liście i łodyżki
Utkwały dywan wielobarwny miękki.
Wyhaftowane stoją na nim słowa
Tajnej poezji, którą duch samotny
W głębi miłośnie i zazdrośnie chowa.
Są tu zaklęcia, które snów kraj lotny
Mogą z błękitnej mgiełki wyczarować,
I jest tu piękna rozkaz, który w lenno
Duszę zabiera, że ta błaga: „Prowadź
W czas nienazwany i w przestrzeń odmienną!”

* * *

Szamocę się w czarnej toni,
W bezdennej toni ginę.
Do brzegu, do brzegu płynę,
Czyż nie wyciągnie nikt dłoni?

Lecz dłoni mię wrogich mnóstwo
Precz, precz od brzegu odpycha
Na toń, na toń, gdzie śmierć czyha,
Bom z zasłon odarł ich bóstwo.

I ona i ona w tłumie,
I dusza tłumu jej duszą –
Słowa skrzydlate ją kuszą;
Ona tych słów nie rozumie...

Zieje otchłani paszczęka
Tam, pośród dłoni tysiąca
Na toń, na toń mię odtrąca
I jej bezlitosna ręka!...

„Literatura i Sztuka 1914, nr 14, s. 1.

Z CYKLU: „DROGI CIERNIOWE”

I

Otom rzucony w przestrzeń ciemną,
W czarne, kamienne jej przędzywa.
Słońce stygnące ponade mną
W cichej agonii dogorywa.

Po raz ostatni patrzę, patrzę,
Na wieczny głód się pasą oczy,
Gdy ciemność blask ostatni zatrze
I głuchą pustką mię otoczy.

I tylko w próżni tej zahuczy
Jak dzwon me oszalałe serce
I zdusi głos mrok groźny, kruczy,
W krąg rozpostarty, jak kobierce.

I tylko serce oszalałe
Już nie ucichnie, już nie zaśnie...
W oczach skupilem życie całe,
A słońce gaśnie, gaśnie, gaśnie...

II

Rzucasz na moją ścieżynę kwiaty,
O moja siostro!
A one, jako szlak przebogaty,
Za moją stopą wstecz się rozpostrą,
Dar twój precudny, dar twój tak wonny,
Serce spłonęło w zachwyty dozgonny,
O moja siostro!

Ale twe serce, serce twe zmienne,
O moja siostró!
Stało się dla mnie zimne, kamienne,
Kwiaty ktoś podciął, jak kosą ostrą,
I lśni się zamiast każdego kwiatu
Plama krwi świeżej, plama szkarłatu,
O moja siostró !

III

Mój zimny dom, mój pusty dom
W czarnym objęciu lasu...
Wtórzy westchnieniom cichym i łzom
Ciężki, powolny krok czasu.

Na zimny, obcy rzucił mnie brzeg,
Zatop dziejowej zwady...
Do mego domu zasypał śnieg
Wszystkie ścieżyny i ślady.

Śnieg-całun, gasząc zarzewie mąk,
Spowinał dom mój, jak trumnę,
Świerki-grabarze tysiącem rąk
Grożą mi nieme, bezszumne.
I wystygłego ogniska chłód
Brat mój z daleka omija...
Choć ranne serce szarpie głód,
Dłoń go nie zleczy niczyja.

I próżno poprzez zawieci szlak
Posyłam wzrok mój na zwiady...
Nie idzie człowiek, nie leci ptak,
Śnieg zawiął do domu ślady.

Gdzieś jest za setką gór, setką rzek
Kraj słońca, kwiatów, ogromu...
Puszysty, biały całun śnieg
Ślad zawiął do mego domu.

IV.

Przyjmuję sercem, przyjmuję,
Przyjmuje ochoczą wolą
Wszystko, co duszę raduje,
I ciężkie rany, co bołą.

Z wszechwolą wola ma złana,
Jak jedna z fal w oceanie,
W szczęście jest wśniona, wetkana –
Tak nieć barwista w dywanie

W cudownym gubi się wzorze...
I ja go tworzę i składam,
Twym śpiewom, morze, o morze,
Zachwytny wtór podpowiadam.

Błogosławioneś, o życie,
Lecz gdy się męka dokona
I stanę wolny na szczycie –
Bądź, śmierci, błogosławiona!

V

Ma dusza jest, jak złom granitu,
Na który wielka ręka Boża
Rzuca od świtu aż do świtu
Czarne i groźne fale morza.

I biją, biją we mnie fale,
Gryzące mnie ciosają piany,
Aż w huku wichrów, w burz chorale,
Wybłyśnie kształt niepokalany.

Bijcie, nawalne wód kolosy,
Bij, grzędo białych pian po grzędzie,
Bo im straszliwsze wasze ciosy,
Tym doskonalszym kształt mój będzie.

VI

Wielka twa dla mnie, o Panie, pogarda,
Byłem w twych oczach za słaby, za marny,
By zaciężyla nade mną dłoń twarda,
Byś mię na chleb twój zmełł pomiędzy żarny.

Komu zaufasz w odwadze i mocy,
Tego odznaczasz wielkością brzemienia,
Stygmatem bólu wieńczeni prorocy
Dźwigają w górę ludzkie pokolenia.

A Tyś mną wzgardził, a Tyś mnie ominął,
Odmówił łaski ciężkiej, długiej próby
I zawstydzony duch mój skrzydła zwinął,
Że już z męczeństwa nie odniesie chluby.

W bezbolesności nędzy, pogardzony
Zbieram raz jeszcze niezłomność i męstwo,
Nie odmów, Panie, cierniowej korony –
W niej me ostatnie, najwyższe zwycięstwo.

VII

I jest ma dusza sama wiecznie,
Czy w dzień godowy winobrania,
Gdy świat uśmiecha się słonecznie
Czy w dzień najcichszy, w dzień konania.

Na polach pustej gołoledzi
Tak stoi sosna w szacie śnieżnej,
Gdy wicher gałęzie jej przerzedzi,
I słucha pieśni tej bezbrzeżnej,

Tej wichru pieśni nieskończonej,
Co gnie i łamie ją boleśnie,
Nie śni o wiosnie, o zielonej,
Mocno ją skuły mrozu pleśnie.

Wkoło się biały tuman kłębi
I w zimne się całuny ściele –
Mróz do korzenia, aż do głębi
Wbija szkielece swe piszczele.

W takiej samotni przeraźliwej,
W takiej bezbrzeżnej pustce chłodu,
Życ dano duszy, duszy żywej,
Wśród widzialnego dusz pochodu.

Lecz jest gdzieś region niewidzialny,
Są dusze-jednie w tym regionie,
W dzień trudu mroźny, w dzień upalny
Nade mną wyciągają dłonie.

I czasem dusza, otoczona
Jakiejś melodii cichej kołem,
Śni, że wśród drogich stoi grona,
Ich tchnienie czuje ponad czołem.

Przyjdzie dzień śmierci, dzień spokoju,
Skończy się pracy dzień powszedni,
Odejdą po tym ciężkim boju
Do własnych dusz, do wiecznej jedni.

VIII

Jesteś przy mnie, wieczności,
Jesteś przy mnie, ogromie,
Tyś jest ciszą, co gości
W każdym kształcie widomie.

Każdy wonny kwiat w lesie,
Każda gwiazda zarania
Wieść o tobie mi niesie,
Twoją tajń mi odsłania.

Jest-że kształt dość przyziemny,
Jest-że twór dość wzgardzony,
By w nim nie tkwił tajemny
Brylant twojej korony?

Wszędzie, wszędzie odkryta
W oceanie i ziarnie
Wieczność woła mię, wita
I ku sobie mię garnie.

Jest jej pełnią otchnięta
I lilija, i zielska,
Każda ziemska ponęta,
Każda wizja anielska.

Czyli w fali zmienności,
Czyli w skalnym załomie,
Jesteś przy mnie, wieczności,
Jesteś przy mnie, ogromie.

„Tygodnik Ilustrowany” 1920, nr 7, s. 133.

EROTYK

Gdybyż ci wszystkie tej ziemi laury
Rzucić na czoło tve dumne!
Moc zrosłą z chwałą, jako centaury,
Z orędzim tchnąć w rzesze tłumne!

O, gdybyż z wszystkiej potęgi świata
Zmurować tobie podnóże,
By dusza twoja, dusza skrzydlata,
Treść lała w formy, jak w kruże.

Gdyby ci można równy gościniec
W odpornej grudzie wycisnąć,
W boju nad mieczów łyskliwy młyniec
Twym mieczem zwycięskim błysnąć!

Tę chwilę, kiedy strojny diademem
Stałbyś wśród rzesz uniesienia,
Chcę wydrzeć losom w oddaniu niemem
Okupem mego cierpienia.

Lecz gdy nie mogą trudy nadmierne
Niepomyślności odwrócić, –
Cóż mam uczynić? Serce me wierne
Mogę pod stopy tve rzucić!

W nim jest zwycięstwo, w nim hymn zachwytu,
Gdy wkoło oczy złe, ślepcze...
Lecz ty nim wzgardzisz, dążąc do szczytu,
Stopa je twoja rozdepcze.

A gdy krew tryśnie, czując konanie,
Szepnie to serce w szkarłacie: –
Czy się nie gniewasz, o ukochanie,
Za bryzgi krwi na twojej szacie?

„Nowy Przegląd Literatury i Sztuki” 1921, t. 2, nr 5, s. 260.

BALLADA O RYSZARDZIE LWIE-SERCE

Szedł król w dalekie kraje,
Lwie-Serce, mocny król,
Tam, gdzie palmowe gaje,
Skwar w niebie, w wodzie sól.

Szedł król, ach, król rycerny
Śladem złocistych złud.
Grób pański ma niewierny,
Ziści się, ziści cud.

I dusza prawdy głodna
Zanurzy się w jej zdroj,
Wypije ją aż do dna.
Zapomni ból i znój.

Przy królu minstrel młody
Cieszy go gęźbą strun
I dzieli z nim przygody
Wśród bitew, szczęku, łun.

I była chwila święta:
Król dotarł aż na wschód...
Zerwane duszy pęta,
Nasycon duszy głód.

Przy Grobie Świętym klęka,
Śpiewa w nim cisza cisz,
Przezysta boża ręka
W serce mu wkreśla krzyż.

Muzułman pognębiony,
Wolny już Pański Grób,
Lecz znów w rodzinne strony
Woła go tysiąc zgub.

Tam w Anglii złe zarzewie...
Król śpieszy w kraj rodzinny
I w drodze znikł. Nikt nie wie,
Kto zguby jego winny.

I szarpie żal minstrela;
Przebiega z kraju w kraj;
– O, usłysz, przyjaciela!
O, lutni, wołaj, graj! -

Aż wreszcie ludzie prawią:
– Jest wiezień w jednej z wież,
Smutki go wielkie trawią,
Rzuca się wzdłuż i wszerz.

– Lecz próżno gniew w nim kipi,
Mocny, o mocny mur,
I rygiel rdzawo skrzypi
I wart tak liczny wtór!

– Lecz kto to – nie wiadomo... -
Więc poszedł wierny druh
Do wież na górę stromą,
Wyteża wzrok i słuch.

I w lutnię swą uderza,
Nuci znajomy śpiew
Piękny, jak róża świeża...
Pozna go Ryszard-Lew.

Znajomy ton ballady
Wlewa się w serca noc
I słucha Ryszard blady,
Gra w piersi szal i moc.

– To pieśń, to pieśń Blondela! –
Podchwycił strofę w głos,
Poznał go słuch minstrela,
Zakończy się zły los.

Tak wszystkich, co zepchnięci
W ponurą smutku cieśń
Wyzwoli i uświęci
Strun cudotwórczych pieśń.

„Świat” 1921, nr 47, s. 10.

SZCZĘŚCIE

Jezioro srebrne, cichoszumne,
Kryształnie lśni się i zwierciedli...

Szczęście bezmowne, bezrozumne
Tych, co na wieki sen posiadli.

Ponad jeziorem pałac biały
Wznosi krużganków filigrany.

O dniu pogodny i wspaniały,
O czystych ochłód pełne dzbany!

Białe łabędzie cicho suną
Po rozsrebrzonej wody fali.

Harfa gra każdą srebrną struną,
Wszystko się srebrzy i kryszali.

„Kurier Poranny” 1921, nr 349, s. 2.

MILCZENIE

Gdy cię oplecie tryumfalnie
Twych przewyciężeń wieniec krwawy
I w czarne pracy twej kopalnie
Zstąpią wybawcze ogni w jawy –

Wtedy się w dzień wyzwolin wyda
Godowym każdy dzień żałobny,
Różdżką oliwną każda dzida,
A każdy ból tak drobny, drobny.

Lecz póki pochód trwa bolesny,
Tak ostre, ostre są kamienie,
Gościniec życia tak bezkresny,
Tak straszne – w górze – tam – milczenie.

„Kurier Poranny” 1922, nr 58, s. 2.

ZMARTWYCHWSTANIE

Rezurekcyjny uderzył dzwon, uderzył dzwon!

Ziemia czarna, oparna,
Jako razowca świeżego glon,
Ziemia, tuląca miłośnię ziarna,
Gdzieniedzie strojna w ozimin płaszczce
W ciche zagaje, w wykrotne chaszczce,
W potworne kręgi huczących miast –
Pod migotaniem wiosennych gwiazd
Leży bolesna ...
Leży bezkresna.

Przez wysrebrzone powietrzne szlaki
Chrystus w szat bieli płynie na wschód ...
Na rąbku płaszczka – polskie widłaki,
W rękach – wierzbowe kotki znad wód.
Wśród pól Syberii dłoń Chrystusowa
Dotyka palmą po grobie grób.
Wstają męczenni pod tchnieniem Słowa,
Po gorzkiej śmierci, po latach prób,
Wstają męczenni, wstają dręczeni,
Korowód cieni,
Płynie pod wodzą Chrystusa białą
Zobaczyć C i a ł o !

I stanął orszak u granic:
Zakłęcie rzuca Pan:
– Polegli, od górskich krzesanic,
Polegli, od morskich pian,
Wstawajcie – z okopów pleśni,
Wstawajcie – z pola bitwy.

Już niech się wam zmora nie śni,
Ni jęk ostatniej modlitwy!
Wstają cienie – wszak rozkaz – tu front!
Członki złamane, oczy wydarte,
Dusze zawzięte, w męce uparte,
Serca płonące, jak lont!
Rany, jak cudne orderów wstęgi,
Gwiazda nad czołem wyniosłym, mężnym –
Znak dokonanej przysięgi!
Po krwawym żniwie cichym okrężnym
Śpieszą do Matki na dwór!
W powietrzu tęsknoty chór ...

– Warszawo, Warszawo! –
W powietrzu szloch ...
– Naszaj to, naszą sprawaj?
Błogosławion stryczek, kula i loch!
Wsie nasze gonne, skrzydlate miasta!
O, radość, radość serce przerasta!
Myż to już – bez niewoli?
Radość bez końca – ocean słońca
Radość tak wielka, aż boli!

Ziemia czarna, oparna,
Tuląca miłośnie ziarna,
Czeka pługów i bron ...

Rezurekcyjny uderzył dzwon, uderzył dzwon.

„Kurier Poranny” 1922, nr 104, s.

WIDMO

Idę. Ocean równi szarej
Przede mną w bezmiar się rozszerza.
Ujęty w krańce widnokręgu,
jako w dalekich snów wybrzeża.

Idę, a za inną bezgłośnie
Widmo się sunie.
W krwawej zachodów łunie
Rośnie – zakrywa przestrzeń – rośnie –
Widmo przeszłości... strzyga
Krok w krok
Ściga...
Strząśnięty z serca mrok
Oto się skupił i spostacił
I idzie za mną przeszłość grzeszną
Którą myślałam, żem zatracił.

O. ta ucieczka ma pośpieszna.
O, ta ucieczka nadaremna!
Idzie ponura, nieodstępna
Ta postać ciemna.
Nieubłagana i kamienna
Idzie to przeszłość nieodmienna!

Odwracani się ku widmu twarzą –
Chcę się z nim zmierzyć – nie naciera.
Zwolna się cofa w tył!
Czyż nie odpędzą, nie przerażą
Ciebie te stosy brył?
Te dobrych czynów mych kamienie
Dłoń, co stworzyła je, pozbiera.

Usypię mur, wysoki mur –
Kamienie czynów mych węgielne
Pomiędzy mną a tobą staną
I twe oblicze skazitelne
Zakryją ścianą.

Rzucam kamienie,
Rośnie mur,
O jeszcze, jeszcze!
Z twych oczu – dwóch bezdennych dziur
Wyłażą gady dwa złowieszcze
I świszczą, świszczą...
Nie mogą patrzeć w twoje oczy,
Tam grzech mój krwią szerniałą broczy.
Granity czynu mnie oczyszczą –
O rośnij, ściano!

Widać już tylko łeb widziadła,
Jeszcze kamieni, jeszcze szereg,
Kres umęczenia, kres rozterek...
Tak wykończenia serce łaknie...

Kamieni braknie!..

Głowa się wspięła i przypadła
Do muru – wsparta na krawędzi,
Nad nią kołysze się ogromna,
Nieodwołalna, wiekopomna,
I już się przed nią nie opędzi
Wzrok mój przykuty;
Kiwa się, śmieje, się szyderczo,
Kosmate grzywy w niebo sterczą
I strasznie czarna twarz się kurczy.

Wysuwa język swój jaszczurczy
I zgina w hak.
I zgrozą ślepi na mnie zieje,
I wciąż się śmieje, śmieje, śmieje..
.....
Kamieni brak!

„Tydzień Polski” 1922, nr 5, s11-12.

NA NUTĘ BALLADY

Matko, gdzie lwa radość i twój śmiech?

Czemu się nie bawisz z nami?

– Dzieci, radość mą w trumnie gwoździami

Już zabito, moją radość – grzech,

Przy krakaniu czarnych kruków trzech.

– Matko, gdzie jest twój ochoczy trud?

Gdzie plon z naszego ogrodu?

– Dzieci, biada, idzie widmo głodu,

Rydel złamał się o głążność grud,

Wydeptały zasiew racie trzód.

– Matko, czemu nie całujesz nas?

Taka martwa, z twarzą taką bladą?

– Dzieci, serce moje skamieniało,

Skamieniały usta, jako głąz,

Skamieniały już na wieczny czas.

– Matko, czemu palą twoje łzy,

Aż na sercu wypalając bliznę?

– Dzieci, w łzy me wsączono truciznę,

Łzy me palą, jako ognia skry,

Pośród szarej beznadziejnej mgły.

– Malko, czemu mgłą ci zaszedł wzrok?

Patrzcie, blada i tak strasznie milczy!

– Dzieci, świat dokoła taki wilczy,

Już nad wami czarnych kruków tłok,

Czyha na was, chłód, i ból, i mrok...

– Wilcze kły was będą tutaj gryźć,
Oczki wam wydziobią kruki,
Wilczych gromad słyszycie pomruki?
Wdał pożeną was, jak suchy liść...
A ja muszę, muszę od was iść...

„Tydzień Polski” 1922, nr 19, s. 12.

Z cyklu: „BIAŁA MIŁOŚĆ”

I drżały i mdlały, płonęły dwa ciała,
Przemożny powiązał je fluid,
A cicha tęsknota ma grała i łkała,
Jak gra na menhirach swych druid.

Jak druid na harfie, wywodząc swe żale,
Stojący na smętym menhirze..,
Całunki się skrzyły, jak cudne opale,
Nad każdym – tęsknoty, jak krzyże.

Nie zdusisz wołania, nie zdusisz ich łkania,
Ni lawy zalejesz potokiem...
I jaśmin swe kwiaty przezczyste wyłania,
Choć tryskasz granatów nań sokiem.

II.

W nienasyconych twoich objęciach
Marzyłam: oto drzwi twej świątyni
Otworzy miłość, co cuda czyni.

W złotych zaśnieniach we wniebowzięciach
Wypiją wodę kryształną dusze,
Omdlewające w żarnej posusze.

Otom przed twojej duszy świątynią,
Co zdobna, jako chramy Ellory
W głązną koronkę, w głązne paciory.

Och, ujrzę, ujrzę duszy twej lico...
Złote wierzeje otwieram drżąca.
Wchodzę z miłością, wchodzę tęskniąca.

Światłem rubinu lampa się pali.
Wśród kolumn – Kali wieloramienna...
Moja tęsknota, moja bezdena!

Wieloramienna bogini Kali
Wyciąga ku mnie, stojąc na wnęce,
Nienasycone, cielesne ręce.

„Tydzień Polski” 1922, nr 27, s.11.

BIAŁA MIŁOŚĆ

I

W okolu gwarnych miast
Samotny zamek twój...
W ogrodzie wśród róż i tuj
Schylony, pielę chwast.

Ty z komnat nadchodzisz głębi,
Schodzisz po stopniach z marmuru,
Stąpasz po kobiercu ze Smyrny,
Po zawiłym, w arabeski kobiercu –
(Krok każdy echowi się w sercu) –
Idziesz dalsza, niż najlodsze Alp firny...
Od ciebie smugi złote, słoneczne
Niewidne suną, niby ręce na ratunek,
Po nich czuję zbliżenie, kierunek.
Idziesz... Tak mi pusto, bezdomnie...
Zaraz spuszczą, zaraz spuszczą czarną zaworę...
Może uśmiechniesz się do mnie.,
Może nie zauważysz...
(Tak tłucze się serce chore,
Chwil nieodłączny towarzysz).

II.

Mówiłeś, żeś widział w ogrodzie
Śnieżystych, wiosennych drzew szpaler,
Że stały ściszone w pogodzie,
Jak żagle od galer.
I była ich woń rzeźwa, czysta,
Jak naszej miłości aromat.
Jak cicha tęsknota wieczysta

Wśród gwarnych, głębiących się gromad.
I nie ma już ciebie. Lecz przy mnie
Jest gałąź zroszona i wonna,
I wieje w ros zimnie
Tęsknota dozgonna, dozgonna.

„Romans i Powieść” (dod. „Świata”) 1922, nr 48, s. 2.

BIAŁA MIŁOŚĆ [III]

Wzrósł między nami kwiat purpurowy
Na białych, białych śniegach ponowy,
Bezlitosnymi ciosami stóp
Sama go w biały wdeptałam grób
I otulałam w śniegu powicia,
Żeby już nigdy nie wstał do życia.
I przestwór śniegu milczy bolesny.
Milczy bezkresny...
I nie wiem, nie wiem, czy to wdeptany
W mroźne kobierce,
Kwiat od śmiertelnej czerwiejszy rany,
Czy moje serce?

„Kurier Warszawski” 1923, nr 201.

POEZJE**SILA**

Moja siła gromowa, moja siła bez granic
We mnie gra, w mojej krwi tętni, śpiewa...
Kaźde chcę, znaczy mogę! Zrzucam głazy z krzesanic
I najgrubsze ze ziemi rwę drzewa.

Krzyczy we mnie zwycięsko wyrwidębia potęga,
Peanowo gra moc waligórna,
W moich rękach żelazo tak się zwija, jak wstęga,
Ponad ludzi mój wzrost bez koturna!

Stąpam lekko, radośnie – śmieję, śmieję się wiośnie!
Graj – ohej – moja siła z granitu!
Oto mogę, gdy zechcę, wciąż się śmiejąc rozgłośnie,
Zsunąć górę, mieć dom z monolitu!

Oto mogę sam jeden metalowe kuć sztangi
Na szkielety potwornych drapaczy,
Mogę w biegu doścignąć dzikie w stepach mustangi,
Grunt zaorać za setkę oraczy!

Przeszkodami mnie nęci, ziemi woła mnie arom!
Idę! Nie znam słabości potliwej –
Walczmy tytan z tytanką! Nie podolasz mym barom,
O przyrodo, w tej walce szczęśliwej!

Moja siła jak grom – jawa wtórzy mym snom –
Puszczam w ruch koła, śmig i żarna.
Jest tu gdzie jeszcze – smok? Śmierć wyzywam i mrok!
Graj – ohej – moja siła mocarna!

PIĘKNO

Pałac z marmuru, pałac biały...
Biel kararyjska, biel przeźrocza –
Jak fantastyczne lodozwały
Na nieba tle się wyobłocza.
Rzeźbione arki i podsienia
Oczami łuków biegnąc w dale
Pełne są cisz i ukojenia...
Milczą zadumnie białe sale.
Przed marmurowe białe stopnie
Rzucony dywan morza siny
Tak przepotężnie, tak zatopnie
Gra lśniąca piersią swej głębiny.
Kształt wkuty w marmur, kształt niezmienny
I coraz inne i mieniste
Morze przelewne, srebrnopienne...
Szafir i biel – dwa tony czyste.

SZCZĘŚCIE

Westchnienie sennie w różach kona
Padłszy na płatki atlasowe,
Glicynii wielkie, blade grona
Sklepieniem ocieniają głowę.

Przewonne drzewa migdałowe
Rankowi śmiejąc się radośnie,
Rozwiały płaszcze swe różowe,
Od nocy skryształone rośnie.

Powiew leciutki mnie kołysze,
Powiew łagodny, jak pieszczota - -
I białopórą widzę ciszę,
Jak mi otwiera złote wrota.

Powiew leciutki, jak westchnienie
Na białych różach sennie kona...
Tka mgłę złocistą zamyślenie,
Pachną glicynii wielkie grona.

„Tygodnik Ilustrowany” 1923, nr 2, s. 19.

MORZE I DAL

Rozrzucił w krąg lądów siwizny swych grzyw
 Odwieczny, bezbrzeżny ocean,
W nim pływa wąż morski, w nim kąpie się gryf⁸⁹
 On szumi potężny swój pean⁹⁰.
Szalone tęsknoty nam śle w płaczu mew,
 I burze nam rzuca, i prądy.
Czaruje, i woła, i rwie jego śpiew
 Na wyspy nieznane i lądy.
Na statku przysłała nam mórz panią – Dal,
 Co oczy ma ciemnozielone.
Śpiewają jej oczy, i śpiewa chór fal:
 – O idźcie w nieznane, marzone!
Niech na was popatrzy Dal ostro, jak ryś
 I spięta wieńcami morszczyzny⁹¹,
Tęsknijcie za dałą! Ja chcę oto dziś
 Ocean wlać w piersi Ojczyzny.

„Postęp” 1924, nr 1, s. 6.

⁸⁹ Przypisy Redakcji: Gryf – ptak bajeczny, który jest w herbie Pomorza.

⁹⁰ Pean – radosny, triumfalny śpiew.

⁹¹ Morszczyzna – morskie rośliny.

Autorka nawołuje w tym wierszu, aby się w nas obudziła tęsknota za nieznanymi lądami. Ciekawość obcych krajów, przedsiębiorczość wyciągała zawsze ludzi równin na morze, rodziła z nich śmiałych żeglarzy i odkrywców. A żegluga po morzach jest źródłem bogactwa i potęgi krajów.

SKRZYPCE

W cichą odwieczną, w wirydarzu
Lilia ku lilii kielich kłoni,
Jak w kadzielnicach przy ołtarzu,
Pełno przesłodkiej, sennej woni.
Wlatują w okien ostrołuki,
W blaskach trzepocząc się, gołębie...
Szeleszczą lekko stare buki,
Wcinając liście w nieba głębie...
Rozpostarł się pas borów siny,
Leje się srebrna smuga rzeki,
Jest jak spłowiałe gobeliny,
Za mgłą widnokraj ten daleki.
W złocistych skrach zachodniej zorzy
Święta Cecylia cicho spływa
Świętą melodię, rozśpiew boży
Na skrzypcach z wtórem ech przygrywa.
Płynie melodia uroczysta,
Płynie skrzydlata, seraficzna,
Jako anielski wzrok – przezysta,
Nieogarniona, niebotyczna.
Stanęły lilie w zamyśleniu.
Liść nieruchomo trwa w ekstazie –
I gaśnie promień po promieniu,
A barw wciąż mniej i mniej w obrazie.
I stoi święta niewidzialna,
Jej nimb się mieni i goreje –
I zaświatowa, idealna
Melodia z palców jej się leje,
Jako kaskada tysiącwłosa.
Dźwięki posuchę ziemi rosą,
Ku ziemi chylą się niebiosa,
Ku niebu dusze się podnoszą.

„Tygodnik Ilustrowany” 1924, nr 18, s. 284.

Z PIEŚNI PRZECIW MIASTU

Domy-polipy, domy-potwory
Zamknęły ciężkie, ciężkie zawory,
I drzwi tysiące, i drzwi tysiące
Stoją ponuro, stoją milczące.

Zamknięte drzwi, zamknięte drzwi...

Bezlik drapaczów w szereg się spiętrza...
Wołam i proszę, pukam do wnętrza,
Pukam i walę, stukam, łomoce...
Nic.. Tylko zdarty afisz łopoce.

Na moich rękach już krople krwi
Zamknięte drzwi, zamknięte drzwi.

Głuche i nieme okute płatwy...
Wejście wzbronione, dostęp niełatwy...
Mocno wierzeje – giełdy czy chramu?
Gdzież jest wszechsilne słowo Sezamu?!

Zamknięte drzwi, zamknięte drzwi...
Cisza z uderzeń moich drwi...
Niech się odemkną nagle podwoje,
Jak ramion dobrych, przychylnych dwoje,
A elektryczność niech miękkim snopem
Owionie, gościa pod hallu stropem.

Zamknięte drzwi, zamknięte drzwi...
Odrzwia – jak gniewnie ściągnięte brwi,

Grożą pięściami głaźne atlanty,
Ręce me krwawe, zdarte o kanty...
Milczą i grożą, i wejścia bronią,
Próżno w agonii uderzam skronią...

Zamknięte drzwi, zamknięte drzwi...

„Kurier Warszawski” 1924, nr 69.

WIOSNA W MIEŚCIE

W życia miejskiego okrąg skutny
Wiosna nieśmiało się wlewa,
Bładozielone milczą drzewa,
Auto wygwizduje ostre nuty
W szafir przychylny i bezmierny...

Znów krwawią stare blizny.
Pogłębiają się w płucach kawerny...

Wszystko skute, skute, jak w obręczy,
Natrętnie wołaniem brzeczy
W podwórzu handlarz starzyzny.
Wiosna... i nawet odźwierny
Zwłókł się na słońce, z chłodnej sieni, od windy.
Wybuchą przez okno głos fortepianu,
Z Wagnera: motyw Zygldy...
Rytmiczne trzepanie dywanu
Wpada nieproszone w akordy...
O ciche obłoków siwizny!
Jak daleko już od nas pociski i hordy!
Miejskiej wiosny nastroik mizerny...

Stare znów krwawią blizny,
Pogłębiają się w płucach kawerny.

„Kurier Warszawski” 1924, nr 129.

PIEŚŃ NADBRZEŻNA

Ocean w przestworach, jak harfa
Na miarę nadludzką artysty.
Jej gryf – to mikowych skał szarfa,
A linie fal drżące, srebrzyste
To struny grające, napięte...
Potrąca je dłoń niewidzialna -
Pieśń szumi olbrzymia – to święta,
Jak hymn, to straszliwa, nawalna.

Harfiarka stanęła na głazie,
Co pod nią, jak złoty lśnił cokół,
Jak biała statua w ekstazie,
A w słońcu mieniły się wokół
Błaskami szklistymi mikowce
Głęb grała w tęsknocie i szale
I białe, pokorne, jak owce
U skał rozbijały się fale.

Dwie harfy brzmia i dwa chorały:
Ocean, jak harfa olbrzymia,
A drugi instrument tak mały,
Tak drobna dłoń ludzka go trzyma, –
Lecz w nim – oceanu bezbrzeże,
I głęb jego mroczna, bezdenne,
I ciszy błękitne pacierze.
I żądz, i arkanów gehenna.

SZALEŃSTWO MASZYN
(Z cyklu: „Pieśni przeciw miastu”)

Maszyny – potwory
Długo ssały bladych ludzi oddechy,
Wypijały rumieńce, uśmiechy,
Na zasłabłe warcząc głodomory.
Kręcąc kołem, jak uciętą głową,
Gromadziły siłę odśrodkową.
Rytm obrotów przyspieszały, przyspieszały:
Oszalały.

Oszalały maszyny!
Ośrodkowym rozpędem
Rozerwały swe nity
I rozpadły się, hucząc obłędem!
Jako lance hoplity
Lecą chmurą wyrwane z nich sztangi.
Wyczołgały się walce,
Jak olbrzymie, spęczniałe trepangi.
A transmisje – padalce
W ślad za nimi się wiją.
Kół śmigają szwadrony,
Kół, jak twarze cyklopów.
Tłuką sady, zagony,
Mkną przez paszcze okopów,
Skaczą śmiesznie przez karcze,
Gniotą glinę uparcie,
Jak rzucone w dal tarcze,
Uniesione bezwładem,
Nie wiedząc, co tarcie.

Oszalały maszyny!
Jak w dziejowej zagadce, – –
Z niewolników dziś – władce.
Rozwaliły swe hale
Z cegły, szkła i betonu,
Biegną hucząc, jak fale,
Nie słuchają ni syren, ni dzwonu.
Kocioł mknie i nie stygnie,
Jako łapy unoszą się dźwignie.
Tańczą śruby, jak bąki,
Kół zębatych pająki
Suną z uśmiechem zgrzytliwym,
Uragając wszem żywym.
Rozwalają budynki,
Rozwalają kościoły,
I wpadają na rynki,
Szarpiały masy człowiecze –
– Chrupie kość, pęka mięsień, krew ciecze!

Oszalały maszyny!
Rozruciły w gruz miasto
Tę figurę złą, x-graniastą...
Pędzą dalej w przestrzeni,
Poprzez wydmy, przez piaski
(fioletowe na niebie drżą blaski).
Morze, morze się pieni!
I wpadają w głębiny,
W fale czarne i sine
Te szalone maszyny,
Te stalowe potwory,
Na które świat był chory.

GROŹBA MIASTU

Na żółtych, mętnych wód obrusie
Stoją ogromnych hut kadłuby,
O szyjach długich niby strusie
Albo potworne plezjozaury.
Ogromne, okopcone kuby
W oparach złej, zamglonej aury
Wznoszą kominy, wznoszą w górę,
Jako błagalne z toni ręce,
Zaklinające w łzach naturę,
By nie grążyła ich w odmęcie.
Nad nimi kłębi się, przewala
Tłok chmur, jak drwiące głowy ryże...
Niemrawa, żółta, mętna fala
Wzbiera wciąż wyżej, wyżej, wyżej...

„Głos Narodu” 1925, nr 160, s. 5.

CHRYSTUS W MIEŚCIE

A gdyby Chrystus wszedł w nasze miasta
Pragnący napić się z dzbanka,
Czyby Mu dała wody niewiasta.
Jak ongi Samarytanka?

Czyby w jedwabiach sukni obcisłej
Runęła na bruki drżąca,
Czyby zatrute użyciem zmysły
Poznały światło klące?

Czyby otwarły się Mu dancingi,
sypiąc klejnotów girlandy,
Czyby miast cytar, zamiast formingi
Witały Pana jazz bandy?

Czyby tłum krwawy, tłum podburzony,
Krzyczący: – Wolność ocalmy!
Na widok Zbawcy umilkł ściszony
I w mściwe ręce wziął palmy?

Czyby na giełdzie, w chramie pieniądza
Wśród gwaru kupczącej tłuszczy,
Mogła usłyszeć ogłuchła żądza
Głos wołający na puszczy?
Tłumy, jak lawa coraz ognistsza,
Płynąca w alejach kubów,
Nie zobaczyłyby w mieście Mistrza.
Jak idzie w gronie cherubów.

NA OKOPACH

Pierś sosnowego lasu
Przeciął wzdłuż okop, jak rana,
Zieje wśród trawy atlasu
Ta blizna rozorana.

Goi ją las, jako może,
Piach lotny skrzepia jałowiec,
Ściska w korzeni obroże,
A wrzos tka nań pokrowiec.

W odstępach koło bandaży
Stanęła kalin warta.
Lecz ciągle znaczny cios wraży,
Pierś lasu ciągle rozdarta.

Na próżno wkręca się w druty
Smółka i bały powój –
Las ciągle stoi, jak skuty,
Las ranny tym cięciem rowu.

Raz na rok w Noc Zmartwychwstania
Po zapomnianej fosie
Wielki cień biały się słania
I słowo rozkazu głosi:

–Wstawajcie z plasków reduty,
Wstawajcie, żołnierze obcy!
Ruszajcie pozbierać druty.
Wyrównać rowy i kopce!

– Szliście tę ziemię zdeptać,
Ze zdradą przyszliście czarną,
Jej czystą wodę wychleptać,
Jej płodne rozrzucić ziarno!

– I połąć próchnicy żyznej
Pod piaski wyście wgnietli!
Zagoicież sami blizny –
Wielkanoc wam się zaświetli! –

Powstają z przemokłej ziemi,
Piją ze rdzawych manierek,
Ruchami widmowemi
Snuje się długi ich szereg.

Powstają z posłania gliny,
Szczękają saperskie rydle
Pracują długie godziny,
Jak krnąbrne konie w wędzidle.

Przez noc okopy zrównane,
Do czysta zebrane druty...
Spać idzie huf spracowany.
Spełniwszy dzieło pokuty,

„Kurier Warszawski” 1926, nr 93, s. 16.

BIESIADA

Ciemna kotara nieba zwisa
Nad Porcjunkulą w jasnej ciszy...
Na gołej ziemi – prosta misa,
Na niej – posiłek skromny, mniszy.

Zasiedli, aby go pożywać
Z Świętym Franciszkiem Klara Święta –
Szczęściem ich – ciernie razem zrywać,
Szczęściem ich – boleść niepojęta.

Z dali anielskich harf przygrywki,
Płyną na wzgórz falistych linie,
Łagodnie srebrzą się oliwki,
Czernieją nad potokiem pinie.

Z świętymi siadły na ich macie
Panie, ubrane w zgrzebne wory,
Świetne w łachmanów majestacie
Barwionych w krwi zrudziałe wzory.

Nim podzielili ziemską strawę
Z gośćmi Pokorą i Ubóstwem,
Święty zobaczył cudną zjawę:
Chrystusa z serafinów mnóstwem.

Ręce opadły i stężały,
Odbiegły w dał olśnione oczy
I głosząc słowo bożej chwały
Zabrzmiał świętego głos proroczy.

Spoza kotary szafirowej
Wszechmiłość – trzeci gość – po cichu
Wyszła, niosąca powyż głowy
Wino radosnych łez w kielichu.

Weszła i siadła w jasnym kole
Miłość przezczysta i anielska,
Odziana w złotą aureolę,
Miłość – jak lilia pośród zielska.

W zachwytnym śnie, w złotej topieli,
Idąc od ekstaz do mąk stacji
O ziemskiej strawie zapomnieli,
Pojąc się winem adoracji.

Patrzyli bracia na wybranych
- Gromada skromna i brunatna –
Na związek serc niepokalanych,
Którym jest obca więź szkarłatna.

Nad Porcjunkulą lśni zarzewie
Jako rozwiany włos czerwony,
To miłość, co o sobie nie wie,
Wybucha żarem na wsze strony.

– Pali się dom Panny Anielskiej! -
I ludzie zbiegną się z Asyżu...
Ni śladu siły niszczycielskiej...
To cud... Pochwalon Pan na Krzyżu!

Ojcu Serafickiemu w Hołdzie. Wydano z okazji uroczystości jubileuszowych z powodu siedemsetnej rocznicy śmierci Świętego Franciszka z Asyżu. Warszawa 1927, s. 90-91.

CHRYSTUS W MIEŚCIE [II]

Biała jabłoń już kwitnie,
Kwitną słodko czereśnie..
Tak jest lekko, błękitnie.
Tak powietrznie, bezkreśnie.

Przez łąk dywan puszysty.
Przez dmuchawców makaty
Zejdź litośnie, o Chryste,
W miasto łez i zatury.

Na złe, czarne dzielnice,
Nory zbrodni i grzechu
Zwróć słoneczne źrenice
I zwróć łaskę uśmiechu.

Miasto brzydkie boleśnie
Kwiat wiosenny oświeży...
Każde serce dziś wskrześnie
I w cud słońca uwierzy.

II

Ubrałeś w złoto dmuchawce,
O Chryste, a w biel jabłonie,
Nie poskąpiłeś barw trawce,
Ni liści drzewnej koronie.

Karmiłeś wszystkie korzenie,
Poileś źdźbła wszystkie deszczem,
Rozsiałeś ptakom jedzenie.
Dla żuków liście szeleszczą.

A w domach czarnych, zapadłych.
Jak ludzka pierś suchotnicza,
Długo robotnik poblady .
Dni głodu swego oblicza,

Jak w toni, w czarnej godzinie
Brnąc, nie wie już bez ochyby,
Że wciąż dzielone nie ginie
Pięcioro chleba, dwie ryby.

III

Zejdź, o Chryste w południe
Promieniste, wiosenne
Na podwórza, jak studnie,
Między gmachy kamienne.

Uderz kwieciami śnieżystem
Wszystkie serca bogaczy.
Tam ich powiedź, o Chryste,
Gdzie kto głodny, gdzie płacze.

I niech patrząc, jak kwiatem
Świat obsypan bez miary,
Ponad głodnym, swym bratem
Sypią miłość i dary.

Białą, kicią litośnie
Uderz w pierś ich zamkniętą,
Niech podobią się wiosnie,
Siejąc, radość i święto.

Uderz, Chryste, we dźwierze,
Smugą blasków i woni.
Uderz w piersi pancerze
Białą kiścią jabłoni.

„Kurier Warszawski” 1929, nr 88.

PIEŚNI O KOBIECIE

I.

Byłyśmy damy serca i pieśni, Egerie,
Szedł o nas walczyć w szranki rycerz i trubadur,
Na piedestał wzniesione, strojne w pstre draperie
Budziłyśmy uczucia, jak liść bez opadu.

W zwiewne welony, lśniste klejnotem przepaski
Zdobiłyśmy starownie majestat niewieści;
Kłęcząc, błagano naszej miłości, jak łaski,
Płacono chwilę szczęścia latami boleści.

Był od jarzma mężczyzny silniejszy przywilej –
Królowałyśmy, wlokąc szat jedwabnych treny,
Tłum szyszaków na nasze skinienie się chylił,
Na nasz uśmiech dwoisty: świętej i syreny.

II

Runęły zamki: życie ściele się jak preria,
Odszedł pan, lecz opiekun razem i obrońca,
Umilkł śpiew uwielbienia, znikła galanteria,
Księżyc, balkon... Iść trzeźwo trzeba w blasku słońca.

Kobiety z wnętrz zacisznych wywołał gwizd pracy,
Zrzucono barwne wstęgi, pajęczce koronki,
Miast canzony miłosnej na złocistej tacy
Podano kontrakt... Idą z energią gar sonki.

Papieros, krótkie włosy, a na włosach – filce,
Krótka suknia – gotowy strój do poniewierki.
Gdzie ten czas, gdzie barwinek, jaskry i zawilce
Splatały w wieniec ręce nadobnej pasterki,

Miał barwnego keepsake' u, drogiego wachlarza
Dzierży tekę skórzaną i z śniadaniem paczkę –
Kasztelanka z krużganku, bogini z ołtarza
Zeszła by poniewolnie pchać codzienną taczkę!

III

Wionął samum po świecie i kwietne ogrody
Wysuszył i zamienił w ponure kostnice,
Wyszły kobiety z domów pod hasłem swobody,
Zaludniły pracownie, biura i mównice.

Wyszły rojnie bez parandź, bez czadr i bez kwefów
Po miejsce w Panteonie, Westminstrze, Wawelu,
Znoszą teraz kaprysy nie mężów, lecz szefów,
Są pod władzą maszyny, retorty, skalpeli.

Podleglejsze, niż kiedy. O, pomyśl, kobieto:
Połam lancet, mikroskop i atrament wylej,
Pisałeś manifesty i krzyczałeś veto,
Zdobyłeś równe prawo, straciłeś przywilej.

„Polska” 1930, nr 5.

IV

Garsonko malowana, gdy ognisko rzucasz
I gdzieś w Underwood'a postukujesz klawisz,
Wtedy sama oddechu pozbawiasz swe płuca,
Sama się ranisz, nawet nie widząc, że krwawisz.

I rady nie podadzą najmądrzejsze księgi,
Żaden huk nie zagłuszy, ani w żadnym wichrze
Nie rozwieje się pogłos tak wielkiej potęgi,
Jaką jest płacz dzieciątka bolesny, najcichszy.

V

Są jak kwiaty w piwnicy Iruśka i Jerzyk –
Obca dłoń bierze rączki, jak płatki z atłasu,
Obca dłoń pokarm skąpo kładzie na talerzyk,
Obcy głos niecierpliwie zabrania ha – lasu.

A jeżeli się zdarzy chwila nader rzadka
I w domu ukochane oblicze zaświeci,
Roztargniona, zajęta czymś swoim jest matka,
Nie ma czasu, ni dosyć uwagi dla dzieci.

Wynaturza się zwolna – i któż ją uzdrowi?
Ten, kto zwięzi krąg przeżyć, a serce rozszerzy...
Rosną, a czegoś brak im, jako słońca dniowi,
Dwie roślinki piwniczne – Iruśka i Jerzyk.

VI

Dla nas otworem świat i dla nas sporty –
Jako menad tłum, żądzą rekordu szalony
Biegną kobiet półnagich, opiętych kohorty
Na boiska i korty, trasy i stadiony.

Mięśnie wysportowane, noga bez chińszczyzny,
Obnażone ramiona i smagłe policzki,
Istna Spartanka! Pływa, lecz trafia w mielizny,
Podlatuje, lecz tylko na wysokość tyczki.

Boksuj się, graj w volley – ball'a i biegaj na przełaj,
Kobieto! Jeźdź na nartach, serwuj, rzucaj dyski,
Ale wszelkie sportowe wyczyniając dzieła,
Pomnij: w Sparcie pracował stadion dla kołyski.

VII

Jest coraz karłowaciej i coraz po – chmurniej,
Mężczyzna już nie pragnie wyrość na olbrzymia,
O kobietę prowadzi targ, lecz już nie turniej,
Bo w zapasach zasługi – czy placu dotrzyma?

Nie dawajmy się łatwo – narzucmy znów welon,
Stańmy, jak cel, co zda się portem i pogodą.
Kto nas chce, ma być znowu wzniesion i wybielon
Mamy doskonałości być znowu nagrodą.

VIII

Idę przez żwiry i kurz,
Niebo nade mną się chmurzy,
Grom warczy... Któż mnie, ach, któż
Okryje płaszczem wśród burzy?

Gdy zranić nie zechcę stóp,
Kto mnie przez głązy przeniesie,
Kto mnie, najdroższą ze zgub
Odszuka w stuletnim lesie?

Kto w walce osób i kast
Mym wrogom w twarz klingą mignie?
Kto w gwarze kupczącym miast
Uświetni mnie i wydzwignie?

Kto mi bezpieczny da schron
Na swojej piersi szerokiej
I podda głosowi ton
I moje podeprze kroki?

IX

Otom wygnana pod chłostą plut
Z przytulnych, szczęśliwych zacisz,
I próżno stoję u niemych wrót...
Wybrany, jak miłość płacisz?

Jako na wicherze płonący stóg
Zginął mój gmach skarp po skarpie,
Odszedł obrońca – pozostał wróg –
Z nim rozpaczliwie się szarpie.

Zła zawiść za mną pobiegnie w trop,
Gdy zacznę bieg Atalanty,
I żuzłem nazwą każdy mój stop,
Choć stopię najczystsze branty.

Wyszczrzy na mnie tysiące paszcz
W walce o byt wróg – mężczyzna...
Miły – w czas burzy otul mnie w płaszcz,
Zapaśnik sam niemoc wyzna.

Wre bój pierwotny, jak w głębi puszczy,
Krwia piszac na życia karcie...
Moje ramiona gibkie, jak bluszcz,
Gdzież dla nich, ach, gdzie oparcie?

Wśród huku maszyn i wrzasku giełd
Usycham, jak ranne płonki,
Pomnąc, że mogą napinać bełt,
Gdy utną pierś Amazonki.

Wśród obłąkanych, bolesnych dróg
Zgubił się pan i obrońca,
Pozostał w szrankach rywal i wróg.
Mus każe walczyć do końca.

X

Wrogu! Silniejsza bywa twa pięść
I często zmiądzona leżę, –
Wojując z tobą o równą część –
Zawrzyjmy lepiej przymierze.

Pokochaj głębiej i jaśniej czuj,
Niechaj dłoń z dłonią się splata,
Nie walczmy z sobą – idźmy na bój
Przeciw straszному złu świata.

„Polska” 1930, nr 8.

RZEKA
(Z CYKLU: „SZLAKIEM BITEW”)

We wschodu blaskach ukąpana
Rzeka szeroka się niebieści...
I pędzi fala jej świetlana,
Trzcina nadbrzeżna w rytm szeleści.

Rzeka poszumna, piaskom szczodra...
Białe obłoki nad nią płyną,
Przepaska ziemi srebrno-modra
W jasnościach wschodu gra głębiną.

Pieśń oddzwaniają ptaki w chaszczu,
Udiamencona łśni otawa.
A środkiem rzeki w szarym płaszczu
Trup płynie – za nim smuga krwawa.

„Głos Narodu” 1930, nr 221, s. 4.

LAS

(Z CYKLU: „SZLAKIEM BITEW”)

Tchnie wszystko słodką ciszą,
Borówek lśnią rubiny,
Paprocie się kołyszą,
Kraśniej jarzębiny.

I pieśń prawdziwą jodły
Wspiewują w duszę chorą;
Ścieżyny mię tu wiodły,
Uciekam tu przed zmorą.

W leciutkich mgieł potopie
Gra poszum uroczysty...
Wtem – okop – a w okopie -
Och! – czapka legionisty.

Pomięta furażerka
Z plamą przyschniętą, ciemną,
Zza pni znów widmo zerka
Uciekam nadaremno.

„Głos Narodu” 1930, nr 343, s. 4.

DROGA
(Z CYKLU: „SZLAKIEM BITEW”)

I

Droga szeroka w białym pyle –
Na piersi ziemi blizna długa;
Suche szeleszczą coś badyle,
Ugór zapomniał dotknąć pługa.

Leżą obrzękłe i rozlane
W gnilne kałuże końskie trupy,
A kruki syte, rozkrakane
Obsiadły telegrafu druty.

Skarżą się kopce koło drogi
Pylnym kamieniem tylko zdobne,
Że był tu pogrzeb tak ubogi,
Że są tak smutne i żałobne.

A ponad polem kruki lecą,
Lecą aż żer je nowy skupi,
Noga potraça kość szkieleca...
Zapach mogilny, zapach trupi.

Ciężko nad białą wisi szosą –
Wisi i męczy – dech zapiera –
Mgły lecą w górę – aż się wzniosą
Tam, gdzie nikt więcej nie umiera.

Zapach mogilny, zapach trupi...
Grobowe, milcząc, śnią kamienie...
Każdy z nich, każdy coś odkupi...
Mgły lecą niby ludzkie cienie.

II

Idę tą droga nieskończoną –
Idę – bo pcha mnie własna wola. –
Chmury zachodu ogniem płoną,
Wkoło zdeptane czarne pola.

Idę – bo we mnie miłość płonie,
Niosę ją w piersi, jak sakrament –
Nogi tak bolą, tętnią skronie –
Iść muszę... W głowie szum i zamęt.

Krzyż czarny stoi koło drogi -
Widmowe, długie swe ramiona
Wyciąga... Krwawią się śreżogi –
Strzały... Padł żołnierz obok... Kona...

Idę przez drogi nieskończone,
Przed długich, długich dni katusze...
Mgła w oczach, stopy poranione...
Idę, bo chcę – dojdę, bo muszę.

III

Idę... Czerwienią łun zboczona
Pustać się polna w koło szerzy
A krzyż wyciąga swe ramiona –
Mijamy go – oddział żołnierzy –

Nas woła bitwa.

Zaduch mogilny, zaduch trupi,
Krzyż nad polami... Krzyż ofiarny...

Jako ptak ranny, ma modlitwa
Pada mu do stóp... On odkupi.

Krzyż nad polami wielki, czarny.

Mgła w oczach, stopy jak ołowie...
Pytam się. Chryste, kto odpowie?!

Płynie ponura, jak toń Styksu
Na widnokręgu rzeki wstęga,
I oto zamiast krucyfiks
Wid mi zwiduje się straszliwy:

Szatan na krzyża siadł ramiona,
Aż w krwawe niebo głową sięga,
Na jego czole - dwuróg krzywy,
I czarną głową chwieje,
I wciąż się śmieje, śmieje, śmieje...

Na widnokręgu słońce kona.

I widzi dusza umęczona,
Jak Chrystus naodziany blaskiem
Schodzi z błękitów, jak z ołtarza.

Dłoń podniósł – szatan spada z wrzaskiem –
Krzyż rośnie – światłem się rozjarza...

„Głos Narodu” 1930, nr 236, s. 4.

WIZJA
(Z CYKLU: „SZLAKIEM BITEW”)

W królestwie mroku, gdzie rozbłyska
Złowroga gwiazda Lucyfera
Z otchłani rzeka krwawa tryska
I rwie się naprzód, szumi, wzbiera.

I w wielkie się rozlewa morze...
Zatapia kraje, wał straszliwy,
Wszechziemne ścielą sobie łoże
Fal groźne, purpurowe grzywy.

Pod ciosem fal, jak snop za snopem
Runęły wieków wzniosłe wieże,
Wszystko zginęło pod zatopem,
Huczy piorunne krwi bezbrzeże.

Wtem rozstały się odmęty,
Dźwiga się cicho z fal czerwieni
Tum cały złoty, cały święty,
Pełen melodii i promieni.

Stoją wpieszczzone w nieba dale
Kolumny, nowych dni obrońce.
Zwolna opadły krwawe fale.
Nad tumem świeci wieczne słońce.

POWIEWY

I.

Moją słoneczny ojczyznę
Zbuduję na sercach mas,
Prostując każdą krzywiznę,
Ścierając każdą ze skaz.

Moją słoneczną ojczyznę,
Co trwa gdzieś – idea – wzór
Wywołam, jak z wód mieliznę
I wzrośnie nad poziom gór.

Moją słoneczną ojczyznę
Oblokę w ciało i kość,
Obszary podścielę żyzne:
Ma rość, i rość, i rość.

Moja słoneczna ojczyzna
Zwycięży za hufem huf,
Gdy prawdę wcieli i wyzna
Najcudowniejszym ze słów.

II.

Troskajcie się o ziemskość czujną troską Marty,
Nie niechajcie na chwilę kilofa, ni świdra,
I nie powstawajcie ni chwilę bez warty,
Bo głowy ciągle świeże dźwiga z mulisk hydra.

A jednak – z ducha mocy i bezskażnej bieli
Powstanie to, co będzie najważniejszą tarczą:
Stać będziecie, jak z mieczem przeczyści anieli,
Patrząc, jak złe pociski bezsilnie w krąg warczą.

III.

W tej nienazwanej, nieważkiej reszcie,
Co poza wszelką materią tkwi,
Więcej jest życia, niż w tętnie krwi –
Przejrzyjcie prędzej – uwierzcie!

Sięgnijcie dłonią: oto talizman...
Chciejcie, usłyszcie zaświatów śpiew,
Pochylcie czoło, przyjmijcie zew,
Jak święte dotknięcie chryzma.

„Rodzina Polska” 1931, nr 3, s. 77.

HISTORIA TOPOLI

Szczyt topoli w morzu nieba zdawał się rafą,
Krzepkim atollem, który na sobie, setkę gniazd dźwignął
Wyższy nad wszystko, parusetletni semafor
Lękiem węzlistym dawał wieczności sygnał.

Ubryłowane miękko w kopuły liście
Szopenowski nokturn szeptały nad dworem,
Szeptały z rwącą tęsknotą, cicho srebrzyście –
Zwłaszcza ten wielki konar o rdzeniu chorym.

Pewnego ranka huk – jakby salwa baterii,
Konar złamał się, runął na ganek oszklony,
Gdzie był zarazem hall i oranżeria, –
Stały łam meble z wikliny i rododendrony.

W dach przełamany wbił się konar, jak polip,
Szkło rozprysło się iv trele brzękliwe, urwane;
Jak planetarny pierścień, gniazdo na kole
Spadło – i spadły martwe małe bociany.

Posypały się również gniazda szpaków i trznadli,
Zabite pisklęta pogniosły nasturcji klomby...
Okaleczona, jednoramienna topola radli
Kikutami gałęzi błękit w nierówne romby.

Stała dalej topola jednoramienna,
Szeptem żebrząca o nowe soki, życia jałmużnę,
Po elipsach bocianów para bezsenna
Krażyła: wszyscy rzekli: – to znak złowrózenny.

Przeszła wojna. Stoi topola jednoramienna,
Obok – zburzonego dworu fundament.
W szepcie gałęzi teraz – wiedza tajemna,
W szepcie gałęzi dotąd – zburzonych gniazd lament.

„Echa Leśne” 1931, nr 5, s. 13.

ZIMA

I

Śniegiem zawiane drewnie,
Na murach szkliste zamrozy...
Wiatr wyje cicho i smutnie,
Wśród ulic skrzypią płozy.

Domeczek drewniany (parter)...
Węgłami trzęsą podmuchy,
Przed gankiem sprawują wartę
Drzewa – śnieżyste duchy.

Wewnątrz ubogo i czarno,
Ciepło uciekło przez szpary,
Wicher psalmodię cmentarną
Świszcze przez chmur kotary.

Na szybach – mrozu ornament
Skwitł pięknem dziwnym i obcem.
Wichru wyjący lament
Szaleje nad śnieżnym kopcem.

Kopiec wyrasta, wyrasta
Nad moim szczęściem zabitem...
Nad domy piętrzy się miasta,
Obłoków sięga szczytem.

II

Była ziemia wyrwista, podarta,
Oszecona gruzami i błotem,
Jak pomięta, poplamiona karta,
Jak twarz ranna uderzeniem młota.

Wyłabiały ją długo szarugi,
Człowiek piętrzył odpadki, jak garby,
Wyciek z fabryk rozlewał się w smugi,
Na nich mętne tęczyły się farby.

Wichry wbiegły, jak rumaki kłusem.
Upadł śnieg – zawiął blizny i rowy,
Wszystko zakrył najbielszym obrusem,
Świat błyszczący stał się i godowy.
Uchyliła się nad ziemią oćma mglista –
Błysnął błękit, jak w zaświaty brama.
I na krótko wśród symfonii czystej
Zapomnieliśmy o ziemi plamach.

„Kurier Warszawski” 1931 nr 45.

Z CYKLU: „W JEGO IMIĘ”

I

W ten dzień posępny, szary
gdzieżeś, słoneczny Chryste?
Przybytków Twych kotary
niebieskie, uroczyste

zasnuła w krąg szarzyzna...
Mgły z mokrej roli dymią...
Na próżnoż serce wyzna
moc światła przeolbrzymią?

O życie, jak się ciska
ten, kogo w sieć omotasz!
Przez żółty kwadrat rżyska
za stadem kroczy skotarz.

Chce kupno iść, jak owce
po traw jedwabnych szerzy,
przez tarnie i jałowce –
być tam, gdzie Ty pasterzysz,

usłyszeć szept najcichszy,
– Spokojnie! J a cię wiodę! –
Już duszy nie rozwichrzy
smęt w szarą niepogodę.

II.

Dajcie mi spocząć po dniach gonitwy
w białym klasztorze,
niech mnie witają w szczęściu modlitwy
wschodzące zorze.
Po kurzach bruku, po brnięciu w bagnie
niech się weseli
duch, jak puszczony na łąkę jagnię
w śnieżystej celi.
Niechaj marzennie, niech bezcieleśnie
przez ostrołuki
wzrok biegnie w błękit, nad ziemskie cieśnie...
Jak wielbłąd juki
zrzucę z bark wiele kosztownych brzemion,
świat się uprości,
organnie śpiewny, szczęściem oniemiom
zginę w wieczności.
Krwi mej wytryski mętne, pożarne
niech się przetworzą
w wino przezyste, w wino ofiarne
na chwałę Bożą.
Niech będzie ciało me prawdy echem,
nią się stygmaci,
błogosławieństwem rąk, ust uśmiechem
nakarmi braci.
Z mojego życia ostygłej lawy
krucyfiks rzeźbie,
a śpiewy z zacisz witrażnych nawy
wtórują krześbie.
I słońce w sercu zamieszka mojem,
pierś mu otworze.
Dni kryształowym popłyną zdrojem
w białym klasztorze.

III.

Dzieciątko małe. Dzieciątko święte
uchodzi w kraje obce pustkowień,
ścięte zarośla, wody wyschnięte,
niebo pochmurne cięży ołowiem.
Nic nie zakrywa, nic nie ochrania,
w męce się śpieszą próżno Rodzice. –
Osioł strudzony w drodze się siania,
pył Im czerwone przeżarł źrenice.
Na wszystkich drogach – Heroda warta,
na wszystkich trawach – skrwawiona rosa
i tylko jedna droga otwarta:
droga do góry – przez krzyż w niebios!

IV.

Oto idzie ku Tobie
z niezmierzonej oddali,
stąpa cicho po globie,
zorza nad Nim się pali.
Oto spływa z przestworów
przeolbrzymi i biały,
wszystkie tęcze kolorów
w tej bieli się rozwiały.
Przed Nim chmurki, gołębie,
ma słońce zamiast serca,
oczy – miłości głębie
w twą duszę z siłą wwierca.
Och, słać drogę świeconą
deszczem róż i akacji,
och, paść do stóp, zatonać
w bezbrzeżnej adoracji.

V.

Szczęście bez granic, szczęście niezmierne...
Otośmy w białym ogrodzie,
serce twe wielkie, serce twe wierne
przy moim w rytmicznej zgodzie.
Świeżą się wonne, przezyste krzewy,
jako perłowe kopyły,
głosy wieczności, ciche powiewy
nas dookoła osnuły.
Zda się w powietrzu w słonecznych wirach
harmonia sfer dźwięczy zdała...
O wszystkich ciosach, ranach i kirach
zapomnij – świat się wyzwala.
W słońce wpisano przyrzeczeń słowo
odwieczne i niezatarte...
Widzę przeznaczeń księgę globową –
w niej anioł odwraca kartę.
Oto nadchodzi znów Syn Człowieczy,
po ciałach płazów i węży.
On grzeszne dźwignie i chore zleczy,
i złe na wieki zwycięży.
Oto nas dwoje – On z nami trzeci,
już nam nie cięży materja...
Ziemia zakwita w białej zamieci,
ziemia spalona, jak preria.
Odziennia wolę, odziennia zmysły
łaska złocistopromienna...
Złamane kraty, zawory prysły:
och, radość, radość bezdenna!

W JEGO IMIĘ...

W przedwielkanocną cichą noc
gwiazdami wysrebrzoną
oddycha ziemi łono
i wchłania czar, i wchłania moc...

Zszarpany w walce i proteście
wyschnięty żarze, w mąk samumie
w Krakowskie Przedmieście
wlewa się tłum po tłumie.

I płynie, płynie bez ustanku
tam, gdzie Świętego Krzyża Kościół –
gdzie posąg na wysokim ganku –
Ty, Chryste, zapomniany Gościu.

W przedwielkanocną cichą noc,
gdy północ bile z wieży,
jak groty na cięciwie proc
tysiące tęsknot leży.

W tych tęsknot niezliczonych drzeniu,
co chcą się zerwać, lecąc wzwyż –
życie zbudziło się w kamienia –
posąg Chrystusa zrzuca krzyż,

schodzi... Zalewa jasność stopnie...
W ciemnej ulicy, jak w tunelu
kroczy, a w domach tak okropnie,
tak potępieńczo cierpi wielu.

Bez krzyża lekko, prosto kroczy –
Dźwigał go długo i boleśnie...
Dziś wolny! Niechaj oschną oczy,
niech każde serce dzisiaj wskrześnie.

II

Gdzie kości nasze? W zwałach szańców,
w ziemi tułaczey, w ziemi bitew –
w mogiłach więźniów i skazańców –
imiona na nich nie wyryte.

We dnie słoneczne zmartwychwstania
pobierasz, Chryste, nasze kości
i krew, jak soki winobrania.
Powstaną wszyscy zdrowi, prości.

Z tych bezimiennych, smutnych mogił
Dźwigniesz ich wszystkich z gliny, z piasku,
owiniesz w wieczność, jak w srężogi,
ozdobisz woalami blasku.

Przy wielkanocnym stole białym
dasz miejsce całej krewnej rzeszy
i sam usiądziesz zmartwychwstały,
by po męczeństwie ich pocieszyć.

Niech opowiedzą, jak cierpieli,
z tęsknoty długo, ciężko marli
i wśród odświętnej, dzwonnej bieli
zwól, by o siebie się oparli.

I rozłączone połącz dłonie,
i ogłodzone nasyc serca.
Dziś każdy gwiazdę ma w koronie,
pod stopą – miękką ściel kobierca.

Ty nas na ziemi dojrzysz krańcach,
o wieczny, w gwiezdnej Twej wieczności,
po bojuownikach, po wygnańcach
pobierasz, Chryste, nasze kości.

III

Chcę mieć czoło tak czyste,
krwią i potem skąpane,
byś położyć mógł, Chryste,
na nim dłonie świetlane.

W chwilę szczęścia i łaski
niespodzianą, tajemną
przez pozory i maski
ujrzę Ciebie przede mną.

Może w parku, szpalerze
lub wśród dróg skrzyżowania,
lub w miast wrącym kraterze
doznam cudu Spotkania.

Na zakręcie alei
staniesz wielki i cichy
w białych kwiatów zawiei,
co z otwartych kielichów

Ciebie wonią okadza –
Pęknię serca pieczęcie:
Oto wskrzesza, odradza
Przenajświętsze dotknięcie.

Ty dotykasz się czoła,
Kładziesz na nim Swe dłonie...
Wieczność, wieczność dokoła,
Światła bezbrzeż i tonie.

Byłem w wraźych okopach
z moją długą tęsknotą,
Teraz łkam przy Twych stopach
i zachodzę w mgłę złotą.

IV

Wszak jesteś tak ogromny,
O Chryste, Chryste biały,–
że zmieścić Ciebie, ogarnąć
nie może wszechświat cały.

Jak pojąć ten cud nad cudy,
brzmiały w zarania hejnałem,
żem Ciebie zmieścić zdołał
w moim ludzkim sercu małym.

V

Szermierz na łąkę zeszedł po bitwie,
ściel jaskrów, szaławii, cykorii
grała barwami, klęknął w modlitwie,
wołając Chrystusa w glorii.

Krzyk bez słów leci w skrzydłach obłoku,
pochylnia z blasków się zniża
i po niej zwolna, jak po gór stoku
schodzi olbrzymi Pan Krzyża.

Twarz, jako słońce, jak śnieg ma szaty,
idzie z kosmicznej oddali,
przed Nim i za Nim wirują światy
i pożar globów się pali.

I oto serce słońcem się staje
w piersi hartownej szermierza,
więc pada w szczęściu, pokłon oddaje,
na świat ramiona rozszerza.

– Ach, kiedyż chwasty mój oręż wytnie,
a kłós ci rzuci w pokłonie? –
Marzy w ekstazie, marzy zachwytnie,
czuje na głowie swej dłońie...

„Rzeczpospolita” 1931, nr 93.

O SERCU NIEDOBRYM

I

Rzucaliś we minie kamienie,
by zranić, by przemoc czuć.
Z nich piętrząc się, jak cierpienie,
powstała wysoka gródź.
Mur rośnie, szerzy się, dłuży,
ciężki i groźny, jak błąd
i nie ma sił, by go zburzyć,
sił nie ma, by odejść stąd.

II

Wszystkie mosty zerwane, wszystkie drogi zawiane
do chroczyszczu tęskniącej Solveigi,
może znikło i ono pod śniegowym kurhanem...
Nie, nie przebrniesz przez wały i śniegi

Lecz był czas... Była wiosna... Szlak jaskrami się jarzył,
jak drobniotkich żarówek bezlikiem.
Stałam w drzwiach, oczekując, stałam wiernie na straży,
aby witać uniesień okrzykiem.

Film się urwał. Jazz umilkł. Trwam przed pustym ekranem
Czas przeminął – a tyś nie był gotów.
Wszystkie mosty zerwane, wszystkie drogi zawiane...
Już nie dojdiesz... Już nie ma powrotu...

III

Niedobre twoje serce
mnie z wyżej darowane
miotło się i kłuło,
za raną zadając ranę.

Ale na tamtym świecie,
gdzie nie ma nienawiści,
twój anioł-stróż je weźmie,
z cierni i ostrz oczyści.

Zgasi w nim gniewne żary,
wyjmie ze wszystkich jarzem,
promieńmi wypełnione
odda mi w wiecznym darze.

„Kurier Warszawski” 1932, nr 120.

Z CYKLU MATER MATRI

Miałam dziecinę maleńką,
na długo zabrałeś ją, Boże,
śmierć zgasiła oczy – ogieńki,
całą skuły chłodu obroże.
I została mała mogiła,
ocieniona małym krzyżykiem,
cały świat, cały świat zasłoniła!
nie zapomnę, nie odżyję już w nikim.
Ale wiem: w kryształowym zaświecie,
gdy w niebieskim znajdę się Dworze,
wyjdzie Matka Boska naprzeciw,
i dziecinę w ramiona mi włoży.
Sama odda Matka Najświętsza,
powie: – Patrz, piastowałam ją wiernie!
Biel obłoków wkoło się spiętrzy
i zakwitną różami ciernie.
Mogę znów ją utulać i pieścić
małe rączki, maleńkie, żywe...
Pochwalona bądź, Matko Bolesci,
za me serce wskrzeszone, szczęśliwe.

„Rodzina Polska” 1932, nr 1, s. 7.

DROGI CIERNIOWE

Moją głowę zmiądzoną, moje ręce złamane
Chryste, Tobie przynoszę do stóp,
Połóż dobre Twe dłonie i po ranie lecz ranę –
po torturach ślad sznurów i śrub.
Straszne maski dokoła, groźny pręży się pazur,
zgrzyta tysiąc drapieźnych, złych paszcz –
Chryste, Chryste, ratunku! Rzuć na oczy me lazur,
owiń, owiń w niebieski Twój płaszcz.
Szedłem równią lodową, szedłem długo w samotni,
ból gniótł czoło, jak z blach ostrych kask,
Roztop serce zamarźle, suche oczy zwilgotnij –
Chryste, rzucam się w morze, w Twój blask.

„Rodzina Polska” 1932, nr 5, s. 136.

DROGI CIERNIOWE (II)

Wszak jesteś tak ogromny,
O Chryste, Chryste biały,
że zmieścić Ciebie, ogarnąć
nie może wszechświat cały.

Jak pojąć ten cud nad cudy,
brzmiący w zaraniu hejnałem,
żem Ciebie zmieścić zdołał
w moim ludzkim sercu małym?

I wszystką miłość mi odjęto,
jak w suchym gruncie soki drzewa,
z koroną czarną i uschniętą
stoją na skwarze bez powiewu.

I skamieniała żywa miazga,
miłość nie spływa, jak ulewa...
coż pozostaje? Jako drzazga
spalić się w ogniu, co ogrzewa
tych, co zziębnięci, co zmęczeni...
spłonąć doszczętnie i ofiarnie.

Wyrywałem ciężki ból, jak karcze,
uciekałem do najgłębszych nor,
próżno się broniłem chłodem – tarczą –
biegł przede mną, jak bezkresny tor.

Widząc, że do końca nie odleci,
że nie skryje mnie ni rów, ni chaszcz,
śmiało sam wyszedłem mu naprzeciw,
jak smokowi – prosto na sto paszcz!

I bez drgnienia z własnowolną zgodą
szedłem rzucić się w Baala żar...
Nagle paszcze buchnęły w twarz ochłodą,
Zeszła cisza – śniony w mękach dar.

W dniach ucieczki i buntownej wojny
jeżył się dokoła milion ostrz –
teraz skwitło każde w kwiat ukójny,
gorycz się zmieniała w winny moszcz.

Schodzisz na ołtarz Twój ubogi,
schodzisz aż ku mnie szlakiem tęczy
i rzucam pod Twe święte nogi
blado-różowych róż naręcze.

Klęcząc, wspominam modlitewnie,
że rwałem je z kolcami w walce
i że nie oschły na nich pewnie
krwi krople od pokłutych palców.

„Rodzina Polska” 1932, nr 10, s. 291.

JEDEN Z WIELU

Ręką losu rzucony na rosyjskie manowce,
jak z mogiły do życia, jak w nasyceń raj z głodu,
on się ciągle wrywał w dal, do krain zachodu
samoloty ulepszał, nowe śnił torpedowce,
by wyszarpnąć się z Rosji, z olbrzymiego więzienia.
Za nim snuła się nuta niehumanitarnego cierpienia.

Rozłąko ty, rozłąko,
rodzinny kraju mój!

Szyby mróz mu zawieszał koronką,
a on śnił: – Będzie bój! –

Potem – to już nie we śnie, to już było na jawie:
polski mundur i szabla, czapka z polskim orzełkiem,
i szwadrony z brawurą szarżujące i zgiełkiem,
kadry armii, sztandary łopocące we sławie,
kulomiotów rytmiczne, przerywane terkoty,
monitory na wodach, groźny tank, samoloty...

Rozłąko ty, rozłąko,
rodzinny kraju mój!

O polskie przejasne słońko!
o powietrze, jak świeży źródło!
Już nie było tchu w piersiach i nie niosły już nogi.
kiedy kulą trafiony gdzieś tam upadł na froncie.
Bój przygasnął, jak ogień, co gont strawił po goncie,
i podniósłszy go z pola, na wschód wlokły go wrogi!...
Czuł, jak wjeżdża, znów wjeżdża z podrzutami telegi!
w obszar Rosji – mogiły, w wichr wyjący i śniegi...

Rozłąko ty, rozłąko,
rodzinny kraju mój!

Czy Chińczyk wiezie go dżonką? –
tak kołysze – zęby szczyrzy ten zbój!...

Tak nieznośnie go trzęsie... Ochryply śpiew... Skrzypią koła...
Gra harmonia... Tęskliwa nuta żyły wyciąga...
„Nigdy, nigdy!” – coś wyje i nadziei urąga...
Twarz pochyla się nad nim skośnooka Mongoła...
Ta melodia wyjąca, ta tęsknota szalona, straszliwa,
co jak mumia w bandażu omotuje mogilne przedziwa...

Rozłako ty, rozłako,

Rodzinny kraju mój!

Ach, przepadnij, ma telego,
cztery koła złam i stój!

Potem życie – agonię włókł w drewnianym baraku...
Stała w noc rozpacz przy nim, może stało szaleństwo...
Szare, nudne, katorżne, każdodziennie męczeństwo...
Pewno czekał wciąż cudu, głosu z Polski, choć znaku...
Każdodziennie umierał w Rosji, w grobie ponurym,
aż poznali go w końcu, postawili pod murem...

Bez krzyża grób... Niewolny wichrze Rosji

Wyj, nic śmiertelnych tęsknot snuj!

Rozłako ty, rozłako,

rodzinny kraju mój!

SAMA

Mała dziewczynka, taka maleńka, bez matki,
A z nią jej wielkie zmartwienie, jak świat tak wielkie:
Och, nie pojąć nigdy tych starszych, jak słów zagadki ...
Łzy jej padają ... Za oknem padają deszczu kropelki ...
Taki długi, wysoki ten szkolny korytarz ...
Do kogo tu się przytulić? Do kogo się rzucić?
Kto do głębi zrozumie, chociaż nie spyta?
Tęskni sama wśród obcych, ciężko się smuci.

Patrzy Matka Przechylna z obrazu. Lampka oliwna
Płonie czerwona. Patrzy z litością Bogarodzica ...
Osądza : okup życia przedwczesny, za wielką grzywną ...
Ciężko żółty po ścianie pełza, kurczy się
Matko Najświętsza, jestem bezsilna, jestem daleko,
Świat dookoła jak groźna, rozwarta paszczyka ...
Otrzyj łzy dziecka, niech już nie boją, nie cieką ...
Połóż ręce na małym sercu, co dziw nie pęka ...

„Rodzina Polska” 1933, nr 5, s. 133.

WŚRÓD PIÓROPUSZÓW PAR I LAWY

Wśród pióropuszków par i lawy,
wśród namiętności złych targowisk,
powiekających matem rdzawym
stal hartowaną ku bojowi –

idzie mój syn... Wiotczeją barki,
żar szernił łąkę kwietną, trawną...
Złud doczesności pstrym jarmarkiem
przesłonił szafir gwiezdny dawno...

I próżno go odciągam z dolin,
próżno wskazuję strome wyże:
nie płynąć w bezmiar wód w gondoli,
nie iść na wirch w atlasach ciężem.

W snach gnuśnych, jak w oplotach hurys
dni idą martwe, dni bezokie,
fałsz rośnie, jak więzienne mary,
wzbiera mulistych wód potokiem.

Gdy śmierci przeżywając mękę,
tą straszną się zachłysnę wizją,
o Matko Boża, daj porękę,
wyzwolin przybliż mu elizjum.

Gdziem ja nie mogła, Ty móc zechciej,
każ widzieć, sercem wstrząśnij śpiącym,
zwiej złudę ciał, jak zgniłe wiechcie,
ukaż mu słońce, słońce, słońce....

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Wśród skał na niebosiężnej perci
zaparłem się nogami w krawędź
I trzymam, i wydzieram śmierci
tych, co spadali w dół, w siklawę,

Wyteżam moc, wyteżam moc,
nie puszczam, trzymam ich na sznurze,
mięśnie – jak sto napiętych proc,
piersi me – nieprzeparte, turze.

Czyż spadną w chaos skał i wód,
by krwawą miazgą z nich wychynąć?
Muszę utrzymać, będzie cud!
Och, wytrwać nad sprężoną liną!

W oczach mi czarno, huczy w uszach,
Puściłem... Straszny krzyk... zginęli.
Leżę, jak rozsadzona kusza...
W dole przeciągły szum kipieli...

„Polska Zbrojna” 1933, nr 133.

ŚW. JAN BOSKO

DAJ MI DUSZE...

Święty przesłodka, święty żelazny, o Janie Bosko,
świeciłeś jasno, świecisz niezmiennie nad ziemią włoską,
świętego Jacka drogami wszedłeś do Polski,
takiż cudowny, takiż potężny i apostołski.
I wszedłeś do nas, i cicho stanąłeś w glorii,
rzucając blaski na ciemną kartę historii.
Stoisz przejasny, ubrany w ubogą odzież,
rośnie twe wojsko, armia olbrzymia – sieroca młodzież.
Otwierasz im oratoria-ramiona – niech wchodzą,
porywasz nieodparty, podobny największym wodzom
i trwa pośmiertnie prometeańska twa grabież,
boś rzekł: – Daj mi dusze, a resztę zabierz...

NAJSZCZĘŚLIWSZY Z LUDZI...

Serce zamiera, ciało rozbite, tak bolą nogi,
troska zalewa, troska zatapia z bagna bulgotem... .
Drogi cierniowe, o, niekończące się drogi...
Krzyż żebractwa, bolesna pogoń za złotem...
Potok milionów – i w kiesie wieczysta pustka...
Ciężkich doświadczeń nieumniejszony ciężar...
Ulga chwilowa – cud... Weroniki chustka...
I napór ziemi, i znów materia zwycięża...
Ale w okręgu świata jam najszczęśliwszy:
serce rozdarłem i rozszerzyłem bez granic,
i ogarnąłem nim rzesze, błękitem zwabiwszy,
oczarowałem, powiodłem na szczyty krzesanic...
Oczarowałem Chrystusem – ulegli czarom –
i przygarnąłem dzieci i głodnych nędzarzy,
wwoździłem pod dach, nakarmiłem chlebem i wiarą –
lampą wieczystą me serce dotąd się jarzy.
Dla bezdomnych tyle domów, ach, tyle mam domów,
serce rozdałem chorym, i ciemnym, i trędowatym...
Chryste, Tyś mi to dal i Matka Twa po kryjomu,
jam najszczęśliwszy na świecie, bez miary bogaty.

WÓDZ ŚWIATA PRACY...

Ręce twarde od prac tysiąca, ręce węzliste
wyciągam oto ku tłumom błogosławiące,
ku tłumom płynącym jak magma, prądem ognistym,
który ja przeobrażę w strugę na kwietnej łące.
Toczy się, jak lawina, wzbiera, narasta
niesfornym biegiem z głuchym, dudniącym tupotem
zbuntowany świat pracy – wsie idą i miasta,
grożą serc nienawiścią, lontem i młotem.
Ale ja wśród potopu spuszczam ratowne lodzie
i staję, jak budowniczy śluz ochronnych i grobel.

Krzyczę młodzieży: – Przejrzyjcie, Królestwo Boże nadchodzi! –
Straż trzymam u drzwi świątyni, gdy pęknie na nich skobel.
Zagarniam, wszystkich zagarniam w niewolę mego Boga,
nie będą z nich marnotrawcy i słudzy lada jacy.
Zbudźcie się – świta – patrzcie: daleka raju szezoga...
Powstaję w imię Chrystusa – wódz nowy świata pracy.

W CELI

Na godzinę sam w mojej celi – twierdzy obleżonej od gwaru –
opadam z ulgą na klęcznik, zapominam o bólu kolan,
pływa łaska zza świata do duszy-rezerwuaru,
i wchodzę na bezdroża zalanych słońcem polan.
Spływam się Tobą, Boże, jak z oceanem ponik,
błękit – kraj Twego płaszcza, o Mario Wspomożycielko...
Zbaw dusze, zbaw wszystkie – słyszysz? męczą się
[w grzechu, w agonii,
objaw się – niech Cię uwielbią taką Przczystą i Wielką.
Przeszła godzina – kołącą do drzwi praca i troska,
dość modlitwy, z duszy-zbiornika pełnego łaski,
idąc, rozdaje radość pogodny, silny ksiądz Bosko,
rozdaje ludziom uśmiechy i małe święte obrazki.

CUD

Taka młoda – a skurczona ręka i noga,
nieszczęsną, cierpiącą kaleka...
– Gemmo, wierz, ubłaga święty Bosko Boga,
chodźmy! droga niedaleka. –
Na ulicy skwar i szary kurzem platan,
oleandrów zbyt różowy kolor...
A w zakrystii – chłód i uśmiech brata:
– Czy to będzie z Bożą wolą? –
– Gemmo, którą rękę masz bez ruchu? –
– Tę, – zawoła, dłoń podnosi i otwiera.
Okrzyk krewnych: – Uleczona, święty Duchu! –
Chwila, która z oczu bielma zdziera...
Jakby Bogu klejnot Jego skradłszy,
uciekają, wieść roznosząc między ludem.
A za nimi święty zadumany patrzy,
wyczerpany modlitwą i cudem.

AUGUST CZARTORYSKI

W narodzie duch przygasa i wnet się spopieli,
ledwo czasem się zatlą czerwieńsze połyski...
Modli się za swój naród August Czartoryski,
przeznaczony na serca ofiarę Anhelli.
Ubrać w Chrystusa Polskę mogilną na nowo,
rozdzwonić ją odświętnie hasłem: – Zmartwychwstanie!...
W życiu tak beznadziejnie pusto i jałowo,
życie jest jak powolny uwiąd i konanie.
Aż wszystko mu rozświetlił, rozwiązał mąż święty,
mąż stary i strudzony nadmiernie – ksiądz Bosko. –
Już August płaszc Marii widzi rozwinięty
nad każdym miastem polskim i nad każdą wioską.
Zwiądnął miody i nie ujrzał już dzieła kołycki,
lecz po śmierci do Polski słał odnowicieli –
synów świętego Bosko August Czartoryski,
przeznaczony na serca ofiarę Anhelli.

„Rodzina Polska” 1934, nr 7, s. 200

ODBYWAM STRAŻ...

Ku nieba szarym, przedrannym głuszom
Obracam twarz.
Nad twą zamarłą, upadłą duszą
odbywam straż.
Latarnie gasną. Dzwoni wśród ulic
samotny krok.
Do ścian, wykuszów jeszcze się tuli
uparty mrok.
Czuwania chwile, jak w klamry, spięte
w ten bramy zgrzyt.
W jakim cię miejscu złym i przeklętym
zastanie świt?
O światło, wryj się w ten mrok, jak radło,
wlej się weń, wjarz...
Nad twoją duszą martwą, upadłą
odbywam straż.

„Kurier Warszawski” 1934, nr 123.

OCZEKIWANIE

Pachniały bzy na urwisku, błyszcząły rzeka i słońce.
i każdy pogłos i powiew był szczęścia bliskiego gońcem.
Ukołysana melodią, wiosennych, skrzydlatych godzin,
Czułam tak pewnie, niezbitcie: – On szuka mnie, on nadchodzi
Czekałam w lato upalne, że spoza lasów srężogi
oczom się zjawi tak piękny tek niepojęcie mi drogi
W jesień płaczącą bez przerwy nad zwiędłym szczawiem i rdestem
słyszałam krok odmierzony, w drzwiach słowa wybawcze: – Jestem. –
Gdzieś pośród pól ośnieżonych za widnokrzem dalekim
skrzyło się, drżało wołanie: – Idę, by zostać na wieki_
Przeciekły dni, tysiącami poników przesiąkły ciche._
Nie przyszedł... Z świerków otrząsa śniegi i szrony wichur.
Nie przyszedł... Złodowaciałe gałęzie z chrzęstem się łamią–
Nikt widnokrzęgu świata nie zamknie dwojgiem swych ramion.

II

Czekałam Ciebie, szukałam Ciebie – Tyś był tak blisko.
Marzłam i krzepłam – obok płonęło jasne ognisko.
Tęskniłam głodna krzykiem straszliwym ziemską małością;
Tyś chylił mnie czarę zbawienia, Niebieski Gościu.
Kiedy rzucałam w przestwór zaklęcia, coraz to krwawsze,
Nic nie wiedziałam, żeś Ty koło mnie i ze mną zawsze.
Zdałeś się długo złotą legendą, nadziemskim mitem:
oto zaiste wyciągasz ku mnie dłonie przebite.
Na próżno biegło przez lądy, morza moje wołanie;
Wszak Tyś był przy mnie niepostrzeżony, przy mnie zostaniesz.
Przez wszystką ziemskiej miłości mękę i wszystką złudę
szłam, by Cię ujrzeć nagle i klęknąć przed Obecności Twej cudem.

BURZA

Słyszysz? Wicher drzewami targa,
Szum i łopot biegnie w przestworze,
Wśród rozwianych, czarnych konarów
Rozszalało się listowia morze.

Wicher porwać chce do czynu drzewa,
Chce im odjąć z nóg ziemskie okowy,
O wolności cały park śpiewa,
Głos swój łącząc z hukiem piorunowym.

Patrz, już brzoza skrzydeł dostała!
Patrz, rozwija je jak ptak na wietrze!
Patrz, topola pochylona cała
Dąży naprzód, w proch wszystko zetrze!

- - - - -

Ucichł wicher – omdlały drzewa,
Blask piorunów zgaśł we mgle szarej,
Tylko gorzko płacze ulewa
I bezsilne gną się konary.

„Praktyczna Pani Dobra Obywatelka” 1936, nr 32, s. 4.

PRĘGIERZ

Szedłem przez żywą ulicę,
dokoła krzyk wrogich twarzy,
niechętnych ocz błyskawice,
ślina, co hańbi i parzy.

I dłonie ich muskularne
miotły grad czarnych pecyn ...
Zachód, jak łuna pożarna
czerwień im wieszał za plecy.

Pod deszczem śliny i różeg
szedłem – ciął stopę brukowiec ..
Ziemię osędził przymrozek ...
Pytałem Jego: – Odpowiedz.

Wszak mieli krzyż męczennicy,
mnież tylko hańba uderza? –
I oto w końcu ulicy
słup zobaczyłem pręgierza.

I w sobie się uciszywszy,
iżem niegodzien był krzyża
przyjąłem los najstraszliwszy;
pręgierz, co w męce – poniża.

ODEJŚCIE

Idzie śmierć, spełnienie wyroku,
który w tkankach straszliwie narasta ...
Tyle kroków, tych bolesnych kroków
postawiłem na ulicach miasta.

Tyle spojrzeń miłości i żalu
rozzucałem codziennie przechodniom,
tyle modlitw w kościelnym portalu
widział świt i luna zachodnia.

Tyle drzwi, tyle drzwi bezdomnym
otwierałem i nie mogłem otworzyć,
tylu snom, tylu snom ogromnym
rozkazałem się w grób położyć.

W tylu serc, tylu serc wrzeczadze
kołatałem, raniąc, krwawiąc ręce,
z tylu miejsc, z tylu miejsc szły pieniądze
w swojej grzesznej i zbawczej potędze.

Strudzone już ręce i nogi,
utrudzone już wargi i płuca ...
Już doszedłem. Już stoję przed progiem ...
Życie – łachman podarty – odrzucam ...

ŻEBRACZKA

Umieram w straszliwej samotni,
przez najbliższych zdradą otruta,
oto mnie się wyparli trzykrotnie ...
Rozdzierające pianie koguta ...

Umieram odtracona, zdeptana
w martwej głuszy ... Nie, nie oskarżam ...
Ja – w patrolu w szpicy posłana,
ja, – najniższa na ziemi szarża.

Ciało całe, jak łachman zdarty,
serce, serce jak rana jedna ...
Oto wszystkie przegrałam karty –
parias życia, żebraczka biedna.

Przez odpychających rąk szpaler
odchodzę... Czy w spoczynnie wieczyste?
Myśl ostatnia w rozpaczy i szale:
– A jeśli odepchniesz i Ty? –
Chryste, Chryste!

„Kultura” 1937, nr 32.

ADORACJA

Wszak jesteś tak ogromny.
o Chryste, Chryste biały,
że zmieścić Ciebie, ogarnąć,
nie zdoła wszechświat cały!
 Jak pojąć ten cud nad cudy,
 tę tajń przepelną chwały,
 żem Ciebie zmieścić zdołał,
 w mym ludzkim sercu małym?
Schodzisz na ołtarz Twój ubogi,
schodzisz aż ku mnie szlakiem tęczy
i rzucam pod Twe święte nogi
blado-różowych róż naręcze.
 Kłęcząc, wspominam modlitewnie,
 że rwałem je z kolcami to walce
 i że nie oschły na nich pewnie
 krwi krople od pokłutych palców.
Do Twoich stóp przynoszę, Zbawicielu,
 brzemień łez moich,
w powietrzu kolorowym w Twym kościele
 Ty biały stoisz.
Wyjmujesz z moich rąk ten dar boleści.
 ciężki, jak ołów,
zmiażdżoną skroń przejasnym wzrokiem pieścisz.
 wołasz do Stołu.
I schodzisz w mocy, łamiąc mur po murze.
 jak wiew kosmosu
i rzucasz w serce wzbierające burze
 anielskich głosów.

LITKA

Jasna jak rano majowe, ze skrzydełkami u stopek
biegłaś wciąż w dale, w świata bajeczne przestwory,
rozzucałaś uśmiechy, jak zdania z tysiącem kropek,
pełne cudownych obietnic, pełne najmilszej przekory.
Mogłaś pisać – wolałaś żyć w upojeniu i pięknie.
Świat cię kochał, świat się tobie barwił i tęczył,
był jedną wielką przygodą, w której ni zło nie przelęknie,
ani korzyść przekupi. Zawsze z najwyższej przełęczy
patrzyłaś na małych ludzi zabiegi, w przyziemność dolin,
szukając bieli jedynej nad świata wielobarwnością.
Byłaś pociechą dla smutków, ratunkiem każdej niedoli,
byłaś promieniem słońca, byłaś najżywszą radością.
Tam, dokąd weszłaś burzliwie, kipiąca śmiechem i życiem,
całe powietrze światłem wnet zaczynało wibrować,
porywałaś za sobą w pędzie, w snów niedosycie
i ożywiali się martwi, a bierni mówili: „Prowadź”.

Kochałaś konie – żywiołowy
przerzut przez rowy i potoki,
szum wichrów wolnych wokół głowy,
runięcie w przestrzeń dzikim skokiem.
Był każdy start jak wybuch prochu,
gdy przestrzeń chłona motocykle,
gdy oszalały mknie samochód
i błyszczą w słońcu jego nikle.
Upadek z konia? Mniejsza o to,
choć głowa wyrznie gdzieś o drzewo.
Nawali auto? To piechotę
wraca się nuć pod ulewą.

Kochałaś wodę – falę żywą,
która unosi i upaja.
To prulaś cawlem jej srebrzywo,
to gnałaś wiosłem lekki kajak.
Wileńskich jezior srebrne wały,
nurt Wilii, zdradne wiry Wisły
i Bałtyk ciebie kołysały...
I został trykot ten obcisły,
niebieski hełm i jeden trepek (drugi utopił się gdzieś w morzu)
patrzą w to oczy od łez ślepe –
Już w wód kąpieli, w wód bezdrożu
giętkich twych ramion nie rozrzucisz,
trzy razy Wisły nie przepłyniesz...
Z tych głębin nurek, nie powróci,
gdzie jesteś – nie śle z nich orędzi...
Nieraz spieszyłaś na ratunek tonącemu,
życia, sił nie szcędząc,
i słońce kładło pocałunek
na twoich włosów złotą przędzę.
Pośród wiosłarek hufców młodych
już tryumf cię nie uweseli
i nie popłyniesz już w zawody
po wód bezdrożu, wód kąpieli.

Kochałaś lasy, lasy szumne,
co w wirach ci wykołysały
twoje tęsknoty bezrozumne,
sen o czymś wielkim i wspaniałym.
Kochałaś brzozy białokore
tak jasne w szacie swej na wiosnę,
gdy ponad mchów zawiłym wzorem
wchwieją swe nitki między sosny.

Kochałaś różnobarwny dywan
z wrzosów i czernic, i borówek,
i ptaków, motyli, żuków dziwa
i rozbiegane kopce mrówek.
Wołał cię przestwór kresów dziki,
wywabił mocą z murów miasta...
O lasy, lasy z drzew bezlikiem,
paproci wiewna i pierzasta.
I biegłaś chyżo w głąb zieleni
pod jej arkady i kolumny,
pieściłaś każde z drzew spojrzeniem...
Kochałaś lasy, lasy szumne.

Kochałaś dzieci i za tobą
jako łaskawe szły sarenki
za smugą śmiechu i wesela,
słuchając baśni i piosenki.
Kochałaś ludzi – pochylona
nad każdym bólem i chorobą,
byłaś im radą i oparciem,
mocą ich ramion, dni ozdobą.
Aby ich wspierać i ratować,
przyprawiałaś łachmaniarzy.
Serce szerokie, serce hojne
miałaś, co wszystkich światłem darzy.
I była łaska na twym czole
jak niewidzialny złoty diadem,
wchodziłaś w mroki jaśniejąca,
a miłość ludzka szła twym śladem.

Kochałaś prawdę – szukałaś prawdy w dzieł tomach,
szczerą ze sobą, nieuleknioną, uczciwą,
zaglądająca w otchłanie na skalnych złomach
i zbierająca mozolnie w łańcuch ogniwa.

Przez labirynty, przez ścieżki próby i błędu
szukałaś prawdy z wielką, wielką tęsknotą,
pytałaś o nią wieczności... Proszą kolędą
odpowiedziała tobie – i słońce obrotem.
Po burzach zwątpień, po buntach, po trudach wielu
znalazałaś w końcu Bramę, Drogę i Żywot,
naukę nauk, wieść wieści – o Zbawicielu,
posiadałaś wreszcie – dosnułaś wreszcie swoje przedziwo...
Bo oto przyszła wojna...
Bombowce nad Warszawą...
A młodość wiarą zbrojna, a młodość kipi lawą...
Kruszący pocisk wali – i gmach za gmachem pada,
trafiają tony stali – a cel wskazuje zdrada.

Na dachu tego domu zaczęła grę bateria
niezlomna wśród pogromu – pułk pierwszy artylerii
przeciwlotniczej – czwarta kompania karabinów –
nieutrudzona warta – chłopcy niesyci czynu.
Z początku Litka przyszła, by rannym kłaść bandażę;
w masakrze ludzi, koni, wśród wieści złych, porażek
stawała się żołnierzem. Zaczęła więc taśmować,
tworzyło się przymierze – zmiękł nawet plutonowy.
Na posterunku stała pod gradem kul na dachu.
Żołnierze się krzepili „panienka nie zna strachu.
I my też stać możemy”. Maszynki pod obstrzałem
znosiła z podchorążym i wszystkie ocalały.
Dotrzeć do Rembertowa po amunicję trzeba. –
Palba huraganowa – skrwawione łuną nieba...
Przez most nie puszcza patrol. – „To choć wśród kul
przebiegnę”.
– „Bombowce zaraz natrą” – „Przejdę albo polegę”,
I przeszła. Rozkaz zawieźć kompaniom gdzieś na flanki...
Więc konno się wyprawia, choć grożą wrogów tanki.

Ulicą mknie zuchwale, na plecach karabinek –
chybia ją strzał po strzale... Brawo żołnierz – dziewczyna!
wołają warszawianie, a kule świszczą, świszczą...
i koń szlachetny w pianie, a oczy męstwem błyszczą...
Przyszła ta chwila, chwila okropna, chwila pogrzebu,
rozpacz szalona, rozpacz ostatnia i skarga niebu:
Polska upadła! Kapitulacja! Z sercem otrutym
patrzemy: depcze kraj wróg ohydny brutalnym butem.
Próżno konali chłopcy najmłodszy, pytając: Za co?
Próżno szarpali siły ostatnie tą straszną pracą...
A nad Warszawą, zburzoną, krwawą, jasna pogoda,
wśród ulic groby – a w Wiśle cicho srebrzy się woda.
Gmach rozwalony – ileż potrzeba drzewa i cieśli,
a młodzi klęski pojąć nie mogli, klęski nie znieśli.
Wbrew rozumowi, wbrew możliwości – bić do ostatka.
Nie dbać o liczbę – niech przeciw masom stanie gromadka!
Zakopywali broń w noc milczącą, noc zakwefioną,
i przysięgali odbić Warszawę wolną, pomszczoną.
Wszystko zawiodło – śmierć nie zawiedzie – wierna aliantka,
wojnę zgaszono, – z iskiei wybuchnie znów partyzantka!
Zalały wszystko tony żelaza, dwa morza dziczy,
wodzowie zwiedli – młodzież odrobi i odziedziczy
chwałę Czarneckich, chwałę powstańczę, chwałę legionów
Ach, Polsko, Polsko, iluż dla ciebie potrzeba zgonów?

W pustym budynku Litka została ostatnia,
niszcząc broń – pełno jej było w holu i szatni.
Potem poszła z innymi, by poddać się wrogom.
Szła z wahaniem, zostając w tyle, noga za nogą:
– Tak, zdekować się całkiem byłoby nieźle! –
Niemcy spostrzegli, zrewidowali i broń znaleźli
wraz z rewolwerem. Aresztowana. W szponach Gestapo!
Ptaszę maleńkie zduszone nagle potworną łapą!

– Gdzie zakopana broń? – krzyczą, pienia się, srożą,
plują, biją w twarz, zatrata zaciska obrożę.
„Polką jestem i walczyć z wami do śmierci pragnę,
nie wydam broni, ani do was kiedy się nagnę.” –
„Polska Joanna D'Arc” – rzekł Niemiec z uznaniem
i podpisał wyrok – „Za godzinę na rozstrzelanie”.
W chwili ostatniej zdołała uciec z odwachu,
biegła po deszczu, pełna udręki ciemnej i strachu.
W krzakach przypadła – pogoń tuż, psy węszą, tropią,
deszcz splukał ślady – pobiegły przez łąn, konopie.
Nieprędko Litka wyszła ze swej kryjówki,
zziębnięta, słaba, z bólem rozbitej główki.
Do bliskiej wioski wchodzi z wahaniem, z obawą:
„Kobiety polskie, ratujcie przed śmiercią krwawą!”
„Panienka – żołnierz! Ach, taka młoda panienska!
Prędko się przebrać – to sweter, a to sukienka!
Chustkę na głowę – do ręki kawałek chleba!
A teraz prędko, ach prędko uciekać trzeba!”
Spotkawszy bryczkę ziemianki na autostradzie,
prosi o pomoc przeciwko śmierci i zdradzie.
Wzruszyła zacną matronę twarz ta dziecinna, pobladła,
więc ją przygarnia, prosi, by przy niej usiadła.
Litka w gościnnym dworze teraz się kryje
I uświadamia to sobie, budząc się co dzień: „Żyję”!
Ale niedługo Litka spoczywa i znów wędruje,
i budzi serca, młodych zapala, organizuje...
Ze swym plecakiem żołnierskim wróciła Litka ze wschodu,
Gdy w Polsce znów żyć próbują i liczą bolesne straty,
Niemcy urągając porozwieszali plakaty
i stoją przy nich na straży dwa widma: Śmierci i Głodu.

„Anglio, to twoje dzieło” (dzieło niemieckich pocisków)
tak głosił plakat żmijowy o strasznym polski zniszczeniu
wbrew naszej wierze w aliantów, wbrew naszej wierze w zbawienie!

Wszyscy zrywali plakaty, jeśli wisiły dość nisko.
Kpiąca wzgardą i gniewem i ona zerwała wreszcie
i nagle z krzykiem ją chwycą żelazne wrogie ramiona.
– Sabotaż, polski sabotaż! – I jest u Niemców w areszcie.
Ach, ileż okrucieństwa u tych potwornych podludzi!
A jeszcze więcej w ich sercach, niżli w ich praw paragrafie.
Szpiegowie wnet ją poznali – wszak mieli jej fotografie.
Każą podpisać protokół – Niemiec wygraża i nudzi.
Litka odmawia im z furją – rzuca się wtedy brutale
i na tę twarz spadają żołnierskie ciosy –
biją kolbami po głowie (o złote, o złote włosy!).
Ból nieprzytomny obala, zniewaga pali.
Wreszcie kładzie podpis swój i protest swój: „Nie rozumiem”.
Potem wsadzili w motocykl, na Dzielną przez miasto wiozą.
Słyszano okrzyk: „Niemcy mnie biją!” nabrzmiały grozą.
W oburzeniu śmiertelnym wołała w zdeptanej dumie.

Wysokie mury więzienia
i mocne żelazo krat,
nie przebić ścian z kamienia,
nie wybiec w szeroki świat.
Noc długa, czarne mroki –
przy celi śmierć trzyma straż,
za życiem, jego urokiem
młodość odwraca twarz.
Krata od życia grodzi,
ściska tysiącem ok,
pośród powolnych godzin
wciąż bliższy śmierci krok...

W tej prostej, zimnej sali stanęła przed ich sądem,
zielone ich mundury, złe oczy, serca zgniłe...
Byli dla Polski ogniem, szarańczą, jadem, trądem...

Stała przed nimi – sama – wobec potwornej siły.
Już Europę miażdżą dywizji swych pochodem.
Znacząc swój szlak stosami ciał ludzkich i kamieni.
Ona – przeciw milionom – swe życie stawia młode,
sвій buntowniczy okrzyk i oczy swe z promieni:
– Nie wyęcicie nigdy Polaków, o mordercy,
wam się nie poddam nigdy, dopóki bije serce (...)

Przyszła do wrogów 'matka z głosem obronnym miłości
zagrać grę – życie dziecka – stawka jej cała...
Z chłodem w sercu śmiertelnym rzucała kości –
targowała się z wrogiem o życie dziecka – przegrała...
Uderzyły jej słowa o ich piersi – pancerne płyty
– może słowa nie dość pokorne i niewolnicze? –
i odpadły jak ptaki, krwawe, zabite...
Jeszcze jedna matka w żałobie...
historia liczy...

Nie rzucała życia – łachmana bez wartości,
Świat cieszył powabami – i tyle w nim radości,
tylu się usty śmieje, tylu falami wełni...
W ostatniej chwili czuje, tyle w nim cudnej pełni.
Nalaną aż po brzegi świat czarę chyli co dzień,
zdarzeniem każda droga i chwila, i przechodzień.
Pomimo strasznej klęski, co się nad krajem sroży,
życie – nadzieja wskrzeszeń, życie – dar jasny, boży.
Jeszcze go nie zgłębiła, nie zgruntowała do dna,
napojów jego pragnie, pokarmów jego głodna.
Świat za kratami szumi tak barwnie i ogniście.
– „Chcę żyć” – tak napisała w swoim ostatnim liście.

– Zostawcie choć zarzewie walki, przeciwko władzom –
wołała przez swą kratę do więźniów na przechadzce,
wołała kipiąc cała wciąż w buncie i proteście:
– Nie dajcie się, przetrwajcie, za broń od nowa weźcie. –

I napisała w celi na ścianie w strasznym pozwie:
„Niech każde uderzenie w mą twarz się echem ozwie
w sercach Polaków – niechaj rękami choć gołymi
o niepodległość, wolność walczą rodzinnej ziemi...”
Godziny coraz szybsze i śmierć stoi za progiem.
Zostało teraz jedno: ostatnia sprawa z Bogiem
i skrzydłem zatrzepotać i w zaświat już ulecieć.
Mówiła rozjaśniona, ufna, jak małe dzieci,
widząc się raz ostatni z rodziną po spowiedzi:
– Nie płaczcie, będę w niebie. Na pewno. Ksiądz powiedział.

Cela otwarta, straż czuwa nad skazanej niezmiennie.
Litka udaje, że śpi, ale leży bezsennie...
Co czuje, co myśli podczas okropnych godzin?
Matka przeżywa jej śmierć w bólach jak chwilę narodzin,

także bezsenna, o ocalenie na próżno się modli –
Ci, co skazali zbyt są okrutni i zbyt są podli.
Więc woła tylko: „Matko Boża, co siedmią boleścią broczysz,
jeśli nie ocalisz, to zakryj choć dziecku oczy!”

Świt wymęczony przyszedł, spowity w całunne chusty...
Rodzina stała przed bramą – konwój nadszedł o szóstej.
Matka prosi: – Puście po raz ostatni zobaczyć!
Puścili bez słowa, uderzeni siłą rozpacz.
Na podwórku więziennym stoi czarna kareta,
ostatnia droga na ziemi, ostatnia meta.
Wszystko ołowiem powlekl świat bladolicy...
Wyszła wprost od Komunii z więziennej kaplicy,
z plecakiem przez ramię, w kapturku, w futerku rudym,
rześka, choć śmierć jest także wysiłkiem i także trudem.
Matka ją wzięła w ramiona i w nieskończonej męce
ucałowała twarz (jeszcze żywą) i małe najdroższe ręce.

„Matus moja!” – krzyknęła Litka i kilka łez się stoczyło...
Ale wnet się w sobie zebrała z odwagą, z siłą,
nie pomnąc o lśniącej jeszcze na rzęsach łezce,
zanuciła: „Umarł Maciuś i leży na desce”,
i pełna brawury żołnierskiej, ochoty dzielnej
ruszyła sama ze śpiewkiem ku karecie śmiertelnej...
Och, nie dali dojrzeć, zniszczyli najlepsze ziarno...
Kareta ruszyła – zapadła zasłona czarna...

To był Fort Mokotowski... Dwie anteny radiowe
oznaczały kres... Jedno drzewo bezlistne, surowe,
wyciągnęło ramiona. Pod nim kazali stanąć. – „Nie wiązać oczu”.
Jeszcze raz niech zostanę nadziejnie w niebieskim przezroczu
i zajrzę do luf celujących tak bezlitośnie.
„Jeszcze Polska nie zginęła!” – krzyknęła donośnie...
Salwa gruchnęła. Upadła we krwi. Skończone.
Przykryli płachtę zwłoki dziewczeczki skrwawione.
Umarła jak żołnierz. Stanęła przed Bogiem z raportem.
Rękawiczka pod drzewem. Pogoda jasna nad fortem.

Nie wytargowała życia matka u wrogów,
teraz przyszła z nimi o grób się targować:
„Nie wojujcie z dziewczeczkę po śmierci – zostawcie ją Bogu.
Niech ją chociaż ziemia święcona pochowa.
Nie odbiegnie już ode mnie we światy

niecierpliwie nóżkami małymi...
O. pozwólcie dawać jej chociaż kwiaty –
więcej dać jej nic nie mogę na ziemi.
Już by w dal ode mnie nie odbiegła –
nie mogłam jej nadażyć w wędrówce...”
Pozwolono ją pochować tam, gdzie poległa:
na forcie... Ale przyjdą polskie hufce...

Wykopywały ją z zimnej rosy
obce i wrogie ręce żołnierzy,
a inni – szydząc, ćmiąc papierosy
patrzyli z dala na zezwłok świeży.
Na sztywnych rękach – sine obwódki –
Strzaskane skronie pod złotym włosiem –
Żywot bolesny, żywot jej krótki...
w sen ją kołyszają anielskie głosy.
Ręce ją matki do trumny kładą.
W drelichu polskim i w furazerce...
Krwia broczy głowa, krwią martwą, bladą
na biel wężgłowia – tu są morderce.
Oto jej plecak, we krwi kapturek...
Śmierć... Śmierci nie ma... Powstanie z prochu
ku złotej bramie, na wielką górę,
oto zabrana w ostatni pochód.
Nawet po śmierci – więźniem na forcie,
grozi im z grobu strzaskaną twarzą
i „Nie zginęła” woła kohorcie
i często o tym patrole gwarzą...

Już twoje serce uleczone
i uzdrowione już na zawsze
z układu miłości i tęsknoty,
z ciosów niechęci, z ran najkrwawszych.
Już twoje serce nie zaboli
od pchnięć oszczerstwa i podłości
i ze zdumieniem nie powita
troski i nędzy – strasznych gości.
Już krwią nie spłynie twoje czoło,
już go nie zmiażdży tank historii...
już twoje serce uleczone
w świetle bez granic, w wiecznej glorii.

Nie mówcie stów, nie mówcie bolesnych stów,
z których każde pada na serce krzykiem szalonym:
Niemiec – więzienie – sąd – dziesięć kul,
trumna – krzyż – wieniec – białe – zielone –
Nie mówcie stów, nie mówcie bolesnych stów.
Wszystkie wracają i dźwięczą i wszystkie krwawią.
Nogi – tak sztywne – czoło strzaskane – widzę je znów,
wszystkie wracają, wszystkie zakłete w zjawę.
Nie mówcie stów, nie mówcie bolesnych stów
włosy – złociste – drzewo (tam padła) i rów –
kapturek we krwi – ręce – zsiniałe – oczy – zawarte...

Pełno wspomnień w domu, pełno boleści,
oto rosną ciągle jej trzy kaktusy,
a jej nie ma. Jej książki, zeszyty – ileż w nich treści!
Jej suknie, pantofelki, wyprawne obrusy...
Jej fotografie, pełne promiennych uśmiechów,
czarny kot, lalka Aurora, ptak Dualaba...
Zapomnienia nie ma, nie ma pociechy...
Coraz cichszy dochodzi głos, nuta piosenki słaba...
Nuty, z których nikt już nie zagra, obrazki, listy –
wszystkiego, wszystkiego dotknęły ręce przemile,
niezatarty patrzy jej profil czysty...
Ona przebaczyła katom... Boże, Ty pomścij mogiłę.
Było miejsce w jej życiu, a teraz czerni pusta,
wstrzymany pęd, zwichnięty cel tak przedwcześnie.
Ale mówią wciąż blade, umarłe jej usta:
„Nie zginęła, nie zginie nigdy i wskrześnie”.

Nie, tego serce nie pojmie, nie, to być nie może,
taką złotowłosą główkę roztrzaskać, o Boże! Boże!
Takie oczy niebieskie, ufne, nieustraszone
zamknąć na zawsze strasznym gwałtem, bólem i zgonem!

Takie usta dźwięczne śmiechem oniemić na wieki,
takie nóżki ręce zatrzymać przed marszem dalekim,
takie małe rączki rozrzucić martwe na piasku,
zagasić tyle szczęścia dla ludzi i tyle blasku!
Mordowali z gniewem: niech po niej śladu nie będzie ni znaku.
A ona żyje, wciąż żyje w sercach tysięcy Polaków.

Na piaskach fortu grób pośród wrogów...
I oto polskie ręce przychylnie
na cmentarz cichy pośród rozłogów
przeniosły trumnę i krzyż mogilny.
I leży cicho – pola się kłosa,
krwawnik się wdziera na grobu obrzeż,
kwiaty się chwieją i łzy je rosą...
Walczyła mężnie i żyła dobrze.
Wśród pól szerokich ten grób żołnierza
i ośpiewuje go w dzień skowronek.

(Listopad. 1939 r.)

Z WIERSZY DLA DZIECI**O KRÓLU LEŚNYM**

- Synek: Mamusiu, nudno; na wojnie
Ostatni padł szeregowiec.
- Mama: Nie dasz mi pisać spokojnie?
- Synek: Nie, lepiej bajkę opowiedz.
- Mama: Więc słuchaj: w ciemnym borze
Król leśny mieszka.
Jak w sukni, w liściach, w korze.
Daleka do niego ścieżka.
Czerwony wianuszek kalin
Zdobi mu czapkę kosmatą.
A co dzień je tyle malin,
Ile byś nie zjadł przez lato.
Elfów bawią go baśnie,
Elfów lekkich, jak ważki.
Niegrzeczne zamyka w bańce,
Grzecznym po złota blaszce
Daje, jako król hojny,
Wyjmuje ptaszki z sieci,
Godzi chrabąszczów wojny.
- Synek: A jeśli zabłądzą tam dzieci?
- Mama: Grzecznym da jabłka złote
I łódeczki z kory.
Niegrzeczne, za ich psotę
Zamieni w muchomory.
- Synek: I odtąd będą stały
Tak zawsze na jednej nodze?

Mama: Gdy znajdzie się chłopczyk śmiały,
 Sam pójdzie po leśnej drodze,
 W głąb boru zajdzie bez lęku,
 To wszystkie dzieci psotne
 Wyzwoli, co król ma w ręku.

Synek: Ja króla znajdę i potnę!
 Ta wielką szablą ze ściany
 Potnę go na kawały!

Mama: Patrz, zachód zgasł rumiany.
 Tymczasem idź spać, mój mały!

„Moje Pisemko” 1924, nr 31, s. 70.

POGRZEB WODZA

A nieśli go cicho, a nieśli powoli
Na płaszczu, na noszach z puklerzy,
A cięcie śmiertelne, jak diadem na czole
Królewska odznaka żołnierzy.

Schylają się nad nim sztandary i godła
Krwi drogim zdobyte okupem.
I stąpa koń wodza, koń biały bez siodła
Powoli, ponuro za trupem.

Cóż milczysz, o wodzu? Dlaczegoś tak blady?
Czy słyszysz? Rzy cicho wierzchowiec...
Na czele twych wojów czas stanąć, o władzy!
Rozkazu czekają! Odpowiedz!

Ach, czyje to serce tak krzyczy i boli?
Kto kryje wybladłą twarz w kirze?
A nieśli go cicho, a nieśli powoli,
A nieśli wciąż bliżej, wciąż bliżej!

„Moje Pisemko” 1925, nr 48

WILCZĘTA-HARCERZE

Idą po ulicach takim dumnym marszem,
Swe kolana nagie wznosząc równomiernie,
– Będę, będę, i ja zastępowym starszym,
Jeszcze jedna sprawność! Czyn spełniony wiernie!

Idą, maszerują, trąbi trębacz mały...
Granatowe spodnie i koszule khaki...
W sercu już im tętni sen ofiar i chwały...
Czuwaj! Wroga patrol! Wywiad! Przypaść w krzaki!

Ach, wykonać dobrze obrót za obrotem,
Wstążki na ramieniu, na czapkach odznaki...
Chorążowie wprawni na sztandarze lotem...
Granatowe spodnie i koszule khaki.

Nagie, opalone kolana chłopięce...
Co im deszcz i zimno! Hartowni Indianie!
Plecak im nie ciąży, nie trudzą się ręce!
Czuwaj! My dla Polski!... Błogosław im Panie!

„Gazetka dla Dzieci. Pismo poświęcone również dorastającej młodzieży”.
Bezpłatny dodatek do „Gazety Polskiej”, 1925, nr 40, s. 1

NOTA EDYTORSKA

Podstawę niniejszego wydania stanowią następujące tomy poezji Anny Zahorskiej:

- Savitri, *Pieśni walki*, Kraków 1908. Nakładem wydawnictw: „Naprzodu” w Krakowie, „Głosu” we Lwowie, „Robotnika Śląskiego” w Cieszynie, „Górnika” w Mor. Ostrawie. Drukarnia Władysława Teodorczuka.
- Savitri, *Poezje*, Warszawa 1908. Gebethner i Wolf. Kraków – G. Gebethner i Spółka. Druk W.L. Anczyca i Spółki.

Hanna Zahorska (Savitri), *Dniom zmartwychwstania*. Wilno 1921. Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego. Księgarnia Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego w Wilnie. M. Arct: w Warszawie, Poznaniu, Lublinie, Łodzi i Lwowie. Okładka i winiety pomysłu Rodanty.

Odszukano pierwodruki czasopiśmiennicze, różniące się nieraz w drobnych szczegółach, następujących wierszy z powyższych tomów (wszystkie wiersze podpisane są pseudonimem Savitri):

PIEŚNI WALKI

Więzień, „Krytyka” 1905, t. 1, s. 383-385

W noc jesienną, „Trybuna” 1907, nr 11, s. 27-28.

Po śmierci, „Prawda” 1906, nr 28.

Wiosna idzie, „Krytyka”, 1906, t. 1, s. 395-397.

W ukryciu, „Krytyka”, 1907, t. 2, s. 74-75.

Przeszkoda, „Prawda” 1907, nr 35.

Jodły, „Ogniwo” 1904, nr 52, s. 1230.

Rycerze Giewontowi, „Kurier Warszawski”, 1906, nr 162, s.2-3.

POEZJE

Lohengrin, „Ogniwo” 1904, nr 52, s. 1230.

Tyś mnie zatruć niezdolny... Pierwodruk pt. *Bez szczęścia*, „Ster” 1908, nr 6.

O północnej, bezsennej godzinie... Pierwodruk pt. *O północnej godzinie*. „Sfinks” 1908.

Krzyk życia, „Nowe Słowo” 1907, nr 7.

Pieśni o pragnieniu, Pierwodruk pt. *Symfonia pragnienia* „Ateneum” 1904, nr 6. Podpisane: Sawitri. W pierwodruku brak podziału na oddzielne utwory, liryk I dwuwersami wpleciony w tekst, brak części X i XI.

We mnie jest noc..., „Prawda” 1906, nr 29.

Kurhan, „Sfinks” 1908, t. 1, s. 255-258.

Golgota „Tygodnik Ilustrowany” 1908, nr 15

Nad morzem, „Tygodnik Ilustrowany” 1907, nr 22, s. 449.

Klatki, „Sfinks” 1908, t. 1, s. 255-258.

Brzask, „Sfinks” 1908, t. 1, s. 255-258.

Idę w słońcu... „Nasz Kraj” 1907, t. 3, nr 24, s. 930.

DNIOM ZMARTWYCHWSTANIA

Duszo moja kresowa, „Romans i Powieść” 1919, nr 52.

Litwa, „Romans i Powieść” 1920, nr 8.

Inwokacje, „Krytyka”, 1914, t. 42, s. 350-351, cz. III i IV; cz. IV – „Echo Polskie” 1915, nr 9, s. 7 (cykl *Poezje*, cz. III)

Skrzydła, „Tygodnik Ilustrowany” 1912, nr 26, s. 552.

Na północy, „Tygodnik Ilustrowany” 1909, nr 43, s. 875. „Echo Polskie” 1915, s. 7 (cykl *Poezje*, cz. I)

Lecz twe serce mię pozna, Ojczyzno!, „Strażnica” 1914, nr 1.

Po ukojenie, „Bluszcz” 1911, nr 39.

Piekło polskie (fragment) *Romans i Powieść*, nr 48

Ptak-Feniks, Tygodnik Ilustrowany” 1912, nr 48, s. 644.

Siła, „Echo Polskie” 1915, s. 7 (cykl *Poezje*, cz. II)

Tantal, „Literatura i Sztuka” 1910, nr 13.

Atlas, „Tygodnik Ilustrowany” 1909, nr 29, s. 578.

Brzoza, „Literatura i Sztuka” 1912, nr 30.

Praca, „Myśl Polska” 1914, nr 2, s. 25.

Słońce, „Romans i Powieść” 1911, nr 24.

Matka żołnierza, „Romans i Powieść” 1919, nr 37, s. 4.

Dziecko, „Literatura i Sztuka” 1910, nr 2, s. 2.

Chwila łaski, „Tygodnik Ilustrowany” 1912, nr 26, s. 552.

Ja wiem o słońcu, „Tygodnik Ilustrowany” 1910, nr 45, s. 908.

Niebo, „Tygodnik Ilustrowany” 1911, nr 36, s. 708.

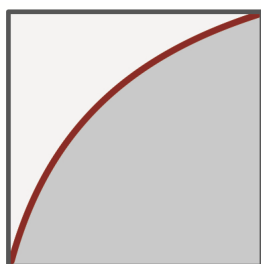
W kościele, „Wieś Ilustrowana” 1913, nr 12, s. 10-11.

Czara, „Romans i Powieść” 1920, nr 12.

Cud, „Świat” 1909, nr 25.

Obraz cudowny, „Tygodnik Ilustrowany” 1910, nr 30, s. 616.

Utwory rozproszone zostały przedrukowane najczęściej na podstawie ostatniej czasopiśmienniczej publikacji. Informacje o podstawie podane zostały przy każdym wierszu. Starano się o chronologiczne uporządkowanie tych tekstów, z drobnymi wyjątkami – kiedy utwory pochodzą z jednego czasopisma lub tworzą jeden cykl przedrukowane zostały kolejno. We wszystkich tekstach zachowano interpunkcję, zmodernizowano natomiast ortografię (pomijając pozycje akcentowe i rymowe).



przełomy
pogranicza
studia literackie

Anna Zahorska, *Collected Poems.*
Introduction and Notes by Anna Wydrycka.
Series „Watersheds/Borderlands”, University of Białystok,
Białystok 2016

SUMMARY

The tome is comprised of a collection of poems by a forgotten, yet a deserving of attention poet Anna Zahorska, who used the pseudonym Savitri during her Young Poland creative period. A reprint of three volumes of her poetry (*War songs [Pieśni walki] 1908, Poetries [Poezje] 1908, To the days of resurrection [Dniom zmartwychwstania] 1921*) and of various unrelated works (1902–1939) is preceded by a voluminous preface, which introduces the biography of the author and outlines the directions of her works.

Anna (Hanna) Zahorska of Elzenberg was born in 1882, in the Eastern borderlands, in Vitebsk or Mogilev. Her father was Gustaw Elzenberg, a bank official, while her mother Bronisława of Kowalewscy family was a landowner. The poet was a paternal cousin of a philosopher Henryk Elzenberg. She was also related to Bolesław Leśmian and Antoni Lange. She had two sisters: Zofia and Ludwika and a brother Eugeniusz, a legion captain awarded with *Virtuti Militari*, who died in the war in 1920.

Zahorska graduated from an all-girls boarding school in Moscow, a city where she later worked and took an active part in the local Polish Socialist Party. She debuted in 1902 in a literary weekly “*Biesiada Literacka*”. After coming to Warsaw, she joined the revolution in 1905, for which she was thrown into Pawiak Prison. While locked up, she wrote poems which were later published in the press and later in a tome called *War songs (Pieśni walki)*. Following her release, she moved to Kraków. At that point, she undertook intensive literary work: she wrote poems, articles, reviews, prose and dramas. She published a tome named *Poetries (Poezje)*, which received critical acclaim. She studied at the Jagiellonian University. She married Eugeniusz Zahorski, a Polish Socialist Party member, an independence activist and a poet, later also a known chess player.

She was an active proponent of Poland’s independence, she travelled around the area of the Russian annexation and Russia itself, spreading Polish

culture, agitating, forming socialism and independence circles. However, in time, her ties to the Polish Socialist Party began to gradually weaken, she started considering socialism and marxism as fake ideologies, although she never lost her social sensitivity.

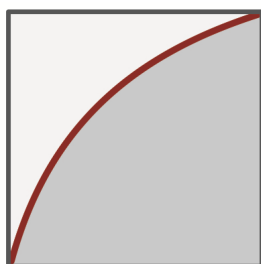
Zahorska converted back to Catholicism, which greatly affected her life and works. She yet again lived through the war and revolution, this time in Russia. She published her works in the Polish press in Moscow and Petersburg. Following her return to Vilnius Land, she became one of the founders of the so-called Borderlands Guard (*Straż Kresowa*). She visited various Lithuanian towns and wrote reports on the situation of the local populace. During the war in 1920, she attempted to sneak past the frontlines in a disguise, resulting in her arrest and a death sentence, which she managed to run away from.

She settled down in Warsaw with her family and once again committed herself towards intensive literary and social work. As a pious catholic convert, she persistently called for the spiritual dimension in literature. She gave up her Young Poland's period pseudonym, from then on, she signed her works with the full name. She published novels built on the scheme of the fall, the return to the faith, the expiation. Their plot is usually set on the contemporary Polish-Russian frontier (*The Refugees [Uchodźcy]*, *A wired neighbourhood [Odrutowana okolica]*, *Poisons [Trucizny]*). She also wrote numerous religious poems published in various journals which have been reprinted in this tome. She became associated with the Salesian Publishing House (Wydawnictwo Salezjańskie), where she mainly released biographical novels about saints, presenting them in both long and short texts. She wrote dramatic scenarios for children and the youth. She was also widely engaged in literature and film criticism.

She wrote the last remaining work - a narrative poem *Litka* - after her daughter's death, who was executed at the beginning of the November of 1939 by Germans. During the occupation, she organised literary meetings. She joined the Union of Armed Struggle (Związek Walki Zbrojnej), and later, its successor, the Home Army (Armia Krajowa). She was arrested in May, 1942 and once more, after 36 years, was imprisoned in Pawiak, where she went through a severe interrogation. Later, taken to Oświęcim, tortured and badly sick, she died in November, 1942. Soon, during the Warsaw Uprising, her two daughters lost their lives, leaving just the two sons alive after the war.

Zahorska's poetry has a noticeable evolutionary line. Her early works express a youthful rebellion, they dazzle with eroticism, exhibit a strong individualism and independence, especially female. Gradually, though, the idea of sacrifice for the society, the nation, another person, while outlined in the first tome, becomes justified religiously later on. The war also imposes the theme, along with the motifs of fighting and suffering. In addition, her poems reveal the importance of maternity. In the later period, poetic prayers start to appear. The sacral dimension of reality becomes immensely crucial. At the same time, the poetics become simpler, the modernist phraseology phases out, even though the poet still employs symbolism, often associated with colour. The entirety of her creations is patronized by Juliusz Słowacki, whose works were her most significant inspiration.

The publication of the poetic works is closed by the editor's note, which indicates the basis of the reprint and specifies chosen first prints.



przełomy
pogranicza
studia literackie

NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY
– SERIA „PRZEŁOMY / POGRANICZA”

TOMY WYDANE W NPW – SERII „PRZEŁOMY/POGRANICZA

- I.** *Piękno Juliusza Słowackiego*, Seria I, *Principia*, red. Jarosław Ławski, Krzysztof Korotkich, Marcin Bajko, Białystok 2012.
- II.** Barbara Olech, *Harmonia, liryzm, trwoga. Studia o twórczości Bronisławy Ostrowskiej*, Białystok 2012.
- III.** Marcin Bajko, *Heroiczna apokalipsa. W kręgu idei i wyobraźni Tadeusza Mićcińskiego*, Białystok 2012.
- IV.** *Pogranicza, cezury, zmierzchy Czesława Miłosza*, red. Anna Janicka, Krzysztof Korotkich, Jarosław Ławski, Białystok 2012.
- V.** Anna Janicka, *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, Białystok 2013 [wydanie II: 2015].
- VI.** *Żeromski. Tradycja i eksperyment*, wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Alina Kowalczykowska, Grzegorz Kowalski, Białystok – Rapperswil 2013.
- VII.** *Piękno Juliusza Słowackiego*, tom II: *Universum*, red. Jarosław Ławski, Grzegorz Kowalski, Łukasz Zabielski, Białystok 2013.
- VIII.** Ryszard Löw, *Literackie podsumowania polsko hebrajskie i polsko-izraelskie*, red. Jarosław Ławski, Michał Siedlecki, postłowie Barbara Olech, Białystok 2014.
- IX.** Alina Kowalczykowska, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, T. I: *Pisma rozproszone i zarzucone*, red. Anna Janicka, Grzegorz Kowalski, Białystok 2014.
- X.** *Żeromski. Piękno i wolność*, idea i układ Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Iwona E. Rusek, Grzegorz Czerwiński, Białystok – Rapperswil 2014-2015.
- XI.** Dariusz Kulesza, *W poszukiwaniu istoty rzeczy. Studia i portrety*, Białystok 2015.
- XII.** Jarosław Poliszczuk, *Ukraińskie rozstaje. Studia*, red. i opr. Michał Siedlecki, Jarosław Ławski, 2015.
- XIII.** *Kraszewski i wiek XIX*, idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Krzysztof Czajkowski, Paweł Kuciński, Białystok – Rapperswil 2014-2015.
- XIV.** *Kraszewski i nowożytność*, idea i układ Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Krzysztof Czajkowski, Łukasz Zabielski, Białystok 2014-2015.
- XV.** *Piękno Juliusza Słowackiego*, tom III: *Metemorphosis*, red. Jarosław Ławski, Anna Janicka, Łukasz Zabielski, Białystok 2015.
- XVI.** Jarosław Ławski, *Miłosz: „Kroniki” istnienia. Sylwy*, Białystok 2014.

- XVII.** Gabriela Zapolska, *Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich dwóch tomach*, red. i wstęp Anna Janicka, opr. i posłowie Paulina Kowalczyk, Białystok 2015.
- XVIII.** Michał Siedlecki, *Myśliwski metafizyczny. Rozważania o „Widnokręgu” i „Traktacie o łuskaniu fasoli”*, Białystok 2015.
- XIX.** Pozytywiści warszawscy: „Przegląd Tygodniowy” 1866-1876, Seria I: *Studia, rewizje, konteksty*, red. Anna Janicka, Białystok 2015.
- XX.** Halina Krukowska, „*Pan Tadeusz*” jako poezja czysta. *Studia o Mickiewiczu*, Białystok 2016.
- XXI.** Wojciech Kalinowski, *Hypnos fiction. Nowelistyka Stefana Grabińskiego*, Białystok 2016.
- XXII.** Wojciech Gruchała, *W brzuchu wieloryba. Obraz Rosji w prozie modernizmu*, Białystok 2016.
- XXIII.** Grażyna Dawidowicz, *Cena życia. Rzecz o Sarze Nomberg-Przytyk*, Białystok 2016.
- XXIV.** Anna Zahorska, *Poezje zebrane*, wstęp i opr. Anna Wydrycka, Białystok 2016.
- XXV.** Alina Kowalczykowska, *Wobec współczesności. Tematy poważne i mniej serio*, T. II: *Pisma rozproszone i zarzucone*, red. i opr. tekstu Anna Janicka i Grzegorz Kowalski, Białystok 2016.

UKAŻĄ SIĘ W SERII MIĘDZY INNYMI:

XXVI-XXVII. *Przemiany formuły emancypacji kobiet od XVIII wieku do XX-lecia międzywojennego*, Białystok 2016

[Tytuły zapowiedzianych tomów w wersji roboczej.]